



Z NIM
ŚMIERĆ TO DOPIERO
POCZĄTEK

MRO CZNY

BLUEBLOOD VAMPIRES. TOM I

KSIĄŻE

MICHELLE HERCULES



MICHELLE HERCULES

MROCZNY
BLUEBLOOD VAMPIRES. TOM I
KSIĄŻE

PRZEŁOŻYŁA
ISCHIM ODOROWICZ-ŚLIWA





1. Lucca

Havoc*. To nazwa klubu. Całkiem stosowna. Miejsce jest ciemne, głośnie i przepełnione ludźmi, którzy z wielką chęcią zaspokoją mój głód. Nie od razu przywykłem do hałasu. W czasie mojej hibernacji nocne rozrywki bez wątpienia mocno się zmieniły.

Moja ostatnia przekąska leży nieprzytomna na kanapie VIP-ów, totalnie wyczerpana. Pożywianie się i pieprzenie idą w parze, ale w przeciwieństwie do chrapiącej obok istoty ludzkiej mnie jeszcze dużo brakuje do poczucia zaspokojenia. Wróciły mi jednak siły i dzięki wypitej do tej pory krwi wiem już niemal wszystko, co przegapiłem w czasie minionych dziewięćdziesięciu pięciu lat. Krew pamięta.

Na wprost mnie Saxon uprawia seks z jakąś przypadkową dziewczyną. Ronan i Manu zniknęli nie wiadomo gdzie. To tyle, jeśli chodzi o przyjęcie z okazji mojej pobudki. Krąg moich najbliższych można podsumować dwoma słowami: banda dupków. Nie żebym ja był lepszy.

Macham najbliższemu bramkarzowi, by zabrał nieprzytomną dziewczynę. Jestem gotowy zająć się następnym człowiekiem.

Nie mija minuta, a już namierzam kolejny cel. Zbliża się do mnie ładna dziewczyna w czarnej skórze, z pojedynczym szotem na tacy. Szczupła, ale zaokrąglona, gdzie trzeba, z blond włosami spływającymi po plecach i pełnymi ustami, które aż się proszą o skosztowanie, jest dokładnie tym, czego mi trzeba.

Natychmiast wydłużają mi się kły, a fiut twardnieje. Obserwuję, jak dziewczyna się zbliża, i nawet nie próbuję ukryć głodu, który z całą pewnością błyszczy mi w oczach. Kiedy staje przede mną, słyszę, jak szybko bije jej serce, czuję jej strach.

Ciekawe.

Większość ludzi przychodzących do takich miejsc nie boi się nas. Dobrze wiedzą, czego chcemy, i dają nam to ochoczo z nadzieją, że ich przemienimy. Nie zdają sobie sprawy, że już nie mamy tej mocy.

– Jak masz na imię, skarbie? – pytam, nie tłumiąc żądy w tonie głosu.

– Re... Rebecca. – Mocniej ściska tacę i cała aż się trzęsie.

Kłamie. Nie tak ma na imię. Ale nie dziwi mnie, że nie wyjawia prawdziwego. Nie tyle się boi, ile jest przerażona, a przez to jeszcze bardziej mnie pociąga. W końcu jestem drapieźnikiem.

Nie spuszczając z niej wzroku, przesuwam palcami po jej gołych nogach.

– Co tam dla mnie masz, Rebecca?

Przez chwilę nie odpowiada. Nawet nie oddycha. Podejrzewam, że w każdej chwili może czmychnąć.

– Specjalnego szota. Na koszt firmy – odpowiada w końcu.

Wyginam usta w uśmiechu. Zastanawiałem się, kiedy Derek Blackwater, właściciel tego przybytku, przyśle mi drinka na powitanie. Był ostatnim człowiekiem przemienionym w wampira, czyli jest niemal równie wiekowy jak ja. I tyle wiem o jego mrocznej przeszłości.

Facet stanowi zagadkę.

– Doprawdy? – Wsuwam jej rękę pod spódnicę, a kiedy ściskam ją za tyłek, gwałtownie wciąga powietrze.

– Tak – wyszeptuje.

Puls mi skacze. Cholera. Wkrótce po przebudzeniu wzmożone pragnienie nie jest niczym niezwykłym, ale moja reakcja na nią jest silniejsza, niż się spodziewałem.

Drżącymi rękami podaje mi kieliszek. Nie wiem, co stanowi jego zawartość, ale w tej chwili już mnie to nie interesuje. Odchylam głowę i wypijam wszystko naraz. Mgła momentalnie spowija mój umysł.

Wpatruję się w pusty kieliszek, marszcząc brwi. Widzę go podwójnie.

– Co, do diabła?

Czuję, jak ktoś pociąga za mój naszyjnik, którego nigdy nie zdejmuję. Pieprzona, próbuje mnie okraść. Poruszam się ospale, co oznacza, że dołała mi wampomoru do drinka.

Skurwielka.

Łańcuszek zrywa się w tej samej chwili, w której przełamuję działanie trucizny. Dzięki dziewięćdziesięciopięcioletniej drzemce jestem w pełni sił, więc wampomor ma na mnie słabszy wpływ. Złodziejka zamierza uciec, ale łapię ją za nadgarstek i zaciskam na nim palce. Moje paznokcie wbijają się w jej miękką skórę i wypływa spod nich krew, której zapach wszystko zmienia. Nagle widzę na karmazynowo, mój wzrok skupia się na szyi dziewczyny, a w uszach rozbrzmiewa wyłącznie szum krwi płynącej w jej żyłach.

W pragnieniu zatopienia kłów w jej miękkiej skórze nie chodzi już o zemstę. Teraz to czysta i pierwotna żądza krwi.

Zeskakuję z kanapy i łapię dziewczynę oburącz. Wyrывa się i krzyczy, ale nikt nie ruszy jej na pomoc.

Nagle tył mojej czaszki przeszywa ból, który sprawia, że przez moment znowu widzę normalnie. Saxon odciąga ode mnie dziewczynę, a Manu zastępuje mi drogę.

– Co ty wyprawiasz, Lucca! Zostawiam cię na chwilę samego, a ty już się na kogoś rzucasz? – Jej złote oczy płoną w mroku, zdradzając, jak bardzo się na mnie wścieka.

– Otruła mnie wampomorem – rzucam przez zaciśnięte zęby, próbując zapanować nad dzikim instynktem domagającym się rozerwania ludzkiego gardła na strzępy.

– Puszczaj mnie! – Dziewczyna wyrывa się Saxonowi.

– Uspokój się, mała. Nigdzie nie idziesz.

Nie ośmielam się drgnąć. Żądza krwi jeszcze mi nie przeszła. Nie uległem jej od czasów najgorszej nocy w moim życiu całe setki lat temu. Dlaczego pojawiła się teraz?

– Co to? – Saxon wyszarpuje blondynce skradziony przedmiot.

– Mój naszyjnik – wyjaśniam. – Suka przysłała tu, żeby mi go zabrać.

Saxon rzuca mi moją własność, a Manu obraca się gwałtownie i wyciąga swoje szpony. Kurwa. Teraz i ona chce się rzucić na dziewczynę.

Nie. Jest moja.

– Kto cię tu przysłał? – pyta moja siostra.

Złodziejka nie ma kiedy odpowiedzieć. Podbiega do nas Ronan z twarzą wykrzywioną w głębokim grymasie i złością bijącą falami z całego ciała. Zerka przelotnie na żalną dziewczynę i zwraca się do mnie:

– Mamy towarzystwo. Są tu przydupasy Tatiany.

Cholera, niech to wszystko piekło pochłonie. Że też musieli się pojawić właśnie teraz. Mógłbym zabić złodziejkę jednym ciosem i mieć odwet z głowy. Ale moje ciało natychmiast odrzuca ten pomysł. Nie mogę tego zrobić.

– Puść ją – mówię do Saxona z żalem.

Marszczy brwi i patrzy na mnie tak, jakbym stracił rozum. Może i straciłem. Uwolnienie kogoś, kto mnie otruł i próbował okraść, nie jest dla mnie typowe, ale zemsta będzie musiała poczekać. Najpierw muszę spłacić starszy dług i przesłać wiadomość.

* Minisłownik nazw własnych znajduje się na końcu książki (przyp. tłum.).



2. Vivienne

~ PIĘTNAŚCIE GODZIN WCZEŚNIEJ ~

Rozglądam się po małym salonie, żeby się upewnić, czy o niczym nie zapomniałam. Przyczepa z lat siedemdziesiątych może i jest stara, głośna i dziwnie pachnie, ale to mój dom. Nie zauważam nic, co zapomniałabym spakować, więc piszę krótki liścik do brata i wieszam go na lodówce. Kretyn nie odzywał się od ponad dwudziestu czterech godzin, a na czas wyjazdu muszę zostawić mu szczegółowe instrukcje. Rikkon jest ode mnie starszy o pięć lat, ale w tej dysfunkcyjnej rodzinie to ja odgrywam rolę rodzica.

Wzdycham i jeszcze raz sprawdzam telefon. Żadnych informacji od niego. Mimowolnie ścisną mnie w piersi. Rikkon przyciąga do siebie problemy jak magnes i jeśli w wieku osiemnastu lat mam już przedwczesne zmarszczki mimiczne, to właśnie przez niego.

Gdzie on jest, do diabła?

Pukanie do drzwi przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Vivi, jesteś gotowa? – pyta Karl, jeden z członków mojego zespołu.

– Taa, już idę.

Zarzucam worek marynarski na ramię, biorę torebkę i wychodzę. W porannym słońcu rude włosy Karla są bardziej płomienne i najwyraźniej przybyło mu piegów. Nigdy nie spotykamy się tak wcześnie. Pomimo zarostu na szczęce wydaje się młodszy.

Pozostali członkowie zespołu, Cheryl i Vaughn, są już w vanie. Pewnie śpią, w końcu ćwiczyliśmy do drugiej w nocy.

– Wzięłaś wszystko? – Karl bierze ode mnie worek.

– Mam nadzieję.

W połowie drogi do samochodu oglądam się na przyczepę. Karlowi to nie umyka.

– Coś się dzieje?

– Nie, wszystko w porządku. – Kręcę głową.

Nie ma sensu opowiadać mu o Rikkonie. Nikt z zespołu nie może zrozumieć, dlaczego znoszę kolejne wyskoki brata. Uważają go za samolubnego ćpuna, który mnie nie docenia. Nie przeczę, że przez większość czasu tak nie jest. Ale nie wiedzą, że ryzykował życie, żeby mnie ocalić. Dlatego nie mogę się na niego wypiąć, mimo że czasami bardzo bym chciała.

Tak jak podejrzewałam, Cheryl i Vaughn drzemią już na tylnym siedzeniu. Zajmuję miejsce obok kierowcy i zapadam się w znajome, wysłużone obicie. Zaczynam ziewać, więc zasłaniam usta dłonią.

– Masz. – Karl wręcza mi kubek parującej kawy. – Wypij. Nie możesz zapaść w sen jak ci idioci z tyłu. Ktoś musi mnie zagadywać, żebym sam nie zasnął.

– Dzięki. Jestem zmęczona, ale raczej teraz nie zasnę.

– To podniecające, nie? Nie mogę uwierzyć, że załapaliśmy się na konkurs zespołów w Nowym Jorku.

– Ja też. Mam wrażenie, że to sen. – Ostrożnie upijam łyk kawy i parzę sobie język.

– To nie sen, Vivi. Dobre rzeczy będą się nam przytrafiać.

Uśmiecha się tak otwarcie i szczerze, że zaczynam mu wierzyć. Życie nigdy nie było dla mnie łatwe, dlatego zwykle nie pozwalam sobie na marzenia. Ojciec się zmył, a matka miała dwubiegunówkę, więc musieliśmy z bratem szybko dorosnąć. W naszym świecie nigdy nie było tęczyowych jednorożców. Był tylko ból, walka i krew. Przeszywa mnie dreszcz, gdy z zakamarków umysłu wypływają mroczne wspomnienia. Spycham je z powrotem najdalej, jak tylko się da.

Karl włącza radio i na maksa podkręca głośność.

Natychmiast obrywa butem rzuconym przez swoją siostrę.

– Wyłącz to, ośle, muszę się wyspać – nakazuje Cheryl.

Vaughn nawet nie drgnie. Nigdy nie znałam nikogo innego, kto potrafiłby zasnąć tak, jak stoi. A on przespałby nawet huragan.

Przyciszam radio, żeby zapobiec kłótni.

– Jesteś zbyt miła. – Karl wybucha śmiechem.

– Nie zapominaj o tym. – Uśmiecham się złośliwie i podnoszę kubek do ust, żeby ukryć rozbawienie.

Uwielbiam śpiewać w zespole, ale to dzięki Karlowi wszystko jest lepsze. Nie wiem, jak to robi, lecz pomaga mi na chwilę zapomnieć o problemach. Po dołączeniu do Nocturnal nieźle się w nim zabijałam. Miałam wtedy piętnaście lat, a on dziewiętnaście. Cheryl nazywała mnie lolitką. Z oczywistych względów uczucie nie było odwzajemnione. Karl traktował mnie jak młodszą siostrę, a ja z czasem wyleczyłam się z miłości i zaczęłam go postrzegać jak starszego brata, jakiego powinnam mieć.

Za każdym razem, gdy żałuję, że Karl nie jest moim prawdziwym bratem, w sercu odzywa mi się poczucie winy. Rikkonowi zależy na mnie w jego upośledzony sposób. Inaczej nie zrobiłby tego, co zrobił. Życie zgotowało nam okrutny los i podczas gdy moim mechanizmem radzenia sobie z nim była muzyka, Rikkon zatracił się w imprezach i dragach.

– O czym myślisz? – pyta Karl.

– O niczym takim.

– Marszczyłaś brwi, więc domyślałam się, że myślałaś o bracie. Co zrobił tym razem?

– Nic, co dziwne.

Gdy tylko to wypowiadam, rozdzwania się mój telefon. Dzwonkiem przypisanym bratu. Wreszcie!

– Najwyższa pora. Gdzieś ty się podziewał? – pytam.

– Vivi, musisz mi pomóc – odpowiada bez tchu, jakby biegł.

Znowu ściska mnie w piersi. Wiedziałam, że wydarzy się coś niedobrego.

– Co się stało? – W tle słyszę odgłosy szamotaniny i krzyk. – Rikkon! Mów, co się dzieje!

– Rikkon nie może teraz rozmawiać – odpowiada mi inny męski głos. Zimny. Szorstki.

– Kto mówi?

– Ktoś, kogo wnerwił twój brat. Jeżeli chcesz, żeby przeżył, przyjdź do Ember Emporium. Sama. Połączenie zostaje przerwane.

Upuszczam telefon na kolana, przed oczami robi mi się ciemno.

– Vivi, co się stało? – pyta zaniepokojony Karl.

– Chodzi o Rikkona. Wpadł w kłopoty. Muszę mu pomóc.

– Co tym razem odwalił ten palant? – Między przednimi fotelami pojawia się twarz Cheryl.

– Nie wiem. Ale muszę iść do Ember Emporium, teraz, sama, żeby mu pomóc.

– To terytorium zmiennokształtnych – zauważa Cheryl. – Co twój brat robi u smoków?

– Nie wiem. – Słyszę napięcie w swoim głosie. Nie płacę tylko dlatego, że nie chcę dać po sobie znać, jak bardzo jestem przerażona.

– Nie możesz iść tam sama – stwierdza Karl. – Ember Emporium to siedziba Larssona. A on jest najbardziej bezlitosnym bossem smoków, jaki kiedykolwiek zjawił się w Salem.

– Myślisz, że nie wiem? – warczę. – Ale jeśli tam nie pójde, to mogę już nigdy nie zobaczyć Rikkona.

– I dobrze – mamrocze pod nosem Cheryl.

– Cheryl! Nie mów tak – upomina ją Karl.

Zaciskam pięści i wyglądam przez okno.

– Nie proszę, żebyście mnie zrozumieli ani poparli moją decyzję. Ale muszę mu pomóc. To mój brat.

– No to pójdziemy tam wszyscy – decyduje Karl.

– Nie! – Gwałtownie się do niego odwracam. – Powiedzieli mi, że mam przyjść sama. Nie chcę wkurzyć porywacza.

– Koles, to naprawdę zły pomysł – dorzuca swoje trzy grosze Vaughn. Najwyraźniej moje kłopoty obudziły Śpiącą Królową.

– Nie możemy startować w konkursie bez wokalistki – przypomina Cheryl.

Poczucie winy sięga zenitu. Durny, durny Rikkon. Nie wierzę, że znowu stawia mnie w takiej

sytuacji. W tej chwili go nienawidzę.

– Przepraszam – wyszeptuję.

– Daruj sobie, Vivienne. Wszyscy wiemy, że trzymasz się tego przegrywa tylko dlatego, że boisz się zaryzykować – odparowuje Cheryl.

– To nieprawda. Nic nie wiesz – syczę przez zęby.

Cofa się z powrotem na swoje miejsce i odwraca ode mnie twarz.

– Uważam, że najwyższy czas rozejrzeć się za nową wokalistką.

– Mam wybierać między życiem brata a zespołem? – pytam piskliwie.

– Tak.

Jej odpowiedź jest jak cios prosto w serce. Czuję szczypanie w oczach i gdy obserwuję Karla, trudno mi powstrzymać łzy. Widzę, jak zaciska zęby i marszczy brwi.

– Myślisz to samo, co twoja siostra? – pytam go.

– Nigdy nie kazałbym ci wybierać między życiem brata a zespołem, ale... Nie mogę powiedzieć, że się z nią nie zgadzam. Zawsze wszystko rzucaś, gdy chodzi o Rikkona. Dzisiaj wkurzył bossa smoków. A co zrobi jutro? Zabije jakiegoś wampira z królewskiego rodu?

Krzywię się mimowolnie. Pospiesznie odwracam głowę z nadzieją, że Karl nie zauważy mojej reakcji. Nie ma pojęcia, jak prawdziwe są jego słowa.

Wzdrygam się i mówię:

– Możesz zatrzymać samochód, żebyśmy mogła wysiąść?

– Zaraz, naprawdę idziesz tam sama? – dopytuje Vaughn. – Zwariowałaś?

– Może i tak. Ale muszę to zrobić.

Karl wzdycha z rezygnacją.

– Podrzucę cię tam. Nie będziesz iść do centrum na piechotę. – W jego głosie słyszę życzliwość i zrozumienie, ale też pewną nieodwracalność.

Zawiodłam zespół już zbyt wiele razy, a to jest pewnie ostatnia kropla goryczy. Cheryl chyba ma rację. Może faktycznie wykorzystuję brata do tego, żeby nic w swoim życiu nie zmienić. Skoro nigdy nie próbuję, nie będę musiała się mierzyć z porażką.



Karl zostawia mnie przed Ember Emporium i odjeżdża, nawet nie patrząc w moją stronę. O tej porze bar jest zamknięty, a ulica pusta. Smoki zaczynają swój dzień po południu, a jeszcze nie ma dziewiątej.

Naciskam klamkę, mimo że w oknie wisi tabliczka „Zamknięte”. Drzwi ustępują. Otwieram je powoli, przerażona wizją tego, co mogę zobaczyć w środku. Nigdy wcześniej nie odbiło mi na tyle, żeby się zapuścić na terytorium istot nadnaturalnych. Można powiedzieć, że współżyjemy w pewnego rodzaju pokoju, ale nie ma co ukrywać – większość z nich widzi w nas ofiary.

Salem to jedyne miasto na świecie, w którym istnienie nadnaturalnych nie jest tajemnicą. Gdybyśmy pojechali dzisiaj do Nowego Jorku, mój zespół całkowicie by o nich zapomniał. Miasto jest otoczone zaklęciem, które uniemożliwia wszystkim ludziom chłapięcie czegoś przez przypadek, gdy znajdują się poza granicami Salem. No, prawie wszystkim.

Wydaje się, że Rikkon i ja jesteśmy jedynymi ludźmi, na których ono nie działa. Może odporność zapewnia nam coś, co matka brała w czasie ciąży. To po niej brat odziedziczył skłonność do nałogów.

Wewnątrz uderza mnie mieszanina mocnych zapachów. Zwietrzałe piwo i pot nie stanowią zbyt zachęcającej woni.

– Halo! – wołam. – Przyszłam po brata.

Mój głos odbija się echem od ścian pustego, ciemnego pomieszczenia. Coraz częściej przebiega mnie dreszcz, a serce wybija rytm staccato niczym zegar. Tik, tak. Tik, tak.

Drzwi po drugiej stronie baru otwierają się z hukiem i w wielkim stylu wchodzą trzej rośli zmiennokształtni. Są wysocy i szerocy w barach. Ramiona mają wielkie jak pnie drzew, aż rozciąga się na nich materiał marynarek. Trudno powiedzieć, który z nich to Larsson. Od wszystkich bije potęga.

– Gdzie mój brat? – pytam, starając się, żeby głos mi nie drżał.

– Zatrzymaliśmy go – odpowiada wysoki blondyn stojący pośrodku.

Mam wrażenie, że zamarza mi serce. W sumie nawet mnie to nie dziwi, gdy patrzę na ostre rysy smoka, które mogłyby ciąć jak nóż, i zimne spojrzenie kogoś pozbawionego duszy.

– Chcę go zobaczyć – rzucam stanowczo.

– Nie masz nic, co pozwalałoby ci na wysuwanie jakichkolwiek żądań wobec mnie. Twój brat został przyłapany na handlu crackiem na moim terenie. Ma szczęście, że moi współpracownicy nie zabili go na miejscu.

A więc to jest Larsson.

– Powiedziałaś, że jeśli chcę, by przeżył, to mam tu przyjść – odpowiadam gniewnie, bo na chwilę zapominam, z kim mam do czynienia.

– Owszem, mam dla ciebie propozycję. Puszczę twojego brata wolno, jeżeli coś dla mnie zrobisz. Przerazenie ściska mi pierś i zgniata niczym imadło.

– Co takiego? – pytam cicho.

– Coś dla mnie ukradniesz. – Larsson przeszywa mnie intensywnym spojrzeniem żółtych oczu. To nie może być nic dobrego.

– Co mam ukraść, a najważniejsze: komu?

– Jest taki naszyjnik, antyk, którego pożądam. Należy do pewnego wampira, który nigdy go nie zdejmuje.

„Wampir” – to słowo, którego obawiam się najbardziej.

Serce natychmiast zaczyna mi bić w szaleńczym tempie. Krew dudni w uszach. Zaczerpnięcie powietrza robi się jeszcze trudniejsze.

Larsson, niepomny ogarniającej mnie paniki, ciągnie:

– Wampir ten nazywa się Lucca Della Morte.

Della Morte. Znam to nazwisko. Kurwa. Oczywiście, że to nie mógł być żaden zwykły wampir.

– Mam okraść spadkobiercę rodu Blueblood? – pytam piskliwym tonem.

– Według moich źródeł właśnie przebudził się z hibernacji. Biorąc pod uwagę funkcjonowanie tych nadętych krwiopijców, będzie dziś świętował to wydarzenie z pompą.

Nie wiem nic na temat hibernacji, ale nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że taki wampir będzie wygłodniały. Nie powinnam się znaleźć w jego pobliżu.

– Nie mogę tego zrobić.

Larsson unosi brew.

– Czyli twój brat kłamał, gdy twierdził, że zrobisz dla niego dosłownie wszystko?

Wzdrygam się i na ułamek sekundy zamykam oczy.

– Nie, nie kłamał.

– Nie martw się. Nie będzie to takie trudne. Jesteś ładną osobką, a Lucca właśnie takie lubi.

Musisz tylko dopilnować, żeby wypił to. – Na stoliku przed sobą stawia szklaną buteleczkę. – Wtedy będziesz mogła z nim zrobić, co tylko zechcesz.

Podchodzę do stolika niepewnie. Ręce mi się trzęsą, gdy chwytam fiolkę.

– Co to jest?

– Wampomor.

Brwi podjeżdżają mi aż pod sufit.

– Myślałam, że to mit.

Na twarz smoka powoli wypływa złośliwy uśmiech.

– Ależ nie, moja droga. Istnieje naprawdę, ale jest rzadki i kosztowny. – Mruży niebezpiecznie oczy. – Więc go nie zmarnuj.

Mocniej zaciskam palce na buteleczce.

– Gdzie znajdę tego wampira?

– Będzie wieczorem w Havocu.

– To ekskluzywny klub. Nigdy mnie do niego nie wpuszczą.

Poza tym powstał po to, żeby zaspokajać potrzeby wampirów. Nie wydaje mi się, abym zdołała powstrzymać panikę, kiedy znajdę się wśród nich.

– Włóż obcisłą małą czarną i szpilki. Upewnię się, że twoje nazwisko znajdzie się na liście.
Nie mam już więcej wymówek. Wygląda na to, że naprawdę muszę to zrobić.

Wcześniej nie potrafiłam sobie wyobrazić, że kiedykolwiek powiem bratu, iż mam go dość. Ale jeżeli przeżyję dzisiejszy wieczór, to już nigdy nie chcę go widzieć.



3. Lucca

Głód. To pierwsze uczucie, które wraca po hibernacji. Szkoda, że reszta mojego ciała nie chce zacząć działać równie szybko. Kiedy więc leżę bezwładnie w łóżku i czekam, aż do nóg i rąk wróci mi czucie, muszę znosić tępy ból, przez który mam ochotę rozpirzyć wszystko dookoła. Żądza krwi istnieje i jest cholernie niebezpieczna.

Kły mam w pełni wysunięte, usta spierzchnięte, a i tak żaden z otaczających mnie skurwieli nie zamierza dać mi spokoju. Słyszę ich rozmowę, docierają do mnie słowa i zdania, które nie mają dla mnie najmniejszego sensu. Manu, moja młodsza siostra, kłóci się z moimi najlepszymi przyjaciółmi, Ronanem i Saxonem, o coś, co się wydarzyło w King's Landing. Gdziekolwiek to jest.

Z trudem, ale w końcu udaje mi się unieść powieki. Mija kilka sekund, zanim rozplywa się mgła spowijająca mój wzrok. W pokoju jest ciemnowo, jednak mam wrażenie, jakbym gapił się prosto w słońce – a wampiry rzadko to robią, bo nie są aktywne za dnia. W oczach stają mi łzy, ale nie zamierzam znowu ich zamykać.

– O, Śpiąca Królowa wreszcie się przebudziła. – Ronan podchodzi do łóżka.

– Kurna. Najwyższa pora – dodaje Manu i też się zbliża. – Jak się czujesz, bracie?

Rozszerzam nozdrza, kiedy okazuje się, że język nie chce mnie słuchać.

– Jeszcze nie możesz mówić, co? – Saxon śmieje się pod nosem. – Chociaż to nie jest jakies wielkie odstępstwo od normy.

Posyłam mu piorunujące spojrzenie i w końcu udaje mi się wychrypieć dwa słowa:

– Pieprz... się.

Wybucha śmiechem.

– Tak lepiej.

Manu naciska guzik z boku łóżka i materac unosi mnie do pozycji siedzącej.

– Głodny?

W odpowiedzi tylko warczę.

Kręci głową, otwiera worek z ciepłą krwią i wkłada mi go do ust. Głód maleje do poziomu nieznacznego dyskomfortu, gdy opróżniam z dwadzieścia takich woreczków. Jedynie napicie się prosto ze źródła całkowicie go zaspokoi. Rzucam ostatni wyssany worek na tacę leżącą na stoliku nocnym.

– Ile czasu trwało obudzenie mnie tym razem?

Manu wymienia znaczące spojrzenia z Ronanem, co już samo w sobie dużo mówi.

– Najwyższa Czarownica przysłała tu pięć dni temu – odpowiada Saxon.

– Kurwa. – Wbijam niewidzące spojrzenie w przeciwną ścianę.

– Tym razem przełamaliśmy kłatwę, Lucco. Jestem tego pewna. – Manu ściska moją rękę, ale ją wyrywam. Nie chcę dotyku siostry ani pocieszania.

Na jej niesamowicie białej twarzy pojawia się wyraz bólu, a w złotych oczach błyskają emocje. Wszystko to jednak trwa zaledwie kilka sekund, po czym wraca na nią zimna maska.

– Czy wuj złożył mi wizytę? – pytam.

– Tak, król Raphael przychodzi każdego dnia – odpowiada Ronan.

– Co mówił?

– Co to za pytanie? – wtrąca Saxon. – Nie znasz go? Przecież ma to samo co ty: duma w milczeniu.

Pokazałbym mu środkowy palec, gdybym miał siłę ruszyć ręką. Żyję z tą cholerną kłatwą od prawie pięciuset lat. Odkąd Nightingale'owie opuścili ten świat i zabrali swoją magię, wszystkie wampiry – z wyjątkiem pierwszego pokolenia – muszą hibernować, żeby odzyskać moc. Gdyby królowa Nightingale'ów mnie nie przeklęła, potrzebowałbym dwudziestu pięciu lat snu co stulecie. Ale poprzednim razem hibernowałem przez pół wieku.

– Jak długo spałem tym razem? – pytam.

– Dziewięćdziesiąt pięć lat. – Manu nawet na mnie nie patrzy.

– Kurwa mać! Dlaczego pozwoliliście mi tak długo hibernować?

Tym razem moja siostra rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Nie pozwoliliśmy ci. Po prostu się nie obudziłeś. Próbowaliśmy cię ocucić przez ostatnie pięćdziesiąt lat!

Kurna. Nic dziwnego, że wyglądała na zrozpaczoną, kiedy wspomniała o kłątwie. Skoro tym razem tak długo się nie budziłem, możliwe, że po następnej hibernacji już nigdy nie wstanę.

– Nawet o tym nie myśl – wcina się z nadmiernym entuzjazmem Saxon. – Nie będziemy się teraz pogrążyć w czarnych myślach i nad sobą użalać. Lucca wrócił, więc musimy to uczcić. W ciągu minionego stulecia zbyt szybko się nie zmienił. Zawsze był wiecznym optymistą.

– Dokąd idziemy? – chcę wiedzieć.

– Do Havocu. To nowy klub należący do Dereka Blackwatera. Pamiętasz go, co?

– Owszem – stękam.

– Jak twoja głowa? – pyta Ronan.

– Przeładowana nowymi informacjami. Przetrawienie ich wszystkich trochę mi zajmie. Cholera, dużo się zmieniło.

– O tak, bardzo. – Saxon wybucha śmiechem. – Z pewnością docenisz nową modę damską. – Porusza znacząco brwiami, na co Manu reaguje zniesmaczonym westchnieniem.

– Świnia z ciebie, Sax.

– A co z Tatianą? – Moje pytanie natychmiast usuwa rozbawienie z twarzy przyjaciela.

– Ona pozostaje skończoną suką – odparowuje.

Przeczesuję długie włosy palcami. Sięgają mi już za łopatki.

– Jakże miło byłoby się obudzić i dowiedzieć, że mój wuj wreszcie postanowił pozbawić ją głowy.

– Mało prawdopodobne w najbliższym czasie – narzeka Ronan. – Król Raphael i ta źmija zawarli porozumienie.

– Jakie znowu porozumienie? – Mrużę oczy.

– Rozejm.

– Jaja sobie robisz. Po tym wszystkim, co zrobiła?

– Nienawidzę jej każdą komórką swojego ciała, Luc. Ale nasz gatunek słabnie. Jeżeli nie uda nam się przekonać Nightingale'ów do powrotu i przywrócenia nam pełni mocy, w końcu przejdziemy do legendy.

– A czemu sądzisz, że wrócą?

– Odeszli przez wojnę. – Saxon wzrusza ramionami. – Powrót byłby logiczny.

– W tym nie ma żadnej logiki. – Opuszczam nogi na podłogę i wstaję. Przepelnia mnie wściekłość, nie wytrzymam już dłużej w swoim pokoju. – Co ten pieprzony rozejm oznacza dla nas?

Zauważam grymas na twarzy Ronana.

– Instytuty zostały połączone.

Żołądek mi się skręca. To naprawdę źle.

– A Red Watch?

Kiedy w trzynastym wieku wybuchła wojna pomiędzy dwoma królewskimi rodami, mój wuj stworzył program szkolenia zwykłych wampirów – niebędących członkami królewskich dynastii – by zrobić z nich wojowników. Potrzebowaliśmy licznych żołnierzy. Nazwał ich Red Watch. Królewscy są silniejsi, ale zwykła potrafili nauczyć się walczyć równie dobrze jak my.

– Już się tak nie nazywają. Teraz zwykłych szkoli się na wartowników, co w praktyce oznacza cerberów z pretensjami. – Ronan krzyżuje ramiona na piersi i marszczy nos, jakby ten pomysł wywoływał u niego mdłości.

– Niech zgadnę. Program obejmuje członków obu stron.

– No – odpowiada Manu. – To hańba.

Dotykam ramienia i ponownie przeżywam chwilę, gdy Boone, syn Tatiany, ugodził mnie ostrzem wykutym przy użyciu wampomoru. Spożyta trucizna osłabia wampiry, ale kiedy dostanie się do krwiobiegu, sparaliżuje nawet królewskich. Skurwysyn omal mnie wtedy nie zabił. Gdyby nie Ronan

i Saxon, byłbym martwy. Nie mogę uwierzyć, że musimy teraz koegzystować z tymi plugawymi bękartami. Nie da się wymazać siedmiuset lat napsutej krwi.

– Ale idea Red Watch tak całkiem nie padła – dodaje z szelmowskim uśmiechem Saxon.

– To znaczy?

– To znaczy, że kiedy Tatiana spróbuje ukraść prawowitemu królowi koronę, będziemy gotowi pokonać tę sukę. – W oczach mojej siostry pojawia się maniackalny błysk.

– Świetnie. Ile jeszcze do zachodu słońca?

– Masz przed sobą cały dzień, bracie – odpowiada Manu. Piorunuję ją wzrokiem, więc dodaje: – Nie patrz tak na mnie. Nie kontroluję ruchu planet. A ty potrzebujesz tego czasu, żeby się przygotować.

– Czuję się dobrze.

– Może i tak, ale wyglądasz tragicznie. Widziałeś się ostatnio w lustrze? – Saxon się śmieje.

– Boże, minęło sto lat, a ty nadal nie jesteś zabawny.

Otwiera szerzej oczy z oburzenia.

– Jak to nie jestem zabawny? Jestem wręcz przekomiczny.

Ignoruję ten wrzód na dupie i podchodzę do lustra wiszącego na ścianie. Kurna. Nie żartował. Wyglądam jak świeżo wskrzeszone zwłoki.

Manu staje obok mnie i przygląda się mojemu odbiciu.

– Jesteś teraz tak blady, że wyglądamy niemal identycznie.

Udaje jej się zachować kamienną twarz, gdy to mówi, ale wiem, jak bardzo cierpi z powodu swojego wyglądu. Kiedyś miała takie same kolory jak ja. Opalona skóra, ciemne włosy, brązowe oczy. Ale przez klątwę Maewe z jej twarzy i włosów zniknął cały pigment. Gdyby wuj nie powstrzymał królowej Nightingale'ów, tęczęwki też by jej zbielały.

– Chyba muszę ściąć włosy – stwierdzam.

– Sdesydoфанie. – Saxon podchodzi do nas i widzę, że coś ssie.

– Co ty, do cholery, masz w ustach?

Wyciąga z nich ciemnoczerwony cukierek w kształcie serca.

– To? To jest krwawa landrynka. Czaisz? Bo z krwi.

– Brzmi ohydnie.

– Nie jest gorsza od tych worków, które opróżniłeś. – Wzrusza ramionami.

W odpowiedzi burczy mi w brzuchu. Nie grozi mi już żądza krwi, ale to nie znaczy, że nie jestem głodny. Potrzebuję żywego źródła, i to bardzo.

Ignoruję Saxona i zwracam się do Manu:

– Ile godzin potrzebujesz, żeby nadać mi wygląd odpowiedni do tych czasów?

Uśmiecha się szeroko, odsłaniając fragment kłów.

– Cztery, maks pięć.

Ronan prycha.

– Masz godzinę. Lucca nie miał miecza w ręce od niemal stu lat. Musi poćwiczyć.

Patrzę w lustrze w oczy najlepszego przyjaciela i bez problemu odczytuję jego myśli. Może i mamy rozejm, ale wojna zdecydowanie się nie skończyła.



4. Lucca

~ OBECNIE ~

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – Ronan patrzy na mnie kątem oka, gdy wychodzimy z części dla VIP-ów.

– Wampomor już zniknął z mojego organizmu.

– Nie o to mi chodzi. Podczas ostatniego spotkania ze sługusami Tatiany mocno oberwałeś. Czuję twoją żądzę zemsty.

Rozszerzam nozdrza.

– Nie starałem się jej ukryć.

– No coś ty. Ale nie możesz rzucić tym bękartom wyzwania w samym środku Havocu – rzuca Saxon. – Nawet jeżeli jesteśmy przeciwni rozejmowi, nie możemy go złamać. Ci, którzy to robią, otrzymują surową karę.

Prycham w odpowiedzi. Nigdy do tego nie przywyknę. Co mój wuj sobie myślał? Jak mógł zawrzeć pokój z tym potworem odpowiedzialnym za odebranie życia tak wielu niewinnym? Mój ojciec zginął podczas walki z siłami Tatiany i już nawet nie zliczę, ile razy ta suka próbowała zabić każdego członka naszej rodziny.

Kiedy docieram do głównej części klubu, tłum złożony z ludzi, chowańców i wampirów rozstępuje się, żeby mnie przepuścić. Byłem nieobecny przez długi czas, ale nie zostałem zapomniany. Nie bez powodu nazywają mnie Mrocznym Księciem. Słynę z bezwzględnej walki i bezlitosnego zabijania wrogów. Jestem nie tylko drugim pokoleniem rodu Blueblood, ale też następcą tronu. Od razu zauważam skurwysynów: stoją w pobliżu baru. Jest ich czterech, wszyscy z trzeciego pokolenia królewskich, i zachowują się tak, jakby tu pasowali. Natychmiast znowu jestem podminowany. Jeszcze nie przeszła mi złość na ludzką złodziejkę, a teraz na widok tych złamasów, którzy śmieją się, jakby to do nich należał bar, krew gotuje mi się w żyłach. Może to właśnie oni przysłali tę młódkę.

Ronan kładzie mi dłoń na ramieniu i mnie zatrzymuje.

– Lucca, co ty wyprawiasz?

– Co? – Patrzę na niego z wściekłością.

– Oczy płoną ci na czerwono i pokazujesz kły. Szykujesz się na mord.

Dokładnie w tej samej chwili czwórka szumowin odwraca się w moją stronę. Najpierw wyglądają na zaskoczonych, a potem robią się ostrożni.

Dobrze. Bój się mnie, hołoto.

Używam całej siły woli, żeby stłumić złość, i do nich podchodzę.

– Stoicie mi na drodze. Odsuńcie się – mówię niebezpiecznie spokojnie.

– Wow, ktoś tu się zrobił zrzędlivy po długiej drzemce. – Jeden z nich śmieje się pod nosem.

Automatycznie unoszę wargi, żeby odsłonić kły.

Saxon szybko wskakuje przede mnie i teraz to on blokuje mi przejście.

– Może już się zwinniecie, co? Nikt nie ma czasu na wasze żenujące żarty.

– Z tego, co mi wiadomo, nie jesteś właścicielem tej budy, bezmózgu – odparowuje wampir stojący najbliżej Saxona.

Kurwa. Nie wiem, czy uda mi się zapanować nad wściekłością buzującą w trzewiach. Gdybym miał przy sobie miecz, każdy z tych dupków byłby już pozbawiony głowy. Nic dziwnego, że Ronan zabronił mi tu przychodzić z orężem. Ale i tak mogę sprać ich na miazgę gołymi rękami.

– On może nie, ale ja już tak. – Nagle znikąd pojawia się Derek Blackwater. Do diabła, powinienem był wyczuć, że się zbliża. – I jeśli nie potraficie się kulturalnie zachować, to stąd spływajcie.

Marionetki Tatiany kulą się na jego widok. Derek jest wysoki i napakowany, jeden rzut oka nikomu nie wystarczy, by stwierdzić, że został stworzony, a nie zrodzony. Kiedy królewscy mieli zdolność przemieniania ludzi w wampiry, robili to przypadkowo. Ale ten, kto stworzył Dereka, dokładnie wiedział, co robi.

– On zaczął. – Wskazuje na mnie najbardziej chuderlawy z całej czwórki.

To ma być cholerny żart?

Derek próbuje spacyfikować mnie spojrzeniem, ale mu się to nie udaje. W przeciwieństwie do tych tchórzliwych debili, którzy najchętniej czmychnęliby z podkulonym ogonem, ja się go nie boję.

– Lucca Della Morte. Wróciłeś niecałą dobę temu, a już szukasz kłopotów.

– Przywyknięcie do nowej rzeczywistości zajmie mi znacznie więcej czasu – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Domyślam się więc, że jeszcze nie rozmawiałeś z królem. – Derek sięga po szklankę whiskey, którą barman właśnie postawił dla niego na blacie.

– Nie.

– Wydaje mi się, że nie powinieneś się spotykać z równymi sobie, dopóki się nie dostosujesz. – Upija łyk drinka.

– Te dupki nie są równi mnie – warczę.

– Teraz są. – Derek przenosi spojrzenie na moje prawe ramię. – Łącznie z tym, który posłał cię na przedwczesną hibernację.

Boone. Rana zadana z użyciem wampomoru osłabiła mnie tak bardzo, że musiałem zahibernować przed czasem. Kurwa. Jeżeli nasze ścieżki się skrzyżują, żaden rozejm ani kara za jego złamanie nie powstrzyma mnie przed wyrwaniem Boone'owi serca.

– To się jeszcze okaże. – Chcę się odwrócić, ale Derek łapie mnie za ramię.

– Lucca, ja nie żartuję. Nie możesz stawiać zemsty ponad wszystko inne. Zbyt długo spałeś. Nie wiesz, jaka jest stawka.

Z głębi mojego gardła wrywa się niski warkot. Derek natychmiast puszcza mnie i cofa się o krok.

– Jeszcze raz mnie dotkniesz, a stracisz kończynę – ostrzegam.

Odwracam się od niego, gotując się ze złości. Nie ma pojęcia, jak niewiele brakowało, by posmakował mojego gniewu.

Nagle w moje ramiona rzuca się skąpo ubrana i kompletnie pijana przedstawicielka rodzaju ludzkiego. Bez chwili namysłu łapię ją w pasie i zatapiam zęby w miękkiej skórze jej szyi. Pojękuje, gdy tak na niej żeruję: niedelikatnie, bez cienia troski. Jutro będzie miała ogromnego sińca. Kiedy słyszę, że jej serce zaczyna bić niepokojąco powoli, wyciągam kły i ją odrzucam.

Chwieje się na obcasach, ale nie sprawdzam, czy się na nich utrzyma. Jestem zbyt wściekły, żeby się przejmować losem krwiodajek.

– Dokąd idziesz? – Saxon dotrzymuje mi kroku.

– Nie wiem. Byle dalej stąd.

I wtedy to słyszę: jej krzyk. Tamtej złodziejki. Mojej ofiary. Nie uciekała tak szybko, jak powinna, i teraz dorwał ją ktoś inny.

Nie na długo.



5. Vivienne

Matko święta. Matko święta.

Mam wrażenie, że ucieczka z pomieszczenia dla VIP-ów zajmuje mi całą wieczność. Serce wali mi jak oszalale, a krew z każdym jego uderzeniem dudni w uszach. Nie powinnam była ufać temu cholernemu zmiennokształtnemu. Powiedział, że trucizna zadziała na królewskiego. Okłamał mnie. Nie osłabiła go nawet na jedną minutę.

Przez łyzy stające w oczach nie widzę wyraźnie, dostrzegam jedynie kształty poruszających się ciał. Przedieram się przez tłum, starając się zwalczyć nadciągający atak paniki. Nie może dopaść mnie tu, gdzie otacza mnie wróg.

Jakimś cudem Lucca mnie puścił, ale jeszcze może zmienić zdanie. Ciężko dysząc, wreszcie zauważam wyjście. Rzucam się prosto do niego, ale nagle łapią mnie czyjeś silne dłonie i wciągają w ciemny kąt.

– Spokojnie, owieczko. Dokąd ci tak spieszo? – szepcze mi tuż przy twarzy jakiś wampir cuchnący rozkładem.

Co, do cholery? Lucca tak nie śmierdział. Jego zapach był zaskakująco upajający. Nie tak jak ten. Ten tutaj jedzie trupem.

– Puszczaj! – Próbuję się uwolnić z jego uścisku.

On tylko się śmieje.

– Och, zamierzasz walczyć? To nawet lepiej. Lubię wyrywające się przekąski. Dzięki temu ich krew jest słodsza.

Jego paznokcie przebijają mi skórę ramion. Wrzeszczę ile sił w płucach, z nadzieją, że ktoś przejmie się na tyle, żeby zainterweniować. Napastnik obraca mnie brutalnie i popycha na ścianę, a potem zakrywa mi usta ręką i napiera na mnie całym ciałem. Krzyczę i walczę, a przerażenie ściska mi wnętrzości. Wszystko to wygląda dokładnie tam samo jak tamtej strasznej nocy sześć lat temu.

Nie słyszę już nic oprócz nikczemnego śmiechu potwora, który chwytą mnie za pierś. Wampir, któremu sprzedała mnie matka, też chciał czegoś więcej niż tylko mojej krwi. W ustach wzbiera mi żółć, ale zarzycanie tego napastnika raczej go nie zniechęci.

Jego kły kaleczą mi szyję, a dłoń wjeżdża pod spódniczkę. Kręci mi się w głowie i nie czuję już nóg. Jeżeli zemdleję, będzie mu łatwiej. Nie mogę się poddać bez walki. Przystaję go odpychać i zaczynam szukać wokół mnie czegoś, co mogłabym wykorzystać. Natrafiam palcami na pustą szklanę stojącą na jakimś stoliku i z całych sił, jakie mi pozostały, rozbijam ją o czaszkę krwio pijcy.

Puszcza mnie natychmiast i chwytą się za głowę. Kiedy odsuwa dłoń od rany, widzę krew płynącą z rozcięcia. Wampir przez chwilę wpatruje się w zakrwawione palce, po czym przenosi spojrzenie czerwonych oczu na mnie.

– Ty cholerna krwiodajko. Zapłacisz mi za to.

Unosi szpony i szykuje się do zadania ciosu, a wtem ktoś odpycha go brutalnie. Rozpoznanie mojego wybawcy trochę mi zajmuje.

To Lucca.

Stoi niedaleko ode mnie, przerażający, piękny, morderczy. Powinnam uciekać, ale nogi nie chcą mnie słuchać. Oczy również płoną mu na czerwono, ale tym razem jego furia nie jest wymierzona we mnie. Wpatruje się w tego okropnego wampira, który z trudem staje na nogi.

– Boone – rzuca Lucca tonem ociekającym nienawiścią.

– Lucca. Kopę lat. – Poprawia marynarkę, jakby rozmawiał z kimś nic nieznaczącym.

– Jeżeli masz olej w głowie, natychmiast się stąd ulotnisz – mówi towarzysząca Luccie wampirzyca.

Boone wybucha śmiechem.

– Ulotnię? A to dlaczego? Dopiero co tu dotarłem, a wy przeszkodziliście mi w zabawie. – Zerka w moim kierunku i oblizuje usta.

Lucca robi krok do przodu, agresja bije od niego falami. Jego intencje są jasne. Dwaj królewscy zamierzają się na siebie rzucić, a ja stoję tu jak idiotka. Do Lukki dołącza kolejny znajomy – ten, który wcześniej nie pozwolił mi uciec.

– Czworo na jednego, Boone. Nie bądź kretynem i wynoś się stąd. Nie wolno nam cię zabić, ale możemy skopać ci dupę.

Wreszcie udaje mi się pokonać paraliż. Kiedy Lucca pozbędzie się Boone'a, skupi się na mnie. Niemożliwe, żeby zdążył zapomnieć, co mu zrobiłam. Robię krok w bok i powoli wymykam się z pomieszczenia, chociaż chciałabym zobaczyć, jak Boone płaci za to, co próbował mi zrobić. Ale nie za cenę mojego życia.

Serce dalej wali mi w piersi i nie uspokaja się nawet wtedy, gdy w końcu wybiegam z klubu. Stoi przed nim kolejka czekających na wpuszczenie do środka, głównie ludzi, którzy z chęcią zostaną wampirzą przekąską.

Kretyni.

Oddalam się od budynku i rozglądam za taksówką. Dopiero przecnicę dalej wyczuwam, że ktoś mnie śledzi. Kurna. Przyspieszam, ale się nie oglądam. Żałuję, że nie zabrałam ze sobą telefonu, wtedy mogłabym wziąć ubera. Ale za bardzo przerażała mnie wizja odebrania mi torebki albo czegoś, dzięki czemu można by mnie namierzyć. Nie wzięłam nawet dowodu.

Nagle przestaję słyszeć stalkera. Ośmielam się spojrzeć przez ramię i nikogo za sobą nie widzę. Co jest, do cholery? Tylko mi się wydawało, że ktoś za mną idzie? Zdezorientowana skręcam za róg i zderzam się z potężnym ciałem ze stali.

Otwieram usta, żeby krzyknąć, ale nieznajomy macha mi ręką przed twarzą i strach znika.

– Wszystko w porządku. Nie skrzywdzę cię.

Jest wysoki, jego wzrost zdecydowanie przekracza metr osiemdziesiąt, i ma szerokie ramiona. Włosy i krótko przycięta broda są siwe, a oczy ciemnoczerwone, niemal czarne.

Kuźwa, kolejny wampir. Dlaczego tak się na mnie uwzięły, skoro w klubie są dziesiątki chętnych ludzi?

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– Okej – odpowiadam spokojnie.

Musiał wprawić mnie w jakiś trans. Nie wiedziałam, że wampiry potrafią zniewalać ludzi. Świadomość tego powinna przerazić mnie jeszcze bardziej, ale nadal jestem całkowicie wyluzowana.

– Zdobyłaś naszyjnik?

Ożeż kurwa. Typ pracuje dla Larssona.

– Nie. Wampomor nie zadziałał. To nie moja wina. Proszę, nie krzywdźcie mojego brata.

Vivi, omal nie umarłaś, stoisz przed wampirem, który miesza ci w głowie, i błagasz o oszczędzenie Rikkona? Aż tak zgłupiałaś?

– Przyszedłem dać ci drugą szansę na zbliżenie się do Lukki Della Morte. Po przebudzeniu będzie musiał się zapisać do Instytutu Bloodstone. Ty zrobisz to samo.

Panika przełamuje urok wampira.

– Przecież to jest akademia dla wampirów. Nie mogę tam chodzić.

– Nie, nie jako człowiek. To oczywiste. Lucca rozerwie cię na kawałki, jeżeli znowu się na ciebie natknie.

Przełykam gigantyczną kulę, która stanęła mi w gardle.

– Chyba nie zamieszasz mnie przemienić, co? Nie chcę zostać krwiopijcą. – Mój piskliwy głos odbija się echem na pustej ulicy.

– Nie przemienię cię. Będziesz tylko udawać, że jesteś jedną z nas.

– Jak?

– Wypij to. – Wręcza mi szklaną fiolkę z jakimś ciemnym płynem.

– Co to jest? – Potrząsam flakonikiem, a jego zawartość chlupie podobnie do krwi.

– Magiczny napój, który sprawi, że będziesz wyglądać i pachnieć jak wampir.

Robię wielkie oczy.

– Wyrosną mi kły?
– Tak. Ale to wszystko będzie tylko iluzją. Nie musisz pić krwi i nadal będziesz mogła chodzić w słońcu.

Zaciskam palce wokół fiołki jeszcze mocniej.

– Jak długo będzie działać?

– Powiedziano mi, że miesiąc, ale może być różnie. Na twoim miejscu byłbym zachowawczy i zrobił swoje w trzy tygodnie.

Gapię się na eliksir i nie wierzę, że naprawdę rozważam jego wypicie.

– A jeśli odmówię? – pytam. – Larsson naprawdę zabije mojego brata?

– Trudno powiedzieć, ale na pewno rozprawi się z tobą.

– Dlaczego? Przecież nic mu nie zrobiłam.

– Jak to nie. Nie udało ci się ukraść Lucce naszyjnika. A smoki nigdy nie zapominają.

– Czyli mam do wyboru śmierć z ręki smoka albo śmierć z ręki wampira. Cudownie.

– Nie bądź taką pesymistką. Jeżeli wszystko dobrze rozegrasz, nikt nie zginie.

Otwieram usta, żeby mu odparować, ale on nagle znika w czarnym dymie.



6. Vivienne

Nadal jestem zestresowana, kiedy wreszcie docieram do przyczepy. Dlatego na widok ciemnej postaci siedzącej na stopniach w pierwszej chwili mam ochotę uciec.

– Vivi? – woła mnie Karl.

Przykładam dłoń do piersi i do niego podchodzę.

– Kurna, Karl. Śmiertelnie mnie przeraziłeś. Co ty tutaj robisz?

– Przyszedłem sprawdzić, co u ciebie. Czuję się jak dupek, że puściłem cię samą do Ember Emporium. Martwiłem się.

– Jak widzisz, jestem cała. – Podnoszę doniczkę z kwiatkiem stojącą przy schodkach i wyciągam spod niej klucze.

– Wiesz, że to nie jest zbyt rozsądna kryjówka, prawda? – Wstaje i odsuwa się, żebyśmy mogła otworzyć drzwi.

– Tak.

– Gdzie twój brat?

– Nadal ma go Larsson.

– I? – Karl nie ustępuje.

– I nic. Za uwolnienie go Larsson zażądał pieniędzy. Powiedziałam, że nie mamy ani centa. Więc teraz Rikkon musi pracować dla bossa smoków, dopóki nie spłaci długu.

Wow, aż nie wierzę, że tak gładko go okłamałam. Chociaż Karl przygląda mi się spod zmrużonych powiek, więc może nie kupił mojej historyjki. Pierwsza odwracam wzrok, bo nie mogę znieść jego przenikliwego spojrzenia.

Wchodzę do środka i odwracam się. Karl stoi z rękami w kieszeniach i nic nie wskazuje na to, że zamierza wejść za mną. Panuje między nami wyczuwalne napięcie, i to przeze mnie.

– Cheryl nadal jest na mnie wściekła? – pytam, żeby zmienić temat. Nie chcę, by Karl wypytywał mnie o brata.

– Tak, ale jej przejdzie.

– A ty?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiada i jego milczenie mówi samo za siebie. W mojej piersi znowu pojawia się ucisk, ale nie ma on nic wspólnego z lękiem przed tym, co muszę zrobić. Karl, Cheryl i Vaughn są dla mnie jak rodzina i zabija mnie myśl, że stracę ich przez błędy Rikkona.

– Nie jestem na ciebie zły, Vivi. Tylko rozczarowany.

Śmieję się gorzko.

– To jeszcze gorsze.

– Nie tobą – prostuje. – Życiem ogólnie.

– Rozumiem. Cóż, ja też jestem rozczarowana. Cheryl nie miała racji, gdy mówiła, że wykorzystuję brata jako wymówkę. Naprawdę nie mogłam się doczekać konkursu zespołów.

– Wiem. – Robi głęboki wdech i przelotnie patrzy w niebo. – Nie przyszedłem tylko po to, żeby sprawdzić, co u ciebie.

– Tak?

Przenosi na mnie zboląle spojrzenie.

– Postanowiliśmy zrobić sobie przerwę od grania.

To jedno zdanie gasi mój jedyny promień nadziei.

– Przeze mnie?

Kręci głową i wbija wzrok w pożółkłą trawę.

– Nie. Nie przez ciebie. Wydarzyło się coś niespodziewanego i przez jakiś czas nie będę mieć czasu na próby i występy.

Jasne jest, że nie chce zdradzać mi szczegółów. Nie naciskam. Ma prawo do tajemnic, tak samo zresztą jak ja.

– Spotkamy się jeszcze kiedyś? – pytam cicho. Nawet nie wiem, czy przeżyję zaplanowany przez smoki przekręt.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Możliwe, że przez jakiś czas nie.

Kiwam głową i z trudem przełykam ślinę. Rozstanie z nim mnie smuci, ale chwila jest idealna. Teraz nie będę musiała wyjaśniać swojej nieobecności.

– Późno już, lepiej pójdę – mówi.

Odwraca się, żeby odejść, ale nie mogę go tak puścić. Biegnę do niego i rzucam mu się w ramiona. Miażdży mnie w niedźwiedzim uścisku, a ja wtulam twarz w jego pierś.

– Będzie mi ciebie brakować – stwierdzam.

Całuje mnie w czubek głowy.

– Mnie ciebie też, Vivi. – Odsuwamy się od siebie, a on odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy. – Trzymaj się, siostrzyczko.

W oczach stają mi łzy. Zawsze w sercu był mi bratem, ale nie wiedziałam, że czuje do mnie to samo. Kiedy odchodzi i znika w mroku nocy, łzy spływają mi po policzkach niewstrzymywane.

– Trzymaj się, bracie.



Następnego ranka na schodkach czeka na mnie gruba czarna koperta. Nie ma na niej adresu nadawcy, srebrnym atramentem wykaligrafowano jedynie moje imię i nazwisko. Lęk przeszywa mnie dreszczem, a nad moją głową zawisa poczucie nadciągającej zguby. Pospiesznie zamykam drzwi i totalnie zapominam, dokąd akurat wychodziłam.

Jak jakiś tchórz rzucam kopertę na blat w kuchni i wpatruję się w nią, niemal się obawiając, że zaraz zamieni się w jakąś koszmarną istotę. Strach paraliżuje mnie przez jakiś czas, aż w końcu odważam się otworzyć przekłętą korespondencję. Wewnątrz znajduję broszurę ze zdjęciem okazałej gotyckiej budowli. Tuż pod insygniami akademii figuruje zapisana srebrnymi literami nazwa: Instytut Bloodstone.

Natychmiast zaczynam szybciej oddychać. To się dzieje naprawdę. Nie przyśniło mi się, że poszłam wczoraj do Havocu, gdzie niemal wyszło mi dwóch królewskich. Zaczynam się cała trząść, odsuwam sobie krzesło i padam na nie bez sił. Uspokojenie oddechu zajmuje mi dłuższą chwilę.

Koperta zawiera nie tylko broszurę. Znajduje się w niej również list powitalny. Cholera. Zostałam wciągnięta na listę studentów, w dodatku pod własnym nazwiskiem. Nie żeby Salem było jakimś wielkim miastem, ale wolałabym pseudonim. Nawet najbardziej wybujała wyobraźnia nie uznałaby Nocturnalu za popularny zespół, lecz graliśmy w kilku okolicznych barach. Jestem pewna, że wśród widowni znalazły się wampiry.

Jest źle. Jest naprawdę bardzo źle.

Rozdzwania się mój telefon, głośno i nieprzyjemnie. Znowu dzwonek ustawiony na brata. Zgarniam włosy do tyłu i zaciskam na nich pięści. Czy boss smoków już wie o mojej spektakularnej porażce? Pff, oczywiście, że tak. Gdyby udało mi się okraść Luccę, waliłabym właśnie do drzwi baru Larssona i żądała uwolnienia brata.

– Och, do kurwy nędzy. – Sięgam po telefon. – Słucham?

– Gdzie mój naszyjnik? – warczy Larsson.

– Nie mam go.

Długo milczy, po czym w końcu mówi:

– Mam nadzieję, że rozumiesz, co twoja porażka oznacza dla twojego brata.

Mój brat. To dzięki niemu znajduję się teraz w tym fatalnym położeniu. Poczucie winy i złość walczą ze sobą o dominację nad moimi uczuciami. W tym momencie wygrywa ta druga.

– Owszem. Ale powiedziałaś, że wampomor podziała na Luccę, a tak się nie stało. Prawie mnie zabili.

– To nie mój problem. Masz dwadzieścia cztery godziny na zdobycie naszyjnika albo zacznę odcinać kawałeczki twojego brata i karmić nimi psy.

Zamykam oczy i ściskam nasadę nosa, żeby powstrzymać napływ łez. Rikkon, ty durny

skurkowańcu. Jeżeli wyjdę z tego cało, sama cię zabiję.

– Potrzebuję więcej czasu – odpowiadam.

– Najwyraźniej nie roz...

– Chcesz tę pieprzoną błyskotkę czy jednak nie?! – przekrzykuję go, nie przejmując się tym, że to niebezpieczny nadprzyrodzony przestępca.

Nie odpowiada od razu, więc przez chwilę wydaje mi się, że nakazuje swoim pionkom zabicie mnie.

– Masz szczęście, że chcę dostać ten naszyjnik – oznajmia zimnym i ostrym tonem. – Ile czasu potrzebujesz?

– Trzech tygodni.

– To bardzo długo, a ja nie należę do cierpliwych smoków.

– Lucca już wie, że zależy mi na jego naszyjniku. Muszę się uciec do podstępu.

– Niech będzie. A jak planujesz się do niego zbliżyć, skoro tak spektakularnie nawaliłaś?

Zgrzytam zębami. Jeżeli nawaliłam, to przez jego niewydarzony plan. Zachowuję jednak tę ripostę dla siebie.

– To już moje zmartwienie. Tylko proszę, w tym czasie nie krzywdź mojego brata. Przyniosę ci ten cholerny naszyjnik.

– Lepiej, żeby tym razem ci się udało, dziewucho. Zwykle nie daję nikomu drugiej szansy. Nie zmarnuj jej.



7. Lucca

Ronan naciera na mnie z furią godną tysiąca żołnierzy. Ledwo udaje mi się parować jego ataki, a on systematycznie spycha mnie z tatami. Cały spływam potem, a ręce i nogi bolą mnie od intensywnego treningu. Brakuje mi tchu i kondycji. Cholera jasna.

Leżący na ławce Saxon wybucha śmiechem.

– A poprzedniej nocy sądziłeś, że możesz się zmierzyć z Boone'em.

– Pierdol się. – Przedramieniem ocieram pot z czoła i wracam na tatami.

– Zróbmy przerwę. – Ronan opuszcza miecz.

– Nie chcę pieprzonej przerwy. Dawaj.

– Dwa razy mało brakowało, a ściałbym ci ten wymuskany łeb. Robimy przerwę – oznajmia tonem nieznośnym sprzeciwu.

Zaciskam zęby i podążam za nim w kierunku wolnej ławki. Ronan siada i ociera twarz białym ręcznikiem. Nie żęby tego potrzebował. Nie spocił się za bardzo.

Siadam obok niego, ale zamiast się wytrzeć, pochylam się i opuszczam głowę. Kręci mi się w niej, co oznacza, że wkrótce znowu będę musiał się pożywić. Nie pociąga mnie jednak perspektywa picia krwi któregoś z ludzi zatrudnianych przez wuja. Nadal myślę o słodkim zapachu tamtej złodziejki. Rozbudziła we mnie najgłębszy głód. Wywołała żądzę krwi i teraz nie mogę przestać obsesyjnie o niej myśleć. To chore.

Drzwi sali otwierają się gwałtownie. Nie muszę podnosić głowy, by wiedzieć, że to moja siostra maszeruje w naszą stronę z determinacją charakterystyczną dla wampirzycy z misją.

Kurwa. Co znowu?

– Ktoś ukradł ci Barbie, Manu? – pyta Saxon.

– Goń się, dupku. – Staje przede mną i opiera dłonie na biodrach.

– Co? – Unoszę wzrok.

– Musisz pomówić z wujem.

– Ee, jeśli nie zauważyłaś, to nie widziałem go, odkąd się obudziłem po niemal stu latach hibernacji.

– Co? Nie przyszedł cię jeszcze odwiedzić? – Brwi podjeżdżają jej prawie na szczyt czoła.

– Właśnie to powiedziałem. W czym problem?

Zerka na Ronana. On udaje, że tego nie widzi, i patrzy prosto przed siebie.

Czy coś zaszło między tymi dwojgiem, kiedy spałem?

– Chce, żeby mój chowaniec dołączył do instytutu.

Ronan zgrzyta zębami tak głośno, że wszyscy to słyszymy.

– Nie widziałas go... jak długo? Od bez mała pięciuset lat? On w ogóle jeszcze żyje?

– O tak, żyje – drwi Saxon.

– Sześćdziesiąt lat temu przeprowadził się do Salem. – Manu splata ręce na piersi i odwraca wzrok.

– Dobra. To w czym problem?

– W czym problem? W czym problem? – krzyczy, wymachując ramionami. – Nie bez powodu przez cały ten czas się z nim nie spotykałam. Nie wiem, dlaczego wuj nagle zmusza nas do kontaktu.

Ronan wstaje gwałtownie.

– Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim zdecydowałaś się na chowańca.

Wychodzi spięty z sali i niemal wyrzywa drzwi z zawiasów.

– Co w niego wstąpiło? – pyta Saxon.

Manu nie odpowiada, więc mówię:

– Jeżeli wuj chce, żeby twój chowaniec dołączył do instytutu, nie możesz z tym nic zrobić.

W końcu to król. Jego słowo jest prawem. – Czuję gorycz w ustach. Jeszcze nie zaakceptowałem decyzji wuja o pokojowym współistnieniu z Tatianą. Nigdy tego nie zrobię.

Moja siostra wyrzuca ręce w górę z przeciągłym jękiem.

– To takie niesprawiedliwe.

– Dlaczego tak narzekasz? – wtrąca się Saxon. – Chowańce są super. Tacy osobiści asystenci. Sam chciałbym go mieć.

– Możesz sobie wziąć mojego. – Manu wykrzywia twarz z niezadowoleniem.

– Zachowujesz się jak dziecko – stwierdzam. – Chowańce są przydatne.

Siostra piorunuje mnie wzrokiem.

– To dlaczego sam go nie masz?

Saxon nie daje mi dojść do słowa.

– Bo Lucca jest takim potworem, że Nightingale’owie nie znaleźli ani jednego zwierzęcia, które by go lubiło.

Kiedy Nightingale’owie nas stworzyli, podarowali nam również chowańców, czyli zwierzęta przemienione magicznie w ludzi. Połączenie chowańca z wampirem równało się połączeniu ich sił życiowych, dzięki czemu ten pierwszy żył tak długo jak jego pan. Chowańce rozmnażały się tak jak my, a ich młodsze pokolenia z czasem utraciły zdolność zmieniania form i pozostały uwięzione w dwunożnej postaci.

– Kotle, poznaj garnek. – Wstaję.

Zawroty głowy nie minęły, a ta rozmowa w niczym nie pomaga. Chwieję się i prawie padam na tyłek.

– Ej, wszystko w porządku, stary? – Saxon natychmiast znajduje się koło mnie i podtrzymuje mnie za łokieć.

Odsuwam się z irytacją.

– Nic mi nie jest.

Manu mruży powieki.

– Kiedy ostatni raz żerowałeś?

– Przed treningiem wypłem kilka worków.

– Chodzi mi o to, kiedy pożywiałeś się na człowieku.

– Nie pamiętam. – Kieruję się do wyjścia.

– Nie robiłeś tego od pobytu w Havocu. – Idzie za mną wolnym krokiem. – Musisz jeść, Lucco.

Krew workowana nie zastąpi ci prawdziwej.

– Zjem po prysznicu. – Idę ku schodom prowadzącym na górę z piwnicy.

Mieszkamy we czwórkę w gotyckiej posiadłości ukrytej głęboko w lesie w pobliżu granicy miasta. To się zmieni, gdy udamy się do Instytutu Bloodstone, dużego budynku stojącego całkiem niedaleko i nieskrywanego przed resztą miasta.

Manu i moi przyjaciele już przeszli wymagany trening pohibernacyjny, ale dawno temu umówiliśmy się, że zawsze będziemy się trzymać razem. A to oznacza, że dla mnie ponownie zniosą absurdalny program.

Instytut stworzono w chwili, w której zostaliśmy zmuszeni do cyklicznej hibernacji, czyli prawie pół tysiąca lat temu. W dawnych czasach ich członkami byli wyłącznie przedstawiciele królewskich rodów, ale kiedy zaczęło się nas robić coraz mniej, a do programu treningowego włączono Red Watch, przestały być takie elitarne.

Po dotarciu na parter spodziewam się zastać dom pusty i spowity ciemnością, ale okazuje się, że rozpalony w salonie kominek zalewa pokój pomarańczowym światłem. W głębokim fotelu blisko ognia siedzi samotna postać. Mój wuj, król Raphael.

Manu i Saxon zatrzymują się obok mnie, lecz żadne z nich się nie odzywa. Wuj tak działa na wszystkich.

– Lucco. – Nie mówi nic więcej.

Zerkam najpierw na Saxona, a potem na Manu, która wbija spojrzenie w wuja. Przyjacieli kiwa głową i ciągnie ją ku wielkim schodom wiodącym na piętro, żeby nie pozwolić jej zepsuć mojego pierwszego po hibernacji spotkania z królem. Na chowańca może sobie ponarzekać później.

Podchodzę do kominka, kłaniam się wujowi i siadam na kanapie stojącej na wprost ciepłego

ognia. Zima jeszcze nie nadeszła, ale wujowi nigdy nie jest dostatecznie ciepło.

– Cieszę się, że się obudziłeś, synu.

– Cieszę się, że wróciłem.

Na kilka kolejnych sekund zapada cisza, w czasie której wytrzymuję spojrzenie wuja. Niewielu to potrafi.

– Nie podoba ci się rozejm – stwierdza w końcu.

– Nie.

– Długo spałeś. Wiele się zmieniło.

– Ciągle to słyszę, ale jak dotąd nie widziałem dowodów na usprawiedliwienie jego zawarcia.

Wpadłem wczoraj wieczorem na Boone'a. Taka sama z niego szuja jak wcześniej.

– Wiem. Nie zgodziłem się na pokój dlatego, że uwierzyłem, iż Tatiana i jej zwolennicy się zmienili. Zrobiłem to, by uchronić nasz gatunek przed wyginięciem.

– Naprawdę wierzysz, że Nightingale'owie wrócą, jeżeli uznają, że wojna się skończyła? – prychem.

– Nie.

– To dlaczego, do jasnej cholery, to robisz?

Zaciska usta i mruży oczy.

– Jeszcze nie mogę ci tego powiedzieć.

Zeskakuję z kanapy napędzany złością, którą bezskutecznie próbuję zdusić, odkąd dowiedziałem się o tym idiotycznym rozejmie.

– Gówno prawda! Mam prawo wiedzieć, dlaczego nie mogę wyrwać Boone'owi serca bez obawy, że zostanę za to stracony.

– Siadaj – rozkazuje.

Rozszerzam nozdrza i wbijam w niego wzrok przez kilka sekund, ale w końcu słucham. Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że dostanę od niego jasną odpowiedź. Przecież to niedościgniony mistrz wykrętów.

– Zamiast tracić czas na domaganie się wyjaśnień, powinieneś się skupić na przełamaniu klątwy.

Tym jednym zdaniem przebija mi płuca stalowym nożem. Nie chcę o tym myśleć. Nigdy.

– Po co się fatygować? Nie da się tego zrobić. Królowa Nightingale'ów sama tego dopilnowała.

– Nie wychowałem cię na płaczliwą pizdę.

Krzywię się, gdy to słyszę. Wuj ucieka się do wyzwisk tylko wtedy, gdy jest cholernie wściekły.

– Nawet gdybym potrafił kontrolować głód i nie zabijać, to jakoś nie widzę chmar latających po ziemi Nightingale'ów. Wszyscy odeszli, wuju.

– Nie wszyscy, Lucco. Zapominasz, że przed odejściem lubili się zadawać z ludźmi.

– Masz na myśli jakichś potomków?

Przytakuje.

– To niemożliwe. Nawet gdybym przypadkiem się na jakiegoś natknął, to jego krew będzie zbyt rozcieńczona. Nie zadziała.

Poza tym najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że wydrenowałbym takiego człowieka do cna, a to skazałoby mnie na wieczne potępienie.

– Czyli wolisz w ogóle nie próbować? Nigdy nie miałem cię za tchórza.

Zaciskam pięści i z trudem powstrzymuję gniewną ripostę.

– To twoja ostatnia szansa, Luc – ciągnie łagodniejszym tonem. – Jeżeli znowu zapadniesz w hibernację, już się z niej nie wybudzisz.

Jakbym, kurwa, nie wiedział.



8. Vivienne

Stoję przed Instytutem Bloodstone już ponad godzinę, ukrywając się w cieniu wiekowego dębu rosnącego po drugiej stronie mrocznej drogi wiodącej ku strzelistej bramie. Nie ma tu nic oprócz akademii. Nieproszonych gości powstrzymują wysokie mury, a gęsty las jeszcze bardziej podkreśla upiorność tego miejsca.

Bezlitosne przażenie ściska mi wnętrzności i wywołuje dreszcze. Przez następne trzy tygodnie to będzie mój dom – o ile oczywiście nie zostaną wcześniej zdemaskowana i zabita.

W dłoni ściskam eliksir, który przemieni mnie w wampirzycę. Postanowiłam wypić go jak najpóźniej. Teraz tylko tracę czas. Odległe wycie wilka jest znakiem, że właśnie mi się on skończył. Słońce zaszło i robi się późno. Nie wolno mi zapominać, że w tym mieście żyją wolno również inne potwory.

Odkręcam buteleczkę i wypijam miksturę jednym haustem. Jest cholernie gorzka i o mały włos jej nie zwracam. Żołądek mi się buntuje, ale mocno zaciskam usta. Rzyganie w ogóle nie wchodzi w grę. Opieram się o drzewo i czekam, aż mdłości miną.

Trwa to kilka minut, a potem nagle całe ciało mrowi mnie tak bardzo, że aż zaczynam świrować. Czy tak działa to zaklęcie? Gorączkowo przeszukuję torebkę i wyciągam z niej komórkę. Jak teraz wyglądam?

Odpalam aparat i wpatruję się w twarz, która wygląda dokładnie tak samo jak pięć minut temu. Nie wiem, czego się spodziewałam. Wampiry przecież wyglądają jak ludzie, dopóki nie odsłonią kłów i oczy nie zaczną im płonąć. Przyglądam się zębom i zauważam, że czubki kłów się wyostrzyły. To na nic, Lucca i tak z łatwością mnie rozpozna.

– Na co czekasz? – Zza pleców dobiega mnie męski głos.

Piszczę i upuszczam telefon. Stoi przede mną ten sam siwowłosy wampir, który wczoraj w nocy dał mi eliksir.

– Co ty wyprawiasz!?

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

– To się tak nie zakradaj! – Schylam się i podnoszę komórkę.

Znowu nie czuję przażenia, jakie zwykle ogarnia mnie w obecności krwiopijców. Ten królewski ponownie używa jakiegoś czaru. Skoro się nie boję, odczuwam wyłącznie rozdrażnienie.

– Odpowiedz na moje pytanie. Na co czekasz?

– Mówiłeś, że dzięki tej miksturze będę przypominała wampirzycę. A nadal wyglądam jak ja, czyli nic nie działa.

– Działa, działa. Ja nie czuję, żebyś była człowiekiem.

– Może i nie, ale to i tak nieważne. Lucca od razu przejrzy podstęp. Dobrze mi się wczoraj przyjrzał.

– Nie rozpozna cię. Wierz mi.

– Mam ci wierzyć? Przecież cię nie znam.

Mruży powieki.

– Co Larsson zamierza zrobić twojemu bratu, jeżeli nie dostanie tego, czego chce?

Że też musiał mi przypominać o tamtej rozmowie. Dobrze mi szło niemyślenie o Rikkonie i jego nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Kretyn wywołuje we mnie sprzeczne emocje, ale przecież nie chcę, żeby zginął.

Ten wampir najwyraźniej jednak wie o moich układach z bossem smoków aż za dużo. O co mu chodzi?

– Nie chcę tego powtarzać. – Przenoszę spojrzenie na budynek.

– Czas ucieka, Vivienne.

Czuję powiew wiatru, a kiedy zerkam w stronę wampira, już go nie ma.

– Głupi krwiopijca – mruczę pod nosem.

Poprawiam pasek worka marynarskiego, robię głęboki wdech i przechodzę przez ulicę. Nagle moją twarz oświetlają reflektory, a ułamek sekundy później do moich uszu docierają dźwięki raptownego hamowania i klaksonu. Odskakuję do tyłu, łapię się za serce i wlepiam wzrok w czarnego SUV-a, który o mało mnie nie przejechał. Przez oślepiające światła nie widzę kierowcy, dopóki nie opuszcza szyby, żeby wystawić głowę przez okno.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? Zejdź mi z drogi.

O mój Boże. To Lucca. To on prowadzi samochód, a teraz piorunuje mnie wzrokiem i jasne jest, że mnie nie rozpoznaje. Gramolę się na chodnik i patrzę osłupiała, jak mnie mija i przejeżdża przez otwartą już bramę instytutu.

Niech mnie. Zakłęcie naprawdę podziałało.

Brama zaczyna się zamykać, więc rzucam się biegiem i przekraczam ją w ostatniej chwili. Nadal jeszcze ciężko oddycham, gdy w mgnieniu oka materializują się przede mną dwaj ochroniarze w czarnych garniturach. Kurna. Potrafią się szybko ruszać.

– To teren prywatny. – Jeden z nich sięga do mojego ramienia.

Odskakuję.

– Ej, ja tu się uczę.

Wymieniają spojrzenia, a potem ten, który się odezwał pierwszy, znowu się do mnie zwraca:

– Nazwisko?

– Vivienne Gale.

Jego posępną twarz rozświetla zimne światło, kiedy sprawdza telefon.

– Jest na liście.

Drugi z ochroniarzy przeszywa mnie surowym spojrzeniem.

– Idź do biura administracji. A następnym razem nie próbuj się tu zakradać.

– Jasne. Dzięki.

Ruszam pospiesznie do budynku z nadzieją, że nie słyszą łomotu mojego serca. W przeciwieństwie do tego, co nam wmawia popkultura, wampirom też bije serce, ale nie wiem, czy jego rytm również tak bardzo wariuje, kiedy są zestresowane.

Staram się jak najszybciej zniknąć ochroniarzom z oczu, więc z impetem przechodzę przez ciężkie drzwi frontowe. Ale w środku natychmiast zastygam. Wysoko sklepiony sufit jest dobrze oświetlony, wewnątrz nie wygląda na mroczne ani posępne, lecz wszędzie roi się od wampirów. Nie potrafię powstrzymać przerażenia, które mnie ogarnia. Zaczyna mi się kręcić w głowie, a przed oczami pojawiają się mroczki. Jeszcze parę sekund i zrobię z siebie widowisko.

– Też jesteś nowa? – Słyszę obok siebie damski głos.

– Co? – piszczę i zerkam na nieznajomą.

To drobna brunetka z dużymi, okrągłymi oczami i mocno kręconymi loczkami sięgającymi ramion. Wygląda na dwanaście lat.

– Ja też jestem nowa. Nie martw się. Poradzimy sobie. – Uśmiecha się do mnie, odsłaniając ledwo zarysowane kły. – Tak w ogóle to jestem Cassandra, ale wszyscy mówią mi Cassie. A ty jak się nazywasz?

– Vivienne.

Wyciąga do mnie rękę, ale ja się tylko na nią gapię, zamiast ją ująć. Przyjazny uśmiech Cassie zaczyna rzednąć, więc robi mi się przykro. Wreszcie potrząsam jej dłonią.

– Miło mi cię poznać – mówię.

Poczucie ulgi zalewa jej twarz, a ja nie padam na miejscu od tego uścisku ręki. Może jednak sobie poradzę.

Idziemy razem do biura. Nie mamy daleko, ale w tym krótkim czasie udaje jej się opowiedzieć mi historię swojego życia. Jej rodzice pochodzą z Bostonu i nie należą do rodu Blueblood. Jak większość wampirów mieszkających poza Salem muszą pracować dla ludzi, mając nadzieję, że nikt nie odkryje ich tajemnicy.

Wpisała się na listę oczekujących na przyjęcie do instytutu ponad pięćdziesiąt lat temu. Ma nadzieję, że zostanie wartowniczką i znajdzie zatrudnienie u kogoś z królewskiego rodu. Nie wiem, kim

jest wartownik, ale nie mogę o to zapytać.

Dzięki temu, że całkowicie zdominowała rozmowę, nie muszę odpowiadać na żadne pytania na swój temat. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążyłam wymyślić żadnej bajeczki.

Czekamy w biurze wraz z pięciorgiem innych studentów. To wszystko zwyklaki, które od dawna czekają na przyjęcie do Bloodstone. Tajemniczy wampir, który mi pomaga, zdołał zaklepać dla mnie miejsce w niecałą dobę. Musi być jakąś grubą szychą, więc zaczynam wątpić w jego intencje.

– Vivienne Gale? – woła wampirzyca za biurkiem.

Zrywam się na równe nogi i jak jakiś przygłup odpowiadam:

– Obecna!

Moje wystąpienie wywołuje śmiech innych oczekujących. Z płonąca ze wstydu twarzą podchodzę do biurka, unikając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek.

– Vivienne Gale to ja – powtarzam.

Wampirzyca pisze coś na komputerze, nawet na mnie nie patrząc, a po chwili marszczy brwi.

– Dziwne.

– Co takiego?

Posyła mi badawcze spojrzenie.

Cholera. Czyżby podejrzewała, że nie jestem wampirzycą?

– Nie należysz do królewskich, ale dostałaś pokój w ich skrzydle.

Kurna. Dopiero w tym momencie wszystko do mnie dociera. Co prawda spakowałam ubrania i przedmioty osobiste, jednak zupełnie zapomniałam, że będę mieszkać z wampirami. A może nadal byłam w szoku, gdy się przygotowywałam do przybycia tutaj.

– I dzielę z kimś ten pokój?

– Nie pokój, kochaniutka. Apartament. Królewscy mają pokoje tylko dla siebie.

Robię głośny wydech, bo nieco mi ulżyło. Dzielenie apartamentu jest znacznie lepsze niż dzielenie pokoju.

– No to dobrze.

Znowu marszczy brwi i stwierdza:

– Nie rozgaszczaj się za bardzo. To najpewniej błąd i po zakończeniu rejestracji zostaniesz przeniesiona.

Cholera jasna.

Przesuwa w moją stronę klucz uniwersalny.

– Apartament czterdzieści sześć B. Wprowadzenie do szkolenia wartowników zaczyna się za kwadrans. Hanson nie toleruje spóźnień, więc lepiej najpierw idź tam, a do mieszkania dopiero później.

– Co? Szkolenie wartowników? Nie na to się zapisywałam.

Sekretarka dziwnie na mnie patrzy.

– W takim razie nic tu po tobie. Szkolenia skrybów zostały oficjalnie zakończone do odwołania.

Kim są skrybowie, też nie wiem. To wszystko zdecydowanie mnie przerasta, więc powinnam trzymać dziób na kłódkę i płynąć z prądem.

– Powiedziałaś, że nie zapisywałam się na szkolenie wartowników? – Śmieję się nerwowo. – Chodziło mi o skrybów.

Łapię klucz i wychodzę z biura, zanim wytknie mi gadanie głupot. Okazuje się, że Cassie na mnie czeka, co mnie, o dziwo, cieszy. Nigdy nie sądziłam, że nastanie taki dzień, gdy będę zadowolona z towarzystwa wampira.

– Jaki pokój dostałaś? – pyta.

– Apartament czterdzieści sześć B.

– Co? Apartament? – Unosi brwi aż do nieba. – Myślałam, że tylko królewscy je dostają.

Wzruszam ramionami.

– To jakaś pomyłka. Wyjaśnią ją, gdy skończą rejestrację.

Wątpię. Celowo trafiłam do skrzydła królewskich. Mam tylko nadzieję, że nie wyląduję w jednym apartamencie z kimś okropnym jak tamten cały Boone.

Idę z Cassie do auli i zaczynam się rozluźniać. Ale oczywiście nie trwa to długo. Nagle czuję, jak

zmienia się atmosfera. Rozmowy przechodzą w szept, a w końcu wszyscy zamierają i patrzą w kierunku wejścia. Sama podążam spojrzeniem w tamtą stronę i wszystko staje się jasne. Zmierza ku nam Lucca, a za nim jego świta. Żołądek mi się ściska, a na ramionach pojawia się gęsia skórka. Robię krok do tyłu i staram się zlać z otoczeniem. Powinnam też spuścić wzrok na podłogę, ale nie mogę oderwać oczu od tego wampira. Jego mroczny wdzięk przyciąga mnie jak płomień ćmę.

Lucca idzie przed siebie, jakby instytut należał do niego, i najwyraźniej w ogóle nie przejmuje się tym, że wszyscy utkwili w nim wzrok. Przynajmniej dopóki nie mija mnie – wtedy się odwraca. Nasze spojrzenia się spotykają i w tym ułamku sekundy w jego brązowych oczach dostrzegam karmazynowy błysk.

Czy mi się wydawało, że nawet w postaci wampira jestem dla niego ofiarą?



9. Lucca

Ulga. To właśnie czuję, przemierzając korytarze instytutu. Byłem nieobecny przez długi czas, a w naszym społeczeństwie zaszły drastyczne zmiany. Nie wiedziałem, jak zostaną przyjęty. Łatwo było ulec obawom. Ale wampiry – zwyklaki i królewscy – nadal patrzą na mnie z trwożnym podziwem. Wciąż odpowiednio na wszystkich działam.

Nie nawiązuję z nikim kontaktu wzrokowego, dopóki jakaś dziwna siła nie nakazuje mi spojrzeć w prawo. I wtedy zauważam ją, tę głupią zwyklaczkę, która wypadła mi wcześniej przed maskę. Zdążyłem już o tym zapomnieć, ale widok jej twarzy z bliska pobudza coś w mojej pamięci.

Spotkałem ją gdzieś już wcześniej?

Jest zwyklaczką, ładną, ale przeciętną. Przeleciałbym ją, porzucił i zapomniał. Dlaczego teraz tak mnie pociąga?.

Z trudem odrywam od niej wzrok. Nie mogę się rozpraszać świeżym towarem. Powinienem się teraz skupiać na okazywaniu dominacji. Nikt nie może się domyślić, że moje dni są policzone. Przypominam sobie słowa wuja i znowu się iryтую. Myli się. Nie jestem tchórzem. Po prostu nie mam już nadziei.

Kiedy skręcam w stronę auli, Saxon pyta:

– Dlaczego tu jesteście? To przecież wprowadzenie do szkolenia dla wartowników.

– Chcę się dowiedzieć, co to za bezsens.

Kieruję się do pierwszego rzędu. Nie chcę, żeby moja obecność uszła uwagi głównodowodzącego kretyna. Ronan w kilku słowach zapoznał mnie z planem zajęć i do tej pory nie mogę wyjść z szoku. Kiedy ci nowi rekruci ukończą szkolenie, w prawdziwej wojnie nie będą mieli najmniejszych szans.

Powoli aula się wypełnia. Nie wydaje mi się, żeby większość widowni była zainteresowana szkoleniem wartowników, ale stado idzie tam, gdzie ja. Wyraźnie jednak widać podział na klasy. Królewscy i zwyklaki zwykle się ze sobą nie mieszają. To elitarystyczny zwyczaj ciągnący się od wielu pokoleń. Nie popieram go, ale też nie zależy mi na jego zmianie.

Kątem oka zauważam, że zbliża się Therese Schutz, wampirzyca drugiego pokolenia jak my. Jest wysoka, smukła i ma uderzające rysy twarzy, dzięki czemu obecnie mogłaby być supermodelką. Długie hebanowe włosy nosi teraz wyprostowane i z przedziałkiem pośrodku, a jej ubrania odślaniają znacznie więcej niż kiedyś. Nie żebym wielokrotnie nie widział wszystkiego, co ma do zaoferowania. Współczesny termin na to, co nas kiedyś łączyło, to chyba *fuck buddy*.

Siedząca obok mnie Manu stęka.

– Błagam, nie zaczynaj tego znowu. Nie znoszę tej suki.

Już mam odpowiedzieć, że to wyłącznie jej problem, ale kiedy tak patrzę, jak Therese zmierza w moją stronę, kołysząc biodrami i emanując seksapilem, uświadamiam sobie, że w ogóle na mnie nie działa.

– Lucca – mruczy, gdy się przede mną zatrzymuje. – Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też – kłamię, bo chcę uniknąć sceny, jaką wywołałoby odrzucenie Therese pierwszego dnia po powrocie z hibernacji.

– Stęskniłam się za tobą. – Przygryza dolną wargę i wypina pierś.

Mój wzrok pada na jej dekolt i na chwilę się tam zatrzymuje. W końcu jestem samcem i mam niezłe zaległości w łóżku, ale w spodniach nic mi ani drgnie.

Na scenę przed nami wskakuje Hanson, wampir odpowiedzialny za szkolenie nowych wartowników, i sięga po mikrofon.

– Przestań się rzucać na mojego brata i siadaj, Therese. Lucca nie przeleci cię w tej sekundzie – rzuca Manu.

Therese mruży powieki.

– Za mną przynajmniej ustawia się kolejka, żeby mnie przelecieć. A kto ugania się za tobą, kochana?

Manu już ma się zerwać z fotela, ale Ronan łapie ją za nadgarstek i utrzymuje na miejscu. Moja siostra wyrywa gwałtownie rękę i patrzy z wściekłością na oddalającą się Therese.

- Rozumiem, że nadal jej nie lubisz? – Śmieję się pod nosem.
- A co można w niej lubić? Ma osobowość dmuchanej lalki.
- Gdybyś miała fiuta, myślałabyś inaczej – zauważa Saxon ze śmiechem.
- Oblech. Zachowaj swoje prostackie teksty dla krwiodajek.

Ich przekomarzanie przerywa głos Hansona. Wampir najpierw wita nowych rekrutów, a potem, jakby po namyśle, wspomina o mnie. Złamas. Należy do królewskich, ale trzeciego pokolenia. Łatwo zrozumieć, dlaczego dostał tę pracę. Nigdy nie opowiedział się za żadną ze stron konfliktu, wolał zachować neutralność. Rzecz w tym, że w naszym świecie coś takiego nie istnieje. „Neutralny” oznacza tak naprawdę „gdy wszystko się skończy, opowiem się za zwycięzcami”. Odrażająca postawa godna skończonego tchórza.

Na usta wypływa mi szyderczy uśmiech i nie schodzi z nich przez całą przemowę.

- Teraz chciałbym zaprosić nowo przybyłych na scenę – mówi.

Oglądam się przez ramię, żeby znaleźć zwyklaczkę, która wcześniej przyciągnęła moją uwagę. Podąża w kierunku sceny za drobną brunetką i jest jeszcze bledsza niż normalnie. Skupiam się na niej i maksymalnie wyęzgam instynkty drapieżnika. Serce bije jej szybko, co pasuje do paniki wypisanej na twarzy. Znalezienie się na scenie przed widownią złożoną z przedstawicieli rodów królewskich może być dla nowicjuszy trudne, ale jej lęk to chyba coś więcej niż tylko trema. Jest też cholernie znajomy.

- Ooo, to będzie fajne – mruczy pod nosem Manu.
- Cholera, blondyna trzęsie się jak osika. Według jakich kryteriów wybierają tych świeżaków? – prycha Saxon.

Hanson zanudza wszystkich niekończącą się gadką o tym, jak ważni są wartownicy. Mają chronić nasz gatunek przed zewnętrznymi zagrożeniami, takimi jak łowcy wampirów i inne istoty nadprzyrodzone. Pieprzone bzdury. Nie mieliśmy problemów z łowcami od śmierci ostatniego potomka Van Helsinga, który zabrał obsesyjną nienawiść do nas ze sobą do grobu.

– Przekonajmy się, jak sprawnie władacie już bronią. – Hanson wręcza każdemu z pięciorga rekrutów po małym sztylecie.

Dla zwyklaków zostanie wartownikiem to zaszczyt i sposób na nadanie swojemu życiu większego znaczenia. Wszyscy rekruci biorą broń gorliwie, a nawet z zachwytem. Oprócz blondynki. Ona się waha, a kiedy w końcu przyjmuje sztylet, najwyraźniej nie ma pojęcia, jak się z nim obchodzić.

Nagle wykrzywia twarz i wkłada kciuk w usta.

Moje nozdrza lekko się rozszerzają, a kły w pełni wysuwają. Wszystko gwałtownie do mnie powraca i już wiem, kim ona jest. Pojedyncza kropla przelanej krwi przełamała zakłęcie skrywające jej prawdziwą tożsamość. To złodziejka z Havocu.

Zaczynam widzieć wszystko na czerwono, a z mojego gardła wyrywa się warkot. Chwytam podłokietniki fotela i wbijam paznokcie w jego skórzane obicie.

- Lucca, wszystko w porządku? – pyta Manu.

– Nie widzisz, kto to jest?

– Nie. Powinam ją znać?

Z trudem odrywam spojrzenie od złodziejki i wbijam je w siostrę.

– Nie rozpoznajesz jej?

– W życiu jej nie widziałam.

– Cholera jasna, Luc. Oczy ci płoną na czerwono. – Saxon patrzy na mnie z niepokojem.

Zaczynam tracić silną wolę. Kontrolę nade mną przejmuje żądza krwi i jeśli teraz stąd nie wyjdę, wydrenuję tę dziewczuchę do ostatniej kropli krwi. Nie żeby na to nie zasługiwała, ale nie mogę tak przy wszystkich zabić człowieka.

– Muszę... stąd... iść... – dukam przez zaciśnięte zęby.

– Nie. Jeżeli wybiegniesz w takim stanie, wszyscy zaczną gadać. – Manu znowu zerka na scenę. – Jeśli problemem jest ta blond zwyklaczka, to się jej pozbędę.

– A jak zamierzasz zabrać ją ze sceny, nie powodując zamieszania? – pyta Ronan.

Manu wyciąga szyję i rozgląda się po tłumie.

– Aha! Mam.

Wyciąga telefon i zaczyna nadnaturalnie szybko pisać wiadomość. Po sekundzie dostaje odpowiedź.

– Głupia czarownica. Nie może po prostu tego zrobić bez zadawania tysiąca pytań? – mruczy, znowu stukając w ekran.

– Cokolwiek planujesz, lepiej zrób to naprawdę szybko. Lucca robi się purpurowy na twarzy – rzuca Saxon.

Tylko dlatego, że z całych sił zwalczam potrzebę żerowania.

– Do kogo piszesz? – Ronan próbuje czytać przez jej ramię, ale go odpycha.

– Do Aurory.

Sekundę później światła w auli zaczynają migać i w końcu wszystkie gasną. Na ramieniu czuję powiew wiatru. To Manu zerwała się z siedzenia. Ze sceny dobiega mnie dźwięk powietrza wciąganego raptownie do płuc. Siostra dorwała złodziejkę. Wampiry widzą w ciemnościach, ale potrzebujemy kilku sekund na akomodację. Po chwili jednak światła zapalają się ponownie. Po Manu i dziewczynie nie ma już śladu.

Żądza krwi zaczyna odpuszczać, ale wściekłość nie. Jeżeli dziewczyna przyszła tu, udając wampirycę, to znaczy, że nadal chce mi odebrać naszyjnik. Raz darowałem jej próbę kradzieży. Tym razem nie pozwolę jej uciec bez zemsty.



10. Vivienne

W jednej chwili popełniam idiotyczny błąd i kaleczę się sztyłem w kciuk, a w drugiej gasną światła i czyjaś dłoń zakrywa mi usta. Jestem porwana i nie mam najmniejszych szans wezwać pomocy. Osoba, która ściągnęła mnie ze sceny, przestaje się poruszać z zawrotną prędkością dopiero wtedy, gdy znajdujemy się już w innej części instytutu. Jeszcze nigdy tu nie byłam.

Puszcza mnie i mocno popycha, więc upadam na podłogę.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – pyta białowłosa wampirzyca.

Jak najszybciej staję na nogi i cofam się, aż trafiam plecami na ścianę.

– Nikim. Normalną zwykłą.

– Gówno prawda. – Robi krok w moją stronę, od ledwo powstrzymanej złości aż się trzęsie. – Zrobiłaś coś mojemu bratu. Chwilę temu o mały włos nie wpadł w szal, i to właśnie przez ciebie.

Najwyraźniej siostra Lukki mnie nie pamięta, więc najlepszym rozwiązaniem będzie kolejne kłamstwo.

– Nie zrobiłam nic twojemu bratu. Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

– Co tu się dzieje? – pyta kolejny żeński głos.

Obląkana wampirzyca się obraca i syczy na nowo przybyłą:

– To ciebie nie dotyczy, Auroro.

Brunetka spokojnie patrzy w szalone oczy wampirzycy i nawet powieka jej nie drgnie.

– Poprosiłaś mnie o pomoc, czyli sama zaangażowałaś mnie w tę sprawę. No już, gadaj. Nie mam czasu na szopki królewskich.

Obserwuję ją uważnie i próbuję ustalić, co w jej postawie jest inne. Ma opaloną skórę, proste jasnobrązowe włosy, a oczy w kształcie migdałów i w kolorze whiskey. Jest piękna, ale nie nieziemsko. W końcu to do mnie dociera. To nie wampirzyca, tylko człowiek. Jakim cudem bez lęku ściera się z przedstawicielką królewskiego rodu wampirów? A wampirzyca z kolei nie ma najmniejszego zamiaru jej atakować.

Niespodziewanie krew w moich żyłach robi się lodowata, a włoski na karku stają mi dęba. Coś ściska mnie w dołku i nie ma to nic wspólnego z obecną sytuacją. Czuję w pobliżu jego obecność, czuję, jak mnie obserwuje. Powoli obracam głowę w prawo. Stoi na końcu korytarza, a jego oczy płoną na czerwono. Nawet z tej odległości widzę wystające z na wpół otwartych ust ostre końcówki kłów. Z trudem przełykam ślinę. Jego drapieżna postawa jest przerażająca, ale nie mogę oderwać od niego wzroku.

– Ej. Wszystko w porządku? – Aurora staje przede mną i zasłania mi Luccę.

– Tak.

Wtedy zauważam, że białowłosa wampirzyca zniknęła. Wrażenie zbliżającej się zagłady powoli mija i bez zaskoczenia odkrywam, że Lucca również się ulotnił.

Odsuwam z twarzy samotny kosmyk włosów.

– Nie wiem, co się stało.

Aurora unosi brew.

– Serio?

– Tak, serio.

Łapie mnie za rękę i przesuwając palcem po rozcięciu na kciuku.

– Musisz bardziej uważać z ostrzami. Krew ma moc. Potrafi przełamać najsilniejsze zaklęcia.

Mimowolnie robię wielkie oczy. Wyrывam jej dłoń i cofam się.

– Wiesz, kim jestem?

Uśmiecha się szeroko.

– Z początku nie wiedziałam. Ale ty musiałaś się zaciąć w pomieszczeniu pełnym krwiopijców.

Zerkam na miejsce, w którym przed chwilą stał Lucca.

– Czy to znaczy, że się zdemaskowałam?

– Nie. Manu nie miała pojęcia, że nie jesteś wampirzycą. Ja wiem, że jesteś człowiekiem, bo jestem czarownicą.

Zakrywam twarz dłońmi.

– Wiedziałam, że to był tragiczny pomysł. Nie mogę tego zrobić.

– Czego?

Kurwa. Za dużo powiedziałam.

– Nieważne. Muszę znaleźć swój apartament i uporządkować myśli.

– Apartament? To gdzie masz mieszkać?

– W skrzydle królewskich. Numer czterdzieści sześć B.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, po czym wybucha śmiechem.

– Boże drogi! Nie wiem, dlaczego się tu znalazłaś i udajesz wampirzycę, ale ten, kto cię w to wrobił, zdecydowanie nie ma dobrych intencji.

– O czym ty mówisz? Wiesz, z kim dzielę mieszkanie?

– O, tak. Właśnie ją poznałaś.

– Kurwa. Mam mieszkać z tą obłąkaną królewską?

– No. Na twoim miejscu spałabym z jednym okiem otwartym. Manu potrafi być brutalna, zwłaszcza jeżeli uważa kogoś za zagrożenie dla rodziny.

Zamykam na moment oczy i zwalczam nagle pragnienie, żeby wziąć nogi za pas i o wszystkim zapomnieć. Ale nie mogę zawieść Rikkona, nawet jeżeli ciągle powtarzam, że nie będę dłużej znosić jego wyskoków. To mój brat i go kocham.

– Nie chcę nikogo skrzywdzić – odpowiadam cicho.

– Upewnij się, że to do niej dotrze. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że jutro się spotkamy. Trzymaj się, nowa.

Chciałabym wypytywać ją dalej, ale nie jesteśmy już same. Wprowadzenie do szkolenia najwyraźniej się skończyło i korytarz powoli wypełnia się wampirami. Czarownica znika w tłumie, zanim udaje mi się poprosić ją o numer telefonu. Jeszcze nie wiem, jak się czuję z tym, że zna moją tajemnicę. Nie wydała mnie Manu.teraz, ale to nie znaczy, że nie zrobi tego w przyszłości.

Nadal wytrącona z równowagi świadomością tego, z kim będę mieszkać, wracam do auli po swoje rzeczy. Przy drzwiach zastaję Cassie z moim workiem. Dzięki Bogu.

– Tu jesteś. Już zaczęłam się martwić.

– Przepraszam.

– Gdzie zniknęłaś?

– Musiałam skorzystać z łazienki.

Nie patrzy na mnie podejrzliwie, chociaż się tego obawiałam. Nie umiem kłamać i dobrze o tym wiem. To kolejny powód, dla którego ta misja jest skazana na porażkę. Nie ma szans, że uda mi się zgrywać wampirzycę, skoro moją współlokatorką będzie ta wariatka. I oczywiście musi być w dodatku siostrą Lukki.

Może mój tajemniczy znajomy zrobił to specjalnie, uznawszy, że to pomoże mi zbliżyć się do celu. Najwyraźniej nie wie, że jest ze mnie chodząca katastrofa. Już omal nie nawaliłam, a nie minęła jeszcze godzina.

Cassie mówi o czymś w drodze do naszych kwater, ale ledwo jej słucham. Monolog wewnętrzny okazuje się głośniejszy. Nagle wampirzyca zatrzymuje się przed jakimiś schodami, co sprowadza mnie na ziemię.

– No to tu się rozstajemy. Mój pokój jest tam. – Wskazuje głową w lewo.

Wreszcie zaczynam zwracać uwagę na otoczenie i zauważam tabliczkę informacyjną. Apartamenty znajdują się na górze.

– Okej. Do zobaczenia później – odzywam się w końcu.

– Czekał, dasz mi swój numer? Napiszę do ciebie, jak już się rozpakuję.

Dyktuję jej numer, a ona wysyła mi esemes, żebym mogła zapisać jej telefon.

Kiedy stoję przed mieszkaniem, które ma być moim domem na następne trzy czy cztery tygodnie, jestem już kłębkim przerażenia. Biorę głęboki wdech, otwieram drzwi kluczem i powoli wchodzę do

środku. Wita mnie zaskakująco przytulny nowoczesny salonik. Na kanapie modułowej, która wydaje się wygodna, leżą kolorowe poduszki i parę koców. Na jasnoszarych ścianach wiszą abstrakcyjne obrazy, a metalowe żaluzje są częściowo schowane za grubymi białymi zasłonami.

– Halo? – wołam.

Odpowiada mi zupełna cisza. Uff. Manu jeszcze nie wróciła. Może w ogóle jej już dzisiaj nie spotkam. Zaglądam do otwartej kuchni, która z nowiutkimi urządzeniami ze stali nierdzewnej i blatami z białego granitu wygląda jak żywcem wzięta z magazynu wnętrzarskiego. Założę się, że kwatery zwykłych nie są takie szykowne.

Otwieram lodówkę i krzywię się na widok jedynie kilku worków z krwią. Cholera. Dlaczego miałyby tu być jedzenie dla ludzi, skoro wampiry żywią się wyłącznie krwią? To będzie poważny problem. Nie mogę jeść ludzkiego pożywienia, bo zdradzę swoją prawdziwą tożsamość. Może udałoby mi się trzymać u siebie jakieś suche przekąski, ale to byłoby ryzykowne. Nie zdziwiłabym się, gdyby Manu przeszukała mój pokój.

Może przeżyjesz trzy tygodnie bez jedzenia, Vivi.

– Taa, jasne.

Zapoznając się z resztą mieszkania. Pierwsza sypialnia, do której zaglądam, jest zdecydowanie zajęta. Wygląda tak, jakby wybuchły w niej puszki z farbą w intensywnych barwach. Nigdzie nie widzę ani kawałka białej powierzchni czy przedmiotu. Ciekawe, czy gust Manu ma coś wspólnego z jej własnym brakiem jakiegokolwiek koloru.

Szukam wspólnej łazienki, ale jej nie znajduję. To musi oznaczać, że każda sypialnia ma osobną. Miejmy nadzieję.. Właśnie zamierzam sprawdzić kolejny pokój, kiedy do mieszkania wchodzi Manu. Obie jednocześnie zastygamy, a potem nagle ona trzyma mnie za gardło.

– Co robisz w moim mieszkaniu, zdiro? – Ścisła tak mocno, aż zaczynam się obawiać, że złamię mi kark.

Wymachuję nogami, próbując uwolnić się z jej uścisku.

– Pusz...czaj. Miesz...kam... tu... zjeb...ko.

Niespodziewanie puszcza mnie na podłogę.

– Co powiedziałaś?

Łapię się za szyję i łapczywie chwytam powietrze.

– Że tu mieszkam.

– Nie możesz ze mną mieszkać. Jesteś zwykłą dziewczynką. Powinnaś nocować na dole.

Wstaję powoli i patrzę na nią spode łba.

– Jestem pewna, że to był błąd, ale administracja zajmie się nim dopiero po zamknięciu rejestracji.

Mruży powieki tak mocno, że prawie nie widać złotych tęczówek.

– Hmm, może powinnaś tu zostać. Ukrywasz coś, a ja zamierzam odkryć, co to takiego. Zadzwoń do nich i powiem, żeby się nie przejmowali.

Pod jej twardym spojrzeniem trudno mi zachować niewzruszoną minę, ale nie odwracam wzroku. Ona przerywa pojedynek dopiero wtedy, gdy dzwoni jej telefon.

Wygrałam! Ha!

– Cześć, Sax. Co tam? – Z telefonem przyklejonym do ucha podchodzi do kanapy. Nagle ogląda się przez ramię ze złośliwym uśmiechem na ustach. – No, poznałam nową współlokatorkę.

Ignoruję jej wredny uśmiešek, podnoszę worek z podłogi i idę do swojego pokoju.

– Impreza? Jasne. Mogę się pokazać – mówi do komórki. – No, przyprowadzę ją.

Jestem już prawie wolna u siebie, gdy krzyczy za mną:

– Ej, sąsiadeczko. Nie rozsiadaj się. Idziemy na imprezę. I nawet nie myśl o tym, żeby się wykręcić. Obecność obowiązkowa.



11. Lucca

Chodzę tam i z powrotem w swoim mieszkaniu, aż się zaczyna kurzyć, podczas gdy Ronan i Saxon rozpięrają się na skórzanej kanapie w salonie i grają w grę wideo.

Kiedy tu wróciliśmy, chcieli wiedzieć, co się stało w auli. Już prawie wyjawiałem im, że nowa kandydatka na wartowniczkę to ludzka złodziejka z Havocu. Ale jeżeli powiem to któremuś z nich bądź mojej siostrze, zaczną się mieszać. A to popsuje moje plany powolnego torturowania dziewczyny.

Człowiek udający wampira w Instytucie Bloodstone – też coś. Albo musi być głupia jak but, albo ma asa w rękawie. Tak czy inaczej, pożałuje, że mnie spotkała.

Podchodzę do barku i nalewam sobie whiskey. Nie musimy pić niczego poza krwią, i to jej pożądamy najbardziej, ale czasami lubię dla smaku uraczyć się jakimś dobrym trunkiem. Na królewskich jednak w ogóle on nie działa. Nigdy nie zobaczycie nas pijanych. Z kolei zwyklaki trzymają się od alkoholu z daleka, są na niego zbyt słabe. Zazwyczaj niesamowicie go odchorowują.

Popijam drinka i wyobrażam sobie okrutne tortury, jakim mogę poddać złodziejkę. Vivienne to jej prawdziwe imię, co łatwo było potwierdzić. Przyznaję, że mnie to zdumiewa. Po co tyle ryzykować tylko po to, żeby coś mi ukraść?

– Skubaniec. – Saxon odrzuca konsolę, a Ronan wybucha śmiechem.

– Naucz się przegrywać.

– Pocałuj mnie w dupę. – Wstaje i bierze komórkę.

Ronan przenosi wzrok na mnie.

– Może jednak spróbujesz, Luc?

W odpowiedzi jedynie prychnięcie. Saxon próbował wyjaśnić mi czar gier wideo, ale znudziłem się po minucie słuchania. Bezczyne siedzenie przed ekranem i zabijanie postaci animowanych to nie moja bajka. Znacznie bardziej wolę spędzić ten czas na tatami, żeby zdobyć nowe umiejętności, które będę mógł wykorzystać przeciwko Boone'owi i jemu podobnym.

Dopijam drinka, gdy Saxon rozmawia przez telefon z Manu. O jakiejś imprezie. Z naszej grupy to on zawsze był duszą towarzystwa, co się dobrze składa, bo Ronan jest z natury samotnikiem, a ja zadawanie się z dupolizami mam głęboko gdzieś.

Po skończeniu rozmowy przyjaciel zwraca się do mnie:

– Za godzinę impreza w katakumbach. Wszyscy są zaproszeni, a to oznacza, że twoja znajoma zwyklaczka też tam będzie.

Czuję mieszaninę głodu i dziwnego podekscytowania. To emocje związane z łowami, których nie doświadczyłem od bardzo dawna.

Wyginam usta w uśmiechu.

– Doskonale.

Saxon mruży oczy i zaplata ręce na piersi.

– Naprawdę nie zamierzasz nam powiedzieć, co widzisz w tej wampirzycy, co?

– Bo nie ma o czym mówić.

– Gówno prawda. Ale niech ci będzie. Ja już wolałbym się umówić z jakąś ludzką kobietą. Lepiej smakują i nie trzeba się liczyć z następstwami.

– Wiesz, że skoro wszyscy zostali zaproszeni, to będą tam również zwolennicy Tatiany – dorzuca Ronan, czym w mgnieniu oka zabija mój nastrój.

– Jeżeli okażą się na tyle tępi, żeby się pokazać, to nikt nie będzie mógł mieć nam za złe, jeśli ich trochę sponiewieramy. – Saxon uśmiecha się szelmowsko.

Ronan posyła mi surowe spojrzenie.

– Jest tu też Boone. Czy tym razem uda ci się nad sobą zapanować?

Szklanka pęka mi w dłoni.

– Oczywiście.

Ronan potrząsa głową z rezygnacją.

– Tylko błagam, trzymaj się z daleka od jego ostrzy. Raz cię trafił, będzie próbować ponownie.

Nozdrza rozszerzają mi się ze złości.

– Niech próbuje. Czy zasady rozejmu nie dopuszczają zabójstwa w obronie własnej?

– W teorii – wyjaśnia Saxon. – Ale jeśli zabijesz Boone’a, Tatiana zażąda twojej głowy.

– I tak już chce ją dostać, zresztą nie tylko moją, ale też każdego członka mojej rodziny – odpowiadam i czuję, jak w piersi wzbiera mi gorycz.

Sięgam pod koszulę i zaciskam palce na naszyjniku matki. To jedyne, co mi po niej pozostało. Może to i nie Tatiana zadała jej śmiertelny cios, ale moja matka nie żyje częściowo właśnie przez nią. Zemsta należy do mojego wuja, ale biorąc pod uwagę, na co zezwolił w ciągu minionego stulecia, nie wydaje mi się, żeby zamierzał wkrótce skończyć z tą suką. Twierdzi, że chce zapobiec wyginięciu naszego gatunku. Jakież to z jego strony szlachetne. Jeżeli jednak trafi mi się okazja do zabicia Tatiany, zrobię to bez mrugnięcia okiem, nawet jeśli to skaże nas wszystkich na zagładę.



Vivienne

Manu nie żartowała, mówiąc, że nie mogę się wymigać od udziału w imprezie. Praktycznie mnie na nią teraz ciągnie, wbijając długie pazury w moje przedramię. Gdybym nie miała na sobie kurtki, przebiłaby mi skórę. A ja naprawdę nie mogę sobie na to ponownie pozwolić, chociaż marnie to widzę, skoro otaczają mnie ostre zęby i szpony.

– Możesz mnie już puścić, nie ucieknę – rzucam.

– Oczywiście, że nie uciekniesz. Zwyklaczka nie ma szans z królewską w niczym, co ważne.

Wow, nie miałam pojęcia, że między krwiopijcami istnieje aż taki podział. Dla mnie wszyscy są równie źli. Wampir, który pił moją krew, gdy byłam młodsza, był zwyklakiem, ale nadal odznaczał się ogromną siłą. Pomimo tego komentarza Manu nie puszcza mnie, dopóki nie docieramy do trzewi instytutu. Znajdujemy się w podziemiach, które idealnie pasują do upiornej fasady budynku. Teraz czuję się tak, jakbym mieszkała w nawiedzonym domu. Kamienne ściany są ciemne i omszałe, a zastałe powietrze pachnie pleśnią. Jest tu też chłodno, więc cieszę się, że okazałam się przezorna i złapałam skórzaną kurtkę.

– A tak w ogóle to kto organizuje tę imprezę? – pytam.

– Kogo to obchodzi?

– Co to za miejsce?

– Katakumby.

– Katakumby? Już bardziej stereotypowo się nie dało?

Ku mojemu zaskoczeniu Manu wybucha śmiechem.

– Dzięki okropnym dziełom popkultury cała nasza egzystencja jest stereotypowa.

Gryzę się w język. Muszę pamiętać, że udaję wampirzycę, więc nie mogę sobie pozwalać na komentarze, jakie wygłosiłby wyłącznie człowiek. Rozmowa zamiera, słyszę jedynie echo naszych kroków odbijające się w wilgotnym korytarzu.

W końcu do moich uszu docierają dźwięki techno.

Manu puszcza moją rękę i odwraca się do mnie.

– Zaczekaj tu.

– Dlaczego?

– Nie ma mowy, żebym się zjawiła na tej imprezie ze zwyklaczką u boku. – Wrywa naprzód tak szybko, że zmienia się w rozmazaną smugę, po czym znika za rogiem.

No zarabicie. Obejmuję się ramionami, gdy czuję powiew chłodnego wiatru. Znowu przeszywa mnie strach, ale inny niż wtedy, gdy patrzył na mnie Lucca.

„Uwolnij mnie”, zdaje się mówić zimny podmuch.

To szaleństwo. Rozum podpowiada mi, że powinnam się ruszyć na imprezę, natychmiast opuścić ten mroczny tunel. Ale coś ciągnie mnie w przeciwną stronę i jak skończona idiotka ulegam tej

niewidzialnej sile. Ponownie słyszę ten sam rozkaz. Wyobraźnia mi odważa czy ten budynek naprawdę jest nawiedzony?

Nie wiem, dokąd idę, ale nie słyszę już muzyki. Ciągłe się trzęsę przerażona tym, co mogę znaleźć na końcu tego wąskiego korytarza, a jednak krok za krokiem maszeruję przed siebie.

Może jest tam kolejny wampir, który narzuca mi swoją wolę. Kurde, kurde, kurde. W takim wypadku muszę się wyzwolić spod tego uroku. Zatrzymuję się dopiero wtedy, gdy dalej już nie da się przejść. Przede mną znajduje się brama z kutego żelaza. Owijam palce wokół jej prętów i próbuję ją otworzyć, ale okazuje się zamknięta. Panują tu prawie całkowite ciemności. Jedynym źródłem światła jest lampa wisząca z metr czy dwa za mną.

Wyciągam telefon, żeby zapalić latarkę. Głupio mi, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Jasny promień ukazuje niewielką komnatę z pięcioma nagrobkami ustawionymi w okręgu.

Jeszcze raz słyszę te upiorne szeptane słowa. Nagle latarka w telefonie gaśnie i ktoś dotyka mojego ramienia. Mój krzyk przeszywa ciszę i milknie, gdy czyjaś dłoń zakrywa mi usta.

– Wyluzuj. To ja, Aurora.

Puszcza mnie od razu, a ja opieram się o kamienną ścianę i próbuję złapać oddech.

– Odbiło ci? Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

– Jak się tu dostałaś?

– Nie wiem. Zabłądziłam.

Nie ma mowy, żebym powiedziała jej o głosach.

– No to chodź. Nie możemy tutaj przebywać.

– Dlaczego? Z powodu tych pięciu nagrobków w komnacie?

Patrzy na bramę i przez dłuższy czas milczy. Szkoda, że korytarz nie jest jaśniejszy, bo nie widzę dokładnie jej miny.

– Wiesz, kto jest w nich pochowany? – naciskam.

– Nie. Wiem tylko, że na tę komnatę nałożono potężne zaklęcie. Nikt nie powinien wiedzieć, że ona tu jest, ani nawet znaleźć drogi do tego miejsca. Jak to zrobiłaś?

– Nie mam pojęcia. A ty jak się tu dostałaś?

– Jestem czarownicą. Już ci mówiłam.

– Ile czarownic chodzi do instytutu?

– Zadajesz za dużo pytań. Chodź. – Łapie mnie za rękę i kieruje z powrotem tam, gdzie zostawiła mnie Manu.

Ja jednak się opieram i opóźniam powrót.

– Czekaaj.

– Co znowu? – Odwraca się do mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Kogo spotkam na tej imprezie?

Aurora wzdycha głośno, puszcza mnie i poprawia rękawy wdzianka w stylu kimona.

– Zaproszenia dostał każdy, więc spodziewaj się królewskich, zwykłych, ludzi i chowańców.

– A czarownic nie?

Mruży oczy.

– Jestem jedyną czarownicą, jaka tu mieszka.

– Aa. A dlaczego?

– To pradawna tradycja. Moja matka jest Najwyższą Czarownicą. Służy królowi Raphaelowi, a kiedy odejdzie, ja odziedziczę ten tytuł. A to znaczy, że muszę się tutaj wyszkolić.

– Nie wiedziałam.

– Chyba powinniśmy zacząć od tego, co faktycznie wiesz o wampirach. Jeżeli nie chcesz zostać zdemaskowana, nie możesz zadawać pytań na tematy, które tu są wiedzą powszechną.

– Pomożesz mi?

Jeszcze bardziej mruży powieki.

– A niby co właśnie robie? – W tunelu za nami rozbrzmiewają ożywione głosy. – Chodźmy. Rozsądniej by było, gdybyś tu w ogóle nie przyszła, ale im szybciej się pokażesz, tym szybciej będziesz mogła zniknąć.

W pełni się z nią zgadzam, ale przybyłam do instytutu, żeby się zbliżyć do Lukki i wykraść mu naszyjnik. Siedzenie w pokoju za zamkniętymi drzwiami niestety nie zbliży mnie do tego celu.

Impreza odbywa się w wielkim pomieszczeniu, które ma tak wysoki sufit, że wygląda na jaskinię. W kilku niewielkich wnękach w ścianach rozstawiono świece, co wywołuje upiorne wrażenie. Wszędzie stoją nagrobki – obecnie używane jako stoły i miejsca do siedzenia. Na końcu komnaty rozstawił się didżej, a puszczane przez niego techno płynie z wielkich głośników porozmieszczanych strategicznie po całym pomieszczeniu.

Na samym środku kilka par tańczy wyzywająco. Zwłaszcza jedna wygląda tak, jakby przy wszystkich szła na całego. Nagle wampir zatapia kły w szyi ludzkiej partnerki, a ta jęczy głośno i przywiera do jego ciała.

Aurora pociąga mnie w bok.

– Przystań się gapić, jakbyś nigdy w życiu nic takiego nie widziała. Jesteś wampirzycą, na litość.

– Ale on ją przy wszystkich posuwa i jednocześnie się na niej pożywia – szepczę, nie kryjąc obrzydzenia.

– Wampiry nie cierpią na syndrom sztucznej wstydlivości.

– Zawsze muszą się pieprzyć, kiedy piją krew?

– Nie, ale mówią, że to bardzo erotyczne doznanie dla obu stron.

Znowu przesywa mnie dreszcz. Kiedy wampir żerował na mnie, czułam jedynie przerażenie i odrazę. Może i posunąłby się dalej, gdyby nie pojawił się Rikkon. Najgorsze w mojej historii jest to, że to moja własna matka postawiła mnie w takiej sytuacji. Staram się w ogóle o tej kobiecie nie myśleć, ale gdy mi się to jednak zdarzy, czuję wyłącznie złość. Jak matka może sprzedać własną córkę wampirowi, który zamierza ją gwałcić, i to na różne sposoby?

Odwracam wzrok od parkietu i rozglądam się po reszcie pomieszczenia. Imprezowicze podzielili się na małe grupki i trzymają się głównie swojego gatunku. Łatwo odróżnić wampirów od ludzi. Na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądają podobnie, ale wampiry mają w sobie coś niezmiernie. Poza tym ludzie wpatrują się w nie, jakby były jakimś bogami. Zaraz się porzygam.

Przyglądam się dalej i natrafiam na grupę istot, które nie zaliczają się ani do ludzi, ani do wampirów.

– Kim oni są? – pytam.

– To chowańce. Wiesz, że królewscy mają chowańce, nie?

– No tak, ale nie mam pojęcia, kim one są.

– Były zwierzętami, które łączyła pewna więź z niektórymi wampirami, więc Nightingale'owie za pomocą magii zmienili ich formę w ludzką, żeby służyły królewskiemu. W czasach, kiedy zostały stworzone, potrafiły dowolnie przemieniać się w zwierzęta i z powrotem. Z czasem ich magia jednak osłabła i teraz niewielu chowańców potrafi wrócić do swojej pierwotnej zwierzęcej formy.

– Sorry. Zgubiłam się. Kim są Nightingale'owie?

Aurora gapi się na mnie totalnie zdumiona.

– Boże drogi. Naprawdę nie masz o niczym najmniejszego pojęcia, co? To Nightingale'owie stworzyli wampiry, i od razu proszę, nie pytaj mnie o szczegóły. To zbyt długa historia i nie chcemy, żeby ktoś przypadkiem usłyszał, jak wyjaśniam ci podstawy wampirzej egzystencji. To byłoby podejrzan.

– Dobra. A co z chowańcami? Też są nieśmiertelne?

– Tak. Siła życiowa tych istot jest połączona z siłą życiową ich wampira. Jeżeli umrze wampir, z życiem pożegna się też chowaniec.

W piersi wzbiera mi złość i podchodzi aż do gardła.

– Czyli zasadniczo są niewolnikami.

– W pewnym sensie owszem. Ale wielu chowańców tak tego nie postrzega. Cieszą się, że mogą służyć.

Zerkam na nią.

– A ty? Też się cieszysz, że możesz im służyć?

Ściąga brwi i zaciska usta w wąską linię.

– Relacja czarownic z wampirami jest inna.

– Nie odpowiedziałś mi na pytanie.

Spina się jeszcze bardziej, ale to chyba nie ma nic wspólnego ze mną. Patrzy gdzieś ponad moim ramieniem. Obracam się z zainteresowaniem i sama zastygam.

Zjawił się Lucca.



12. Vivienne

Kiedy tylko napotykam spojrzenie Lukki, zapiera mi dech w piersi, a myśli zupełnie ulatują z głowy. Na jego okrutnie przepięknej twarzy pojawia się cień niegodziwego uśmiechu i przysięgam, że ciężar tego przenikliwego spojrzenia czuję głęboko w łędźwiach. Kontakt zostaje przerwany, gdy podchodzi do niego jakaś wampirzyca z królewskiego rodu i zaborczym gestem otacza go ręką w pasie. W mojej piersi rodzi się nowe potworne doznanie, jakaś sztywność wypełniona złością i bólem.

– Kto to? – pytam.

– Therese Schutz, kochanka Lukki.

– Są parą? – Słowo to zostawia ohydny posmak w moich ustach.

Czy ja jestem zazdrosna o tę wampirzycę? Bo jeśli tak, to powinni mnie zamknąć w psychiatryku. Aurora prycha.

– Chciałaby. Nie, Lucca nigdy nie polubił nikogo na tyle, żeby się zaangażować w poważny związek.

– Z przyjaciółmi wydaje się mocno związany.

– Tak, ale to co innego. Są jak rodzina.

Nie mogę oderwać od nich oczu. Lucca zerka na mnie ponownie, po czym odpycha Therese. Ona podąża za jego spojrzeniem i niemal natychmiast mruży powieki.

Kurna.

– O cholera. Therese chyba zauważyła, że Lucca jest tobą zainteresowany. Będiesz musiała na nią uważać.

– Hej, Vivi. – Cassie podchodzi, żeby się przywitać. – Fajna impreza, co?

– Taa.

Wampirzyca przenosi uwagę na Aurorę.

– Cześć, jestem Cassandra, ale wszyscy mówią na mnie Cassie.

– To dlaczego od razu się tak nie przedstawiasz? – odpowiada nieco zbyt szorstko czarownica.

Cassie kuli się w sobie.

– Ee, nie wiem.

– Cześć, jestem Damon. – Stojący obok niej tyczkowaty wampir wyciąga rękę do Aurory.

To chyba też zwyklak. Nie czuję, żeby biła od niego wielka moc.

Aurora opuszcza wzrok na jego dłoń i przez chwilę się obawiam, że ją zignoruje. Ale ku mojemu zaskoczeniu ją ściska. Nie wydaje mi się, żeby jakoś szczególnie przepadała za krwiopijcami. Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku i znalazłyśmy się w nieprzyjemnej sytuacji wyłącznie ze względu na rodzinne zobowiązania.

– Zawierasz nowe znajomości, Auroro? – Zza pleców dociera do nas uwodzicielski głos.

Cała się spinam, gdy obok czarownicy staje jeden z przyjaciół Lukki, blondyn wyglądający jak gwiazda rocka. Sądząc po gniewnym spojrzeniu, jakie mu posyła, Aurora raczej nie cieszy się na jego widok.

– Odpieprz się, Saxon.

– Uuu, uwielbiam twój nieprzyzwoity język. – Śmieje się zupełnie niewzruszony jej rozłoszczonym tonem. Po czym odwraca się w moją stronę i taksuje mnie wzrokiem. – Kogo my tu mamy?

– Mam na imię Vivienne. – Krzyżuję ręce, bo jego bliskość sprawia, że czuję się cholernie niekomfortowo.

To on nie pozwolił mi uciec Luccie w Havocu.

Techno zmienia się w łagodną melodię i Saxon przenosi spojrzenie na drugi koniec komnaty.

– Co to ma być, do cholery?

Rusza pospiesznie do didżeja i odpycha go od stanowiska. Z głośników znowu płynie techno.

– Słodki Jezu, Saxon jest taki seksowny. Zrobiłabym wszystko, żeby zwrócił na mnie uwagę –

stwierdza Cassie, obserwując go z jawnym podziwem.

– Proszę, nie wspominaj o seksownych królewskich przy zwyklakach – rzuca Damon. – Już i bez tego cierpimy na kompleks niższości.

Nie mam pojęcia, czy to ma być żart, czy mówi całkowicie poważnie.

– Saxon to narcystyczny dupek. Na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka – dodaje Aurora przed odejściem.

Hm, czyżby między czarownicą a blond wampirem panowały wrogie stosunki?

Cassie i Damon zaczynają rozmawiać o tym, skąd pochodzą, a ponieważ ja wolę się nie udzielać, mogę poszukać Lukki w tłumie. Co prawda rzeczywiście mam za zadanie się do niego zbliżyć, ale powinnam to robić z ociąganiem, a nie czuć do niego niesamowity pociąg. Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, w Havocu, byłam niemal oszalała z przerażenia. Wiem, że mało brakowało, a zabiłby mnie tamtej nocy, więc z punktu widzenia logiki i mojej przeszłości teraz powinnam się go bać sto razy bardziej. Musiał rzucić na mnie urok. To jedyne wytłumaczenie.

Nie od razu go znajduję. Jest tu bardzo ciemno. Dla wampirów pewnie to idealne rozwiązanie, bo w nocy widzą znacznie lepiej od ludzi. Znajduję go po jakiejś minucie, tańczy z ludzką kobietą. Ona wisi na nim i wije się, jakby chciała stanąć z nim jedność. Dłonie zaciskają mi się w pięści, chociaż wcale tego nie chcę. Lucca obraca kobietę tak, żeby przywarła plecami do jego piersi. Nadal udając w tańcu akt seksualny, odsuwa jej włosy z szyi i ją liże. Kobieta jęczy z zadowoleniem i wygina plecy jak jakaś pieprzona dziwka. Z miejsca jej nienawidzę.

Lucca przenosi spojrzenie na mnie i wbija je we mnie, po czym wgrzyza się w kobietę i pije. Na ten widok robi mi się niedobrze, ale nie odwracam wzroku. Jakaś niewielka, obłąkana część mnie chce być tą kobietą w jego ramionach i to niepokoi mnie najbardziej.

Ktoś dotyka mojego ramienia, przez co podskakuję.

– Hej, Vivi, idziemy z Damonem po coś do jedzenia. Pójdiesz z nami?

Na wspomnienie o jedzeniu głośno burczy mi w brzuchu. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni miałam coś w ustach.

Damon wybucha śmiechem.

– No to mamy odpowiedź.

– A dokąd idziecie? – pytam.

– Do karmialni. Na ludziach, którzy są tutaj, żerować mogą tylko królewscy.

Kurna. Nie mogę z nimi iść. Muszę znaleźć prawdziwe jedzenie.

– Ee, nie, jednak spasuję. W moim apartamencie są worki z krwią. Zjem później.

– Faj. – Cassie marszczy nos. – Dlaczego miałabyś z nich korzystać, skoro możesz się napić świeżej krwi?

Cholera. Wymyśl coś, i to szybko. No myśl, Vivi.

– Wstydzę się, gdy jem. Nie lubię żerować przy innych.

Cassie i Damon wymieniają spojrzenia.

– To twoja rodzina musiała być dziana. Pamiętasz czasy, gdy musieliśmy polować, żeby jeść, Cassie? – pyta Damon.

– O Boże, no. Straszne czasy. Czasami trzeba było się obyć bez jedzenia przez kilka dni, bo nigdzie nie było żadnego człowieka.

– Co? Wcześniej musieliście żerować na ludziach, którzy nie wyrażali na to zgody? – pytam, zanim udaje mi się ugryźć w język.

Wampiry patrzą na mnie tak, jakby wyrosła mi druga głowa.

– No oczywiście. W dawnych czasach nasz gatunek uważano za potwory, a nawet demony. Bardzo nieliczni ludzie dawali nam swoją krew z własnej woli – odpowiada Cassie.

– I zawsze chcieli zostać w zamian przemienieni w wampiry – dorzuca Damon.

– Ale tylko królewscy mają moc, która to umożliwia – kończy Cassie.

Jestem tym wszystkim zaszokowana, chociaż nie powinnam. Aż trudno uwierzyć, jak szybko zapomniałam, że Cassie jest wampirzycą, a przecież dla mnie oni wszyscy są potworami.

– Tak czy inaczej, idziemy. Jesteś pewna, że nie chcesz do nas dołączyć? – dopytuje Cassie.

– Tak, poradzę sobie. Zaraz i tak pewnie będę wracać do siebie.

– Okej. My wrócimy za jakieś pół godziny. Jeśli cię tu nie będzie, zobaczymy się jutro.

Obserwuję ich, aż znikają mi w ciemności. Potem rozglądam się za Aurorą. Czarownice pożywiają się prawdziwym jedzeniem, więc może ona coś mi zorganizuje. Zdecydowanie nie chcę sama chodzić po całym instytucie w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Trudno mi się będzie wytłumaczyć, jeżeli ktoś przyłapie mnie z krakersem w ustach.

W tłumie migają mi białe włosy. To Manu, więc kieruję się w przeciwną stronę. Trafiam na nagrobek, na którym wystawiono napoje, i odkrywam, że to różne rodzaje alkoholu. Tequila, whiskey, a nawet baileys. Hmm, on jest nieco mleczny. Może jeśli go trochę wypiję, to mnie jakoś podtrzyma. Muszę tylko uważać, żeby nie przesadzić.

– Hej – zaczepia mnie jakiś zwyklak. – Jak możesz to pić i się nie porzygać?

– Co?

Lucca bez namysłu wypił to, co dałam mu w klubie. Nagle ktoś wytrąca mi z ręki kubeczek z czerwonego plastiku, zanim mam okazję wypytać wampira, o co mu chodzi.

– Co, do cholery!?! – Piorunuję wzrokiem istotę odpowiedzialną za wylanie likieru. Okazuje się nią Therese, koleżanka Lukki do ruchania.

Wchodzi w moją przestrzeń osobistą i wymierza wymanikiowany paznokieć w moją twarz.

– Nie wiem, z jakiej dziury wypełzałaś, ale powiem jasno: trzymaj się z daleka od Lukki.

Cofam się o krok i wkurzam, że nie mogę powiedzieć tego, co mam na końcu języka, żeby się nie zdemaskować. Wystarczy, że ta suka raz mnie uderzy, a zacznę krwawić i będzie po wszystkim. Poza tym nie sądzę, że wygrałabym starcie z nią. W końcu to wampirzyca z królewskiego rodu, a ja jestem tylko żalonym człowiekiem.

– Jakbym chciała się zbliżyć do tego osła.

Therese wygina usta w okrutnym uśmiechu.

– Och, kochana. Wszyscy chcą się do niego zbliżyć. Czuj się ostrzeżona.

Kiedy odchodzi, zauważam, że z drugiego końca pomieszczenia obserwuje mnie Aurora. Wygląda na zmartwioną, ale w tym mroku trudno mieć pewność. Kuźwa. Chyba mam już dość tej imprezy.

– Trzymaj. – Ktoś podaje mi serwetkę.

Jestem tak wściekła, że przyjmuję ją bez unoszenia wzroku.

– Dzięki.

– Czyli tak naprawdę wcale nie chcesz się do mnie zbliżyć, co?

Zamieram, a potem powoli odwracam głowę. Obok mnie stoi Lucca we własnej osobie, z pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy.



13. Lucca

Akurat dostrzegłem dokładną chwilę, w której wzrok Therese padł na Vivienne. Dziewczyna stała sama, całkiem rozkojarzona i tak jak się spodziewałem, wampirzyca nie traciła czasu. Postanowiła od razu zaznaczyć swoje terytorium. Podeszedłem do nich, ale dopóki Therese nie odeszła, trzymałem się w cieniu.

Teraz Vivienne wpatruje się we mnie jak łania złapana w światła reflektorów. Jeśli mam być ze sobą szczerzy, wygląda przez to uroczo. A także sprawia, że chcę jej robić różne rzeczy, na przykład zerznąć ją opartą o ścianę, jednocześnie pijąc krew z jej słodkiej szyi.

– Skąd, do diabła, się tutaj wzięłeś? – pyta.

– Jak to? Przecież ciągle tu stałem. – Uśmiecham się, odsłaniając kły.

– Musiałeś być ukryty, skoro twoja laska też nie miała pojęcia, że tu jesteś.

– Dlaczego uważasz, że nie wiedziała?

Unosi wysoko brwi, a potem je marszczy.

– Okej. Więc jest równie zboczona jak ty.

Robi taki ruch, jakby chciała mnie ominąć, ale łapię ją za ramię.

– Dokąd to? Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Zauważam lęk wzbierający w jej wzburzonym spojrzeniu. Boi się, ale chyba jednak wygrywa w niej nienawiść do mnie. W mgnieniu oka przez myśl przetacza mi się wiele teorii. Mam przed sobą przerażonego charakternego człowieka, który ryzykuje życie, żeby coś mi ukraść. W czasie długiej hibernacji ominęło mnie całe mnóstwo rzeczy, ale nikt nie wspominał o odrodzeniu się ruchu Van Helsinga. On i jego zwolennicy mieli chorą obsesję na punkcie zabijania wampirów. Czy ona może być wyznawczynią tego kultu?

– Czego ode mnie chcesz? – Unosi buntowniczo brodę, najwyraźniej próbując udawać dzielną.

Wiem jednak, że nie to chciała powiedzieć.

– Zatańcz ze mną.

Jej pełne usta układają się w idealne „o”, na co natychmiast reaguje mój fiut. Pożądam tej złodziejki jak jeszcze nigdy nie pożądałem żadnej istoty ludzkiej w czasie pięciuset dwudziestu jeden lat egzystencji.

– Ale... cała się kleję.

Ignoruję tę słabą wymówkę, łapię dziewczynę za biodra i przyciągam blisko do siebie. Spięta i drżąca na całym ciele kładzie mi dłoń na ramieniu i wbija spojrzenie w zagłębienie mojej szyi. Może próbuje dostrzec, czy mam na sobie naszyjnik, którego tak bardzo pragnie.

Wspomnienie o tym, dlaczego się tu znalazła, na nowo rozpala moją złość. Mimo wszystko na moment pozwalam, żeby pociąg seksualny przysłonił mój pierwotny cel. Zatapiam palce głębiej w jej biodra i przyciągam ją jeszcze bliżej. Mam teraz pełną erekcję i jestem pewien, że nie uchodzi to jej uwadze. Zmienia jej się oddech, robi się płytki. Wreszcie jej dominującą emocją jest lęk. Świetnie. Zacząłem się już obawiać, że wyszedłem z sprawy.

– Spokojnie, złotko. Nie ugryzę cię – szepczę jej do ucha, ale to nie jest rozsądne posunięcie.

Krew tej dziewczyny mnie wzywa. Głośno i wyraźnie słyszę, jak płynie w jej żyłach. Dźwięk ten przypomina nęcącą symfonię napisaną tak, żeby pozbawić mnie samokontroli. Czuję nieodpartą potrzebę żerowania i aż zaczynam się ślinić. Zanim dociera do mnie, co robię, liżę szyję dziewczyny. Robi gwałtowny wdech i zaczyna się trząść jeszcze bardziej. Zaciska palce na mojej marynarce i wcale nie jestem pewny, czy chce mnie odepchnąć, czy całkiem do mnie przylgnąć.

– Mówiłeś, że mnie nie ugryziesz – mówi słabym głosem, niemal szeptem.

Odrywam się od jej szyi i widzę ślady pozostawione przez moje zęby. Kuźwa, nawet nie wiedziałem, jak niewiele brakuje, żebym przebił jej skórę. Co prawda bardzo chcę ją ukarać, ale nie zamierzam zbyt szybko zdradzić jej tajemnicy. A żerowanie na niej z pewnością ujawni, że nie jest wampirem.

– Nie ugryzę. Wolę ludzką krew. Jest znacznie słodsza, nie sądzisz? – Obserwuję ją uważnie i dostrzegam, jak lekko się krzywi.

– Aha. – Odwraca wzrok.

– Zatem, Vivienne, skąd jesteś?

– Urodziłam się i wychowałam w Salem – odpowiada bezzwłocznie.

– Naprawdę? Czyli byłeś tu w trakcie procesów czarownic?

Powszechnie wiadomo, że zwyklaki nie mogą się rozmnażać już od wielu pokoleń. Gdyby Vivienne faktycznie była jedną z nas, urodziłyby się przynajmniej trzysta lat temu.

Patrzy na mnie z udręką w oczach. Czy ona w ogóle wie, że zwyklaki już nie trzaskają dzieci na prawo i lewo? Kto przysłał ją tutaj z tak nikłą wiedzą na temat naszego gatunku? Nie ma mowy, żeby sama zdobyła tak silne zaklęcie.

– Tak, byłam.

– To powiedz, jak było?

– Jak to jak było? Oczywiście okropnie. – Jej oburzenie jest takie słodkie. Pokazuje, że jest człowiekiem.

Nie wie, że te procesy były jedynie wynikiem wojny pomiędzy dwoma potężnymi kowenami, a czarownice, które zginęły, należały do sił Van Helsinga. Zasłużyły na śmierć.

– Wierzę ci na słowo. – Śmieję się pod nosem. – A dlaczego chcesz zostać wartowniczką?

– Jestem zwyklaczką. To jedyna szansa na lepsze życie. Królewscy nie mają zielonego pojęcia, jak trudno jest zwykłym wampirom.

Jej odpowiedź mnie zaskakuje. Z miejsca wiem, że to nie są jej słowa. Musiała je usłyszeć od innego zwyklaka. W sumie zawsze wiedziałem, że jest im trudniej. Wielu przybyło do Salem, bo to jedyne miejsce na świecie, w którym ludzie wiedzą o naszym istnieniu i większości ono nie przeszkadza. Ale w innych miastach wampiry muszą się ukrywać i potajemnie szukać ludzkiej krwi. Co prawda wszędzie istnieją burdele z krwiodajkami, jednak nie są tanie.

– Więc postanowiłaś przysiąc, że będziesz bronić jednego z nas własnym życiem?

Mruga kilkakrotnie, zupełnie jakby słyszała o tym po raz pierwszy. Kurna, czy Hanson nie omówił z kandydatami podstaw swojego programu, zanim zostali przyjęci? Ten gość musi odejść. Ale to problem na inną chwilę.

– Najwyraźniej tak – odpowiada.

Nie mogę się oprzeć i gładzę ją po policzku. Skórę ma taką gładką i ciepłą, przez co naprawdę niełatwo mi się jej oprzeć. Wciąż czuję głód, który kłębi mi się w piersi i błaga, żebym go wyzwolił. Ale na razie jestem w stanie utrzymać go w ryzach. Poradzę sobie, o ile Vivienne nie zacznie krwawić.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

Przesuwam dłoń w dół, a potem w górę jej ciała, celowo przejeżdżając palcami w pobliżu piersi.

– Wielu rzeczy, Vivienne.

Przymruża powieki, a w jej niebieskich oczach dostrzegam cień pożądania.

– Na przykład wywołać zazdrość u twojej laski?

Kciukiem pocieram jej dolną wargę i aż mnie skręca, żeby jej posmakować. Jednocześnie unoszę kąćki ust w uśmiechu.

– Nie mam żadnej laski.

Nasze twarze dzieli zaledwie parę centymetrów i jestem już gotowy pochwycić jej usta swoimi, gdy czuję ciarki na karku. Natychmiast się prostuję i wykrzywiam, bo widzę, jak na imprezę wchodzi Boone ze swoimi zwolennikami.

Skurwiel.



14. Vivienne

Lucca odpycha mnie, jakbym była zwyczajną zabawką, którą już skończył się bawić, i odwraca się w stronę wampira o białych włosach, mojego napastnika z Havocu. Czyjaś szorstka dłoń odciąga mnie do tyłu. Okazuje się, że to Saxon. Kto by się spodziewał.

– Lepiej nie wchodź w pole rażenia, ślicznotko – mówi, po czym podchodzi do przyjaciela.

Moje ciało nadal płonie po bliskim kontakcie z Luccą, ale pożądanie w mgnieniu oka znika i uderza mnie okrutna rzeczywistość. Lucca jest spięty i gotowy do ataku. Mam wrażenie, że wszyscy siedzą jak na szpilkach i czekają na najgorsze.

– Masz niezły tupet, że się tu pokazujesz – cedzi przez zaciśnięte zęby Mroczny Książę.

Brutal się uśmiecha.

– Zostałem zaproszony, stary. Czasy się zmieniły i już nie jesteś tu księciem.

– Ten nędzny rozejm nic dla mnie nie znaczy. Jeżeli nie chcesz stracić głowy, to lepiej się stąd wynoś. I to już. – Palce Lukki zmieniają się w ostre szpony.

Nie widzę jego twarzy, ale z całą pewnością wygląda jak potwór, którym tak naprawdę jest. A mnie niewiele brakowało, żeby tego potwora pocałować. Obok mnie staje Aurora.

– Uważam, że nie powinnaś tu zostawać, Vivi. To się może szybko zamienić w krwawą jatkę.

– Co się dzieje? Dlaczego Lucca chce rozerwać tego wampira na strzępy?

Nie żeby mi to w najmniejszym stopniu przeszkadzało. To najwstrętniejsza kreatura, jaka się kiedykolwiek do mnie zbliżyła, gorsza nawet od tej, której zostałam sprzedana. Nie mam pojęcia, dlaczego ten wampir sprawia na mnie wrażenie tak złego i tak bardzo zdeprawowanego.

– Boone to syn Tatiany. Próbował już kiedyś zabić Luccę i prawie mu się to udało.

– Powinam wiedzieć, kim jest Tatiana? – pytam szeptem.

– Dziewczyno, naprawdę jesteś totalnie zielona.

Boone odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, jego towarzysze robią to samo.

– Lucca, jesteś zajebiście zabawny. Nie możesz mnie tknąć. Jeżeli coś mi zrobisz, chociaż wąpnię, żebyś był w stanie, twój wuj zapłaci najwyższą cenę.

– O czym ty pierdolisz? – warczy Lucca.

Boone przenosi uwagę na Manu, która stoi obok brata, również napięta jak struna. Po jej drugiej stronie inny wielgachny królewski obserwuje Boone'a jak jastrząb. Też należy do przyjaciół Lukki. Jego postawa wyraźnie mówi, że lepiej z nim nie zadzierać, co w połączeniu z sylwetką wojownika wikingów musi zasiewać lęk w sercu każdego stworzenia – jestem pewna, że nawet Larssona, bossa smoków.

Ale kiedy Boone przenosi na niego uwagę, w ogóle się tym nie przejmuje.

– Nie przedstawiliście naszemu chłopcu szczegółów porozumienia?

– Król Raphael nigdy się na nie nie zgodził, więc nie ma o czym mówić – odpowiada wielki wampir.

– Naprawdę wcisnął wam to kłamstwo? Zgodził się, podpisał się pod nimi własną krwią. Pomiot czarownicy może to potwierdzić. Jej matka była przy tym obecna.

Wszyscy oglądają się na Aurorę. Ona zaciska mocno zęby, a kiedy Lucca skupia na niej spojrzenie, odpowiada na malujące się w nim pytanie:

– To prawda. Jeżeli którykolwiek ze zwolenników króla Raphaela skrzywdzi stronników Tatiany niesprokowany, król straci koronę.

Czysta furia wykrzywia twarz Lukki. Co prawda jego agresja nie jest wymierzona we mnie, ale mimo wszystko czuję ją głęboko w kościach.

Boone uśmiecha się z wyższością.

– Widzisz, nie możesz mnie tknąć, dupku.

– Być może nie wyraziłam się jasno, zakuta pało – mówi głośno Aurora. – Niesprokowany. Jeśli tylko przekroczysz granicę, każdy z nas może przypomnieć ci, gdzie twoje miejsce. Czyli na dnie ścieku.

– Ty mała suko. – Rusza w jej stronę szybciej niż wystrzelona kula. Zanim jednak zadaje jej cios, odbija się od niewidocznej bariery i ląduje na dupie.

Połowa imprezowiczów śmieje się pod nosem, druga połowa nie wie, co ze sobą zrobić.

– Idź już – szepcze do mnie Aurora. – Zaraz zrobi się paskudnie.

Mimo że historia wampirów to ciekawy temat, nie warto ryzykować dla niej życia. Przesuwam się w bok i próbuję zniknąć w cieniach. Tłum blokuje mi jednak drogę, więc najwyraźniej nie jest mi dane wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

Boone się podnosi i posyła Aurorze mordercze spojrzenie. Lucca w ogóle nie zmienił postawy. Nie wydaje mi się, że się rozluźni, dopóki ten dupek stąd nie zniknie. W końcu udaje mi się przebić przez mur ciał i ruszam w stronę wyjścia, ale Boone łapie mnie za ramię.

– Dokąd ci tak spieszo, moja droga? Impreza dopiero si... – Lucca nie daje mu skończyć tyrady, tylko ciska nim przez komnatę.

– Nie dotykaj jej – warczy, idąc w jego stronę.

Boone już stoi, obnaża kły i szykuje szpony na Luccę.

– Właśnie przypieczętowałeś swój los, skurwielu. Teraz mogę cię zabić bez obawy o dochodzenie.

– Zabić mnie? Ale masz urojenia – drwi Lucca.

Ścierają się na środku komnaty i zadają sobie ciosy z taką prędkością, że się rozmazują. Widzę ich wyraźnie wyłącznie wtedy, gdy któryś zostaje ciśnięty na ścianę. Częściej ląduje na niej Boone i za każdym razem jego furia rośnie. Ale to Lucca najbardziej przyciąga moją uwagę. Nie hamuje się, jawnie pokazuje wszystkim zgromadzonym swoją dzikość. Walka powinna mnie odstraszyć, sprawić, że ucieknę gdzie pieprz rośnie, a jednak pociąga mnie jego żądza krwi. Chcę, by rozszarpał Boone'a na kawałki i skąpał się w jego krwi.

Kurwa. Czy ja się właśnie zmieniam w jakąś wampirzą psychofankę? Albo krwiodajkę?

Lucca przyszpila Boone'a do podłogi, jedną ręką trzyma go za kark, a drugą unosi do zadania ciosu ostatecznego – przebicia mu piersi i wyrwania serca.

– Dosyć! – W komnacie zjawia się surowa kobieta.

Wszystkie świece nagle płoną jaśniej, dzięki czemu dokładniej widzę jej twarz. Wygląda znajomo, ale orientuję się, do kogo jest podobna, dopiero gdy podchodzi do niej Aurora. Nowo przybyła musi być jej matką.

Lucca jednak ani drgnie, w ogóle nie widać po nim, że ma zamiar puścić Boone'a. Dopiero przyjaciele muszą siłą oderwać go od wroga, a pokonany nie wstaje. Widzę jedynie kilka zadrapań na jego twarzy – nic, co mogłoby spowodować niezdolność do ruchu. Dociera do mnie, o co mu chodzi, kiedy zaczyna jęczeć i narzekać na nieistniejące obrażenia. Próbuje wykorzystać sytuację, żeby ściągnąć na Luccę kłopoty.

Matka Aurory podchodzi do niego.

– Dajże spokój. Nic ci się nie stało.

– Zaatakował mnie całkowicie niesprovokowany – zawodzi Boone, na co Aurora i Saxon prychną śmiechem.

– Zaatakowałaś wybrankę Lukki. Nie powiedziałabym, że to nie była prowokacja – odzywa się Manu.

Boone siada i posyła mi wściekłe spojrzenie.

– To ma być jego wybranka? Zwyklaczka? Jasne, już wszyscy uwierzą w tę wymówkę.

– Nie obchodzi mnie powód tej idiotycznej walki. – Czarownica patrzy twardo na Boone'a i Luccę. – Jeżeli nie potraficie się zachować odpowiednio do swojego wieku, pakujcie walizki i wynoście się stąd. Obaj. – Odwraca się do wyjścia i posyła córce gniewne spojrzenie. – A ty chodź ze mną.

Aurora wzdycha głośno, po czym zerka przelotnie na Saxona. Ten pokazuje jej dwa kciuki i uśmiecha się jak głupi do sera. Nie jestem pewna, co to ma oznaczać. Ale teraz muszę się martwić pilniejszymi problemami. Manu właśnie ogłosiła, że Lucca zaatakował Boone'a z mojego powodu, co czyni ze mnie cel. Wszyscy zwrócili na mnie uwagę, a to dla mnie bardzo złe wieści. Jeden fałszywy ruch, jedna nieprawidłowa odpowiedź i prawda wyjdzie na jaw.

To powinno w całości zaprzętać moje myśli, ale jeszcze jedna rzecz walczy o moją uwagę: możliwość, że Lucca mnie pragnie. I w ogóle mi to nie przeszkadza.



15. Vivienne

Kiedy nad ranem wreszcie wróciłam do apartamentu, byłam wyczerpana, a z głodu kręciło mi się w głowie. Z zaskoczeniem odkryłam pod poduszką dwa snickersy. Pochłonięłam je błyskawicznie, w ogóle się nie zastanawiając, skąd się tam wzięły. Na szczęście dla mnie nie był to żaden głupi kawał. Podejrzewałam, że zostawiła je dla mnie w prezencie Aurora. Nie wiedziałam, jak udało jej się dostać do środka, ale nie zamierzałam wytykać jej braku poszanowania dla mojej prywatności, skoro mnie karmiła.

Mimo wszystko spałam jak zabita i obudziło mnie dopiero głośnie walenie Manu w kuchni. Wyskakuję z łóżka wnerwiona na hałas. Wparowuję do wspólnej przestrzeni zaspana, ale gotowa zrobić jej awanturę.

– Co to za raban... – Milknę, gdy widzę rozgrywającą się przede mną scenę.

Manu nie jest sama. Wpija się właśnie w szyję atrakcyjnego faceta, gdy ten posuwa ją na białce. Czuję, jak płoną mi policzki. Staram się wycofać powoli i bezgłośnie.

Nie wychodzę ze swojego pokoju, dopóki nie mam absolutnej pewności, że jestem już sama w mieszkaniu.

Wtedy kieruję się do drzwi wyjściowych na palcach. Kładąc dłoń na gałce, wyczuwam za plecami obecność Manu.

– Podobało ci się, sąsiadeczko?

Nie odwracam się, żeby nie zobaczyła mojej zaczerwienionej twarzy. Czy wampiry w ogóle się rumieniają? Może nie zauważy mojej reakcji dzięki zaklęciu?

– Przepraszam, nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

– Chyba nie jesteś skrupowana, co?

Śmieję się, by ukryć, że właśnie jestem.

– Oczywiście, że nie. Niby czym?

– Udowodnij to i odwróć się, żebym mogła ci się przyjrzeć.

Wzdycham i odwracam się, starając się przybrać neutralny wyraz twarzy.

– Proszę. Zadowolona?

– No, skrupowana na całego. Nie mów, że należysz do tych cnotliwych zwykłaczek, które nie bzykają się z ludźmi podczas żerowania.

Cholera. Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Jeżeli powiem, że się bzykam, to wyczuje kłamstwo? Boże, najdalej posunęłam się do zrobienia loda mojemu chłopakowi, gdy byłam w drugiej klasie szkoły średniej. Niedługo potem zerwaliśmy, bo nie chciałam pójść na całość.

– Czasami, ale wolę prywatność podczas żerowania.

– To mój apartament, już bardziej prywatnie się nie da.

Chcę rzucić, że bardziej prywatny jest jej pokój, ale zatrzymuję ten komentarz dla siebie. Manu ma chyba dobry nastrój i dobrze byłoby tego nie zmieniać.

– Okej. Postaram się nie przyłapać cię, gdy będziesz żerować.

Wzrusza ramionami.

– Mnie to obojętne.

Oddycham z ulgą dopiero wtedy, gdy znajduję się już daleko od apartamentu. Na dole schodów spotykam się z Cassie i Damonem i wspólnie ruszamy na pierwsze zajęcia dla przyszłych wartowników. Denerwuję się. Nie chcę czegoś schrzanić i na oczach wszystkich ulec jakiejś kontuzji. Wszystkie te niepokojące myśli schodzą jednak na dalszy plan, gdy Cassie i Damon zaczynają mnie wypytywać o starcie Lukki z Boone'em.

– Czy to prawda, że Lucca walczył z nim z twojego powodu? – pyta Cassie.

– Nie sądzę.

– Wszyscy o tym mówią – dorzuca Damon.

– Manu musiała to powiedzieć, żeby jej brat nie miał problemów. Wiecie, że nie może bez

powodu zaatakować Boone'a.

– Tak, przez porozumienie. – Damon rozgląda się ostrożnie. – Tak między nami, uważam to porozumienie za bezsens. Tatiana przez całe stulecia toczyła wojnę z prawowitym królem, a teraz nagle zawarli pokój? Wielu stronników króla jest wściekłych i mówi o buncie.

– Naprawdę? – pytam.

– Och, daj spokój. Te plotki to jakieś poronione gadki, Damon. Wszyscy kochają króla Raphaela.

– Nie, kocha go tylko połowa wampirzej populacji. Druga połowa uwielbia jego byłą narzeczoną.

– Czekaj, jak to była narzeczoną? – dopytuję.

Cassie i Damon aż się zatrzymują i dziwnie na mnie patrzą.

– Błagam, nie mów, że nie wiesz, iż kiedyś obiecano Tatianę królowi Raphaelowi – odpowiada Cassie.

Cholera. Powinnam była to wiedzieć. I trzymać buzię na kłódkę.

– A, no tak. Jasne, pfff. Myślałam, że mówicie o kimś innym.

– A niby o kim? Po porażce z tamtymi zaręczynami król Raphael nie był z nikim romantycznie związany – wyjaśnia Damon.

– Oj, to nieprawda. – Cassie ma w tej kwestii inne zdanie. – Krążyły pogłoski, że zakochał się w dziewczynie z rodu Van Helsinga.

– Daj spokój. – Damon wybucha śmiechem i potrząsa głową. – To wierutne kłamstwo wymyślone przez ludzi.

Wznawiamy marsz na zajęcia, ale już się nie odzywam, tylko chłonę wszystkie informacje padające w sporze Cassie i Damona.

– Wcale nie. Mówię ci, zakochał się w Van Helsingównie i dlatego zerwał zaręczyny z Tatianą. Ona z zemsty zabiła dziewczynę i tym zapoczątkowała obsesję Abrahama Van Helsinga na punkcie zabicia nas wszystkich.

– Odbiło ci. Dlaczego wampirzyce muszą być takimi beznadziejnymi romantyczkami? – pyta mnie Damon.

– A kto twierdzi, że jestem romantyczką?

– Jasne. – Zatrzymuje się przed salą i wskazuje ją ręką. – Panie przodem.

Ogólnie w tych zajęciach uczestniczy piętnaścioro studentów, w tym pięcioro nowicjuszy, licząc razem ze mną i Cassie. Damon jest tu już ponad rok. Nikt jednak nie interesuje się wampirami, które weszły razem ze mną; wszyscy koncentrują swoją uwagę wyłącznie na mnie. Cholera. To tyle, jeśli chodzi o pobożne życzenie, by wampiry miały krótką pamięć.

Hanson, nasz instruktor, dołącza do nas na środku sali gimnastycznej, po czym podchodzi do stolika, na którym leży pięć nowych lśniących sztyletów.

– Oto ostrza, z którymi będą ćwiczyć nowicjusze. Do czasu, gdy skończycie naukę, staną się przedłużeniem waszych ciał.

– Zaczniemy z nimi trenować już teraz? – pyta z przejęciem Cassie.

– Nie. Dzisiaj będziemy używać kijów. To pradawna forma walki, która wymaga bystrości, zwinności i gibkości.

Każdy student bierze kij. Idę za Cassie, chwytam za broń i mega się cieszę, że nie będę miała dziś do czynienia z ostrymi przedmiotami.

Przez następne pięć minut Hanson wyjaśnia nam podstawowe ruchy, natomiast bardziej doświadczeni studenci ćwiczą już sami. Trudno na nich nie patrzeć. Poruszają się szybko jak ninja, a nie należą do królewskich rodów.

Jakim cudem mam udawać, że posiadam wampirzy refleks i prędkość? Boże, to będzie totalna porażka.

Następnie instruktor łączy nas w pary. Jako piąta zostaję sama i na swoje nieszczęście mam ćwiczyć z nim.

– Dobra, zaczniemy od pierwszego ataku. Zobaczmy, na co cię stać. Nacieraj. – Ustawia kij w pozycji obronnej.

Wykonuję polecenie, ale moje uderzenie nie wywiera na nim najmniejszego wrażenia. Nawet nie

zmuszam go do cofnięcia się o krok. Zupełnie jakbym walnęła marmurowy posąg.

– Co to, do cholery, było, Vivienne? Atakuj tak, jakbyś naprawdę chciała mnie zabić. Pamiętaj, że będziesz ochraniać przedstawiciela królewskiego rodu. Nie możesz tego robić na pół gwizdka.

Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego wampiry uważają, że królewscy potrzebują ochrony, a tym bardziej zapewnianej przez zwykłych. Przecież są od nich dziesięciokrotnie silniejsi i szybsi. Więc o co chodzi? Tylko cudem udaje mi się zachować te komentarze dla siebie.

– Nie próbuję robić nic na pół gwizdka. Po prostu nigdy wcześniej nie miałam kija w ręce.

– Nawet nie trzymasz go poprawnie. – Rzuca swój kij na podłogę i przechodzi za moje plecy.

Przesuwa mi ręce w odpowiednie miejsca, ale ja potrafię myśleć tylko o tym, że stoi za blisko, więc czuję naciągającą panikę. Co gorsza, Hanson pachnie tak samo jak wampir, który mnie zaatakował. Tamten też używał słodkich, mdłych perfum.

– Już... już chyba wiem – dukam.

Nagle drzwi sali otwierają się z hukiem i Hanson się ode mnie odsuwa. Robię głośny wydech, ale poczucie ulgi szybko ze mnie ulatuje. Do sali wchodzi Lucca z przyjaciółmi. Serce dalej szybko mi bije, lecz tym razem nie ze strachu. Teraz na mój puls wpływa podniecenie.

Kiedy niby zmieniło się moje podejście do Lukki? Minęło zaledwie kilka dni, odkąd zagroził, że mnie zabije. W tej chwili nie traktuje mnie wrogo, bo uważa, że jestem jedną z nich. Co się stanie, gdy odkryje moje oszustwo?

Szczyt głupoty. To jedno jest pewne. Bohaterka, która czuje pociąg do drania, to oklepany temat, a ja właśnie powielam ten stereotyp. Ja pierdołę.

Nie mogę pozwolić, żeby požądanie zaburzyło mój osąd, zakłóciło mi realizację celu. Brat mnie potrzebuje. Bóg jeden raczy wiedzieć, co robi mu właśnie Larsson.

– Lucca. Czemu zawdzięczam ten szczyt? – pyta Hanson, nie kryjąc pogardy w głosie.

Ten odpowiada z aroganckim uśmiechem:

– Przeszedłem osobiście się przekonać, jak wygląda twój program szkolenia wartowników.

– Skoro tyle cię ominęło, sam pewnie skorzystałbyś na szkoleniu przypominającym.

Lucca wymienia spojrzenia z przyjacielem wyglądającym jak wiking, a potem patrzy na Hansona z rozbawieniem.

– Pewnie tak.

Nie. Nie. Nie. Już wcześniej drżałam ze zdenerwowania, a teraz zbłąźnienie się przed Luccą spowoduje, że zacznę się trząść jak galareta. Pocą mi się dłonie i nie mogę utrzymać nieruchomo tego cholernego kija. Opieram jego jeden koniec o podłogę, żeby nie było widać, jak się telepię.

– Widzę, że brakuje wam wojownika – rzuca Saxon. – Ja poćwiczę z Vivienne.

Lucca patrzy na niego gniewnie, ale on już podchodzi do mnie i uśmiecha się od ucha do ucha. Kurna.

– Nie jestem zbyt dobra – uprzedzam.

– Nie obawiaj się, kochana. Będę łagodny.

Niespodziewanie w potylicę trafia go zbłąkany kij.

– Auć! – Saxon masuje sobie głowę, ogląda się za siebie i piorunuje Luccę wzrokiem.

– Dosyć – rozkazuje Hanson. – Jeżeli przyszlście tylko po to, żeby zakłócać mi zajęcia, to się wynoście.

– Wybacz – odpowiada Lucca. – Ronan i ja będziemy się na razie tylko przyglądać.

Schodzą z tatami, a Hanson wznawia ćwiczenia. Saxon przyjmuje postawę obronną i czeka, aż zaatakuję. Nie chcę zdradzić, że jestem zwykłym człowiekiem, więc daję z siebie wszystko, przypominając sobie nasze ostatnie bliskie spotkanie – kiedy to uniemożliwił mi ucieczkę z Havocu. Ręce bolą mnie już z wysiłku, jednak ze smutkiem stwierdzam, że Saxon nawet nie stara się blokować moich ciosów. Ale przynajmniej nie wygłasza cynicznych uwag na temat mojego braku umiejętności.

– Dobrze. A teraz zamieńcie się rolami – nakazuje Hanson.

O cholera. Saxon robi ze mnie miazgę.

Może dostrzeżę lęk w moich oczach, bo szepcze:

– Nie martw się. Będę ostrożny.

Podnoszę kij i szykuję się na natarcie. Zgodnie z obietnicą wampir ledwo trąca moją broń. Wygląda to tak, jakbyśmy ćwiczyli pozorowaną walkę do jakiegoś filmu. Po mniej więcej minucie Hanson zauważa, że Saxon w ogóle się nie stara, i nam przerywa.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – Piorunuje wzrokiem mojego partnera sparingowego.

– Chyba nie sądzisz, że będę na poważnie walczyć z niedoświadczoną zwyklaczką – odpowiada ze złością Saxon.

– Nigdy się niczego nie nauczy, jeżeli wszyscy będą się z nią cackać.

Lucca prychnęła.

– Nigdy się niczego nie nauczy, kropka. Żaden z twoich uczniów się niczego nie nauczy.

Hanson obraca się gwałtownie. Staje sztywno i nie ukrywa niechęci.

– Niech zgadnę. Nie pochwalasz moich metod. Dlaczego mnie to nie dziwi? A może tak pokazałbyś studentom własne umiejętności?

Złośliwy uśmiešek obecny na ustach Lukki mówi mi, że właśnie to zamierzał osiągnąć. Obserwuję, jak odpycha się od ściany i podchodzi do Hansona z pewnością siebie, na jaką stać wyłącznie potężnego królewskiego.

– Rzucasz mi wyzwanie, Hanson? – pyta.

– Owszem.

Instruktor podnosi swój kij i przyjmuje postawę bojową, ale Lucca tylko kręci głową i podchodzi do stołu, na którym leżą przeznaczone dla nas sztylety.

– Ależ nie. Jeżeli już urządzamy pokaz dla twoich uczniów, to zróbmy to porządnie.

Podnosi sztylet i obraca go w zręcznych palcach, nawet na niego nie patrząc. Gdybym ja próbowała to zrobić, pewnie przynajmniej jeden bym straciła. Nigdy nie byłam jakoś wybitnie sprawna. Moim jedynym talentem jest śpiew, którego zaczyna mi okropnie brakować. Ciekawe, co teraz robią Karl, Cheryl i Vaughn.

Hanson odrzuca kij i też łapie sztylet. Saxon odprowadza mnie z tatami, inni studenci podążają za nami. Lucca i Hanson zaczynają krążyć wokół siebie i po raz kolejny hipnotyzują mnie ruchy tego pierwszego. Ma przymrużone powieki i jest gotowy do zaatakowania, ale wokół ust nie widać napięcia. Wydaje się rozbawiony.

Hanson decyduje się na atak i wykonuje pierwszy ruch. Lucca z łatwością się uchyla i krąży wokół przeciwnika z gracją tancerza. Jednak nie, to nie jest właściwy sposób na opisanie go. Lucca jest drapieżnikiem zwinny jak pantera.

Krążą wokół siebie jeszcze z minutę, aż w końcu Lucca blokuje cios Hansona, zamiast zrobić unik. Następująca potem wymiana jest za szybka, żeby moje ludzkie oczy ją zarejestrowały. Wydaje mi się jednak, że składa się z wielu cięć, aż nagle ostrze Hansona wylatuje mu z ręki, a Lucca przyciska mu swój sztylet do szyi. Całość nie trwała nawet minuty.

– Wygląda na to, że to tobie przydałoby się szkolenie przypominające – rzuca zimnym, twardym głosem Lucca, po czym się odsuwa.

Wtedy zerka na mnie i, rany-banany, z głębi mojego brzucha w błyskawicznym tempie rozlewa mi się żar po żyłach. W oczach wampira widać czerwony cień, a kiedy się uśmiecha, pokazuje końce kłów. Znowu nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie to nie odpycha ani nie przeraża.

Żeby nie ulec samozapłonowi, przenoszę uwagę na Hansona. Żar gaśnie, gdy we wściekłym spojrzeniu wbitym w Luccę widzę czystą nienawiść.

Cholera. Mroczny Książę właśnie zrobił sobie wroga.

Nie mogę w to uwierzyć. Zaczęłam się martwić o wampira. Czy to pieprzone zaklęcie namieszało mi w głowie?



16. Vivienne

Lucca i jego świta wyszli niedługo po upokorzeniu Hansona. Instruktor całą frustrację do końca zajęć wyładowywał na nas. Starannie dobierał słowa, żeby opisać, jacy to jesteśmy beużyteczni, aż nie tylko moje poczucie własnej wartości legło w gruzach, ale również Cassie i Damona.

– Kurna, to było brutalne – stwierdza Damon. – Możesz powiedzieć swojemu chłopakowi, żeby już się więcej nie pokazywał na naszych zajęciach?

– Mojemu chłopakowi? – pytam piskliwym głosem. – Nie pleć od rzeczy.

– Chłopak czy nie, wyraźnie urządził sobie z Hansonem konkurs sikania – dodaje Cassie.

– To nie moja wina, że królewscy nieustannie czują potrzebę udowadniania sobie, który ma większego fiuta.

Cassie prychna pod nosem, a Damon wybucha śmiechem na cały głos.

– Czyli jednak myślisz o fiutach, co? – rzuca.

Na szyję i policzki wypływa mi rumieniec. Rzeczywiście myślę teraz o fiucie Lukki i robię się coraz bardziej napalona. Cholera.

Jakieś zamieszanie powstrzymuje moje kudłate myśli. Przed nami grupa studentów stoi w kręgu, krzycząc coś i maniackalnie wymachując rękami.

– O nie. Znajdźmy inną drogę na zajęcia z etykiety – sugeruje Damon.

– Dlaczego? Co się...

Ktoś łapie mnie mocno za ramię i ciągnie w stronę tłumu.

– Ej! Puszczaj!

– Zamknij się, świeżak. Czas zapłacić myto – odpowiada żylasty królewski.

– Co? – Oglądam się przez ramię i widzę, że Cassie i Damon też są prowadzeni przez innych królewskich.

Chcę nawiązać kontakt wzrokowy z Damonem i zapytać, co się tu, do diabła, dzieje, ale zostaję pchnięta i ląduję w kręgu obok innej zwyklaczki. Ona już płacze.

Kiedy dołączają do nas moi towarzysze, pytam:

– Co to ma być?

– Znalazł nas komitet powitalny. – Damon się krzywi. – Co roku grupka królewskich postanawia dać się we znaki nowym rekrutom.

– Ale ty przecież nie jesteś nowy – dziwi się Cassie.

– Najwyraźniej wcale im to nie przeszkadza. Trzymam z wami, więc się nadaję.

– Dać się nam we znaki? Co to znaczy? – pytam i czuję, że zaczynam panikować.

– Nie wiem. Co roku psikusy są inne.

Do kręgu wskakuje opalony wampir z czarno-niebieskimi włosami i tłum od razu cichnie.

– Witajcie na otrzęsinach dla świeżaków. Minęło już trochę czasu, odkąd do naszej prestiżowej akademii dołączyły nowe zwyklaki. Byliśmy przez to pozbawieni dobrej zabawy.

Rozlegają się okrzyki aprobaty.

Zajebicie. Mam nadzieję, że zabawą nie okaże się cięcie nas na małe kawałki.

Jestem ściśnięta między Cassie i Damonem, co trochę maskuje, jak bardzo się trzęsę, ale nie do końca.

– Co zamierzacie nam zrobić? – pyta odważny wampir stojący naprzeciwko nas.

– Zrobić? Nie skrzywdzimy was. To niestety nie jest już dozwolone. – Rzeczywiście wygląda na zmartwionego zakazem. Skurwiel.

Daje sygnał komuś w tłumie, a ten wyciąga w jego stronę plastikowy czarny wór.

– Skoro wkrótce wigilia Wszystkich świętych, to sobie pomyślałem, że sprawdzimy, dlaczego ludzie tak szaleją na punkcie halloweenowych cukierków. – Odwraca wór i wysypuje na podłogę setki przepysznych smakołyków.

W brzuchu mi burczy, a w ustach natychmiast zbiera się ślina. Snickersy, które zostawiła mi

w pokoju Aurora, nie zaspokoiliły mojego głodu nawet w najmniejszym stopniu.

– Nie mówisz tego poważnie – obrusza się Damon.

Prowodyr odwraca się do nas z podłym uśmiechem na twarzy.

– Och, wręcz śmiertelnie poważnie. Mam nadzieję, że jesteście głodne, świeżaki. No już, jedzcie.

– A jeśli nie? – pyta inny odważny wampir.

W gnieniu oka postawa królewskiego się zmienia. Jego zielone oczy ciemnieją, robią się niemal czarne z odrobiną czerwieni.

– Wierz mi, nie chcecie się przekonać. Może nie wolno nam was krzywdzić, ale są tu takie miejsca, gdzie nikt nie usłyszy waszych krzyków.

Dostaję gęziej skórki. Nie sędzę, żeby blefował. Inni nowicjusze najwyraźniej dzielają moje zdanie. Wyciągają trzęsące się ręce po batoniki. Ja robię to samo, chociaż podejrzewam, że tym razem drzę z głodu, a nie z lęku. Łapię największy baton czekoladowy, jaki widzę, i bez wahania odgryzam wielki kawałek. Z trudem powstrzymuję głośne jęknięcie. Boże, jakie to pyszne.

Wyczuwam na sobie spojrzenia Cassie i Damona. Oni jeszcze nic nie zjedli.

– So? – pytam z pełnymi ustami.

– Nie wierzę, że odgryzłaś taki wielki kawał tego ohydztwa i nawet się nie skrzywiłaś – mówi wampirzyca.

Cholera. Nie wiem, jaki wpływ na wampiry ma spożywanie ludzkiego jedzenia. Zgaduję, że jest dla nich odrażające, tak jak dla mnie picie krwi.

– Uu, wygląda na to, że mamy tu twardzielkę. – Wkurzający królewski podchodzi bliżej. Patrzy wściekle na Cassie i Damona i wrzeszczy: – Na co czekacie? Żreć!

Staram się przybrać taką minę, jakbym miała mdłości, a jednocześnie przełykam niebiański przysmak. Z trudem udaje mi się nie rzucić na resztę batonu, ale najpierw chcę się przekonać, co czekolada robi Cassie i Damonowi. Wampirzyca przeżuwa snickersa i powoli zielenieje na twarzy. Krzywi się tak, jakby jadła kupę.

– No dalej. Nie przestawać, świeżaki. Jeść! – wrzeszczy mi w twarz królewski.

Nie musisz mi dwa razy powtarzać, kolego.

Biorę kolejny duży kęs i staram się wyglądać tak, jakbym chciała się buntować i wzdragać z odrazą. Jak na razie debil nie zorientował się, że jem tę czekoladę z rozkoszą. Z kolei Damon obok mnie krztusi się i rzyga jak kot.

Odrażające. Teraz i mnie ogarniają mdłości.

Cassie bierze drugi gryz. Potem zakrywa usta ręką, zrywa się i przebija przez tłum.

Kurna, no. To sygnał dla mnie. Z żalem porzucam niedokończony baton i biegnę za nią do ubikacji, podczas gdy widownia krzyczy i śmieje się za nami. Chuje. Wszyscy.

Zajmuję kabinę obok Cassie i naprawdę robi mi się niedobrze, gdy słyszę, jak wymiotuje. Niestety sama muszę udawać, że robię to samo, na skutek czego pozbywam się tej niewielkiej ilości czekolady, którą udało mi się zjeść.

Zabijcie mnie. Nie ma nic gorszego od wymiotowania, a fakt, że w ogóle nie musiałam tego robić, to tylko wisienka na torcie. W dodatku łzawią mi oczy.

Spuszczam wodę, siadam na posadzce i zastanawiam się, kiedy znowu coś zjem. Zaczynam sobie wyobrażać najwspanialsze dania. Soczystego burgera ze wszystkimi dodatkami i frytkami z chili, pizzę pepperoni, taco. Aaa! Nie ma rady. Muszę się udać na poszukiwania ludzkiego jedzenia, nawet jeżeli to będzie oznaczać ryzyko zostania zdemaskowaną. Muszę coś zjeść.

Cassie spuszcza wodę i ochryłym głosem woła moje imię.

– Wszystko w porządku? – Puka do moich drzwi.

– Tak, nic mi nie jest. – Zrywam się na nogi i wychodzę.

Cassie wygląda na mocno chorą. Jej biała cera jest jeszcze bledsza niż zwykle, a pod oczami widać cienie, których zdecydowanie nie było tam wcześniej.

Co to ma znaczyć, do diabła? Jak bardzo złe jest ludzkie pożywienie dla wampirów? Przecież w Havocu wiele z nich bez problemu piło alkohol.

– Wyglądasz lepiej ode mnie. Aż niewiarygodne, że brałaś takie wielkie gryzy tego brązowego

obrzydlistwa. – Patrzy na swoje odbicie w lustrze, a potem przemywa twarz zimną wodą.

– Nie pierwszy raz ktoś zmuszał mnie do jedzenia ludzkich produktów.

– Nie? A który? – Unosi brwi.

Macham wymijająco ręką.

– Nie wiem. Któryś z kolei. Na początku było koszmarne.

– Mogę się założyć. Boże, dla mnie to był pierwszy raz i nie dość, że zrobiło mi się niedobrze, gdy tylko to coś znalazło się na moim języku, to jeszcze zaczęło mi się kręcić w głowie. Ludzkie jedzenie to dla nas trucizna.

– No. Ale to dziwne, że możemy jednak pić alkohol, nie?

Marszczy brwi.

– Ja nie mogę. A ty możesz?

O kurna. Znowu coś źle powiedziałam?

– Ee, no tak jakby.

– Cholera, Vivi, ale z ciebie twardzielka. Chyba tylko królewscy nie wymiotują po alkoholu. –

Mruży powieki. – Jesteś pewna, że do nich nie należysz?

Prycham. Co za absurdalny pomysł.

– Pff. Nie widziałaś mnie na szkoleniu dla wartowników?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo zwracałam na kogokolwiek uwagę. Byłam zbyt skupiona na tym, żeby nie nawalić.

Wsuwam ręce do kieszeni.

– No więc szło mi gorzej niż wampirowi konającemu z głodu.

Cassie się śmieje i kręci głową.

– Rzucasz przeciwne teksty.

– No, jestem dziwaczką. Chodźmy zobaczyć, czy Damon przeżył.

Mam też nadzieję, że na podłodze zostały jakieś słodczyce i uda mi się ukradkiem schować je do kieszeni.

Ale gdy tylko wychodzę z łazienki, mój cudowny plan bierze w łeb. Na korytarzu stoi Lucca.

– Tu jesteś. – Podchodzi do mnie. – Pozbyłaś się już tego paskudztwa?

– Skąd wiesz, że zmusili mnie do jedzenia słodczy? – pytam.

– Nie wiesz? To był mój pomysł. – Uśmiecha się złośliwie, diabeł wcielony. – Gordon nie mógł wymyślić nic ciekawego, więc podsunąłem mu ten plan.

Kątem oka widzę, jak Cassie dyskretnie się ulatnia. Zatrzymałabym ją, ale nie chcę przerwać pojedynku na spojrzenia z Luccą.

– To było podłe – rzucam.

– Nieee, to było nic w porównaniu ze starymi, dobrymi czasami.

– Tymi sprzed twojej dziadziusiowej drzemki? – Unoszę brew, a w duchu się zastanawiam, skąd biorą się te beczelne uwagi.

To przecież Lucca, najpotężniejszy przedstawiciel rodziny królewskiej w całym instytucie. Opowieści o nim docierały do mnie, mimo że starałam się trzymać od krwio pijców jak najdalej.

Zaciska usta i mruży powieki.

– Chyba już mi wystarczy twoich pyskówek. Chodź. Przyszedłem zabrać cię na prawdziwe żerowanie. Burczenie w twoim brzuchu słychać na drugim końcu instytutu.

Łapie mnie za rękę, a ja zamieram.

– Żerowanie?

Lucca unosi kąciki ust.

– Tak. Zaspokójmy ten twój głód.



17. Lucca

Zdecydowanie za bardzo podoba mi się dotyk dłoni Vivienne w mojej. Jest człowiekiem i złodziejką. Nie mogę sobie pozwolić na delectowanie się niczym innym oprócz zadawanych jej tortur. Kiedy Gordon przyszedł do mnie narzekać na nowe zasady obowiązujące w instytucie, do głowy przyszedł mi idealny pomysł. Vivienne przymiera głodem, a ponieważ wampiry zaczynają chorować, gdy tylko zjedzą coś dla ludzi, znalazła się w trudnym położeniu. Mamy tu ludzkie jedzenie – chowańce i nasze przekąski muszą w końcu coś jeść – lecz dobranie się do niego stanowi dla niej prawdziwe wyzwanie.

Nie zauważyła mojej obecności, ale stałem w tłumie i patrzyłem, jak się skręca, próbując udawać odrazę, gdy tak naprawdę pragnęła pochłonąć wszystko, co tylko złapie. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak się wywinie z kolejnej trudnej sytuacji.

Z karmialni korzystają głównie zwyklaki. Wielu ludzi przychodzi tu, by żywić nasz gatunek. Płacimy wszystkim, ale przeprowadzamy selekcję. Młodszy i atrakcyjniejsi są zarezerwowani dla królewskich. Zwyklaki dzielą się pozostałymi. Skoro królewskie rody płacą za przekąski, uważam takie rozwiązanie za w pełni sprawiedliwe.

Ale nawet najpiękniejsze śmiertelniczki nie dają mi tego, czego potrzebuję. Obecnie podczas żerowania potrafię myśleć jedynie o Vivienne. Nie wyruchałem ani jednej z dziewczyn, które błagały, by mnie nakarmić, i po każdym posiłku czułem się niespełniony.

Zerkam na nią ukradkiem. Hardo zadziera brodę, ale zaciska usta i marszczy brwi. Czuję, jak jej dłoń poci się w mojej, co w każdych innych okolicznościach budziłoby moją odrazę. Vivienne jest przerażona tym, co może się wydarzyć w karmialni. Ciekawe, czy faktycznie spróbuje pić z drugiego człowieka.

To będzie wielce interesujące.

Skręcamy za róg i już prawie jesteśmy na miejscu, kiedy Therese postanawia się zjawić i popsuć mi humor. Blokuje mi drogę, posyła Vivienne pogardliwe spojrzenie i przenosi niezadowolony wzrok na mnie.

– Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz, Lucca. Nie idziesz na zajęcia z życia w cyfrowym świecie?

– Nie.

Moja zwięzła odpowiedź jej nie pasuje. Trudno się mówi. Nie przeczę, dobrze się kiedyś bawiliśmy. Ale nie żywię do niej aż tak silnych uczuć, żeby związać się z nią na wieki wieków, jak to robią niektóre wampiry. Wiązanie się było popularne w dawnych czasach, ale zainteresowanie nim sukcesywnie maleje, odkąd nie możemy się mnożyć.

– Dokąd z nią idziesz?

– Nie widzę powodu, dla którego musiałbym ci to mówić.

Dłoń Vivienne spina się w mojej. Jestem pewien, że dziewczyna chce uciec, skoro teraz Therese traci mój czas. Ale łapię ją mocniej, a potem robię coś jeszcze: kciukiem pocieram jej nadgarstek. Jej puls przyspiesza, a oddech staje się płytszy.

– Dobra. Baw się dobrze z tą szmatą. W końcu się nią znudzisz i wrócisz do mnie, jak zawsze.

Już otwieram usta, żeby jej odpowiedzieć, ale ubiega mnie Vivienne.

– Nie jestem szmatą – rzuca przez zaciśnięte zęby.

– Kto ci pozwolił się do mnie odzywać, łajzo? – Therese odwraca się do dziewczyny i szykuje do ciosu.

Zadałaby go, gdybym nie stanął pomiędzy nimi. Vivienne to moja zabawka, moja ofiara i nikt inny nie ma prawa jej tknąć.

– Spływaj wreszcie, Therese. Desperacja jest mało atrakcyjna.

– Pierdol się, Lucca. Nie ty jeden w tym mieście jesteś księciem.

Odchodzi, ale jej komentarz mnie irytuje. O kogo, do cholery, jej chodzi? Lepiej, żeby nie miała

na myśli Boone'a, tej kanalii, która zasługuje jedynie na bardzo powolną śmierć.

– Au! – skarży się Vivienne.

– Co? – warczę, nadal wściekły z powodu tego komentarza.

– Moja ręka. Zaraz zmiażdżysz mi wszystkie kości.

Cholera. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Przestaję ją tak ścisnąć, ale nie przepraszam. Złodziejka nie zasługuje na uprzejmość z mojej strony.

– Chodźmy już.

– Jakby to była moja wina, że się zatrzymaliśmy.

Skąd w niej ta zadziorność? Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, była potulnym człowiekiem trzęsącym się z przerażenia. Najwyraźniej udając jedną z nas, zyskała trochę odwagi. Podoba mi się ta nowa wersja. Karanie jej, gdy będzie stawiać opór, okaże się o wiele ciekawsze. Nigdy nie lubiłem tchórzy.

Jako że o tej porze odbywają się zajęcia, karmialnia jest niemal pusta. Ale tych kilku zwykłów, którzy czekają w kolejce, zwraca na nas uwagę. A wszystko z powodu kłamstwa Manu, jakobym walczył z Boone'em, żeby bronić Vivienne. A teraz jej tu towarzyszę. Wszyscy plotkarze uznają nas teraz za parę. Nie interesuję się jednak plotkami dotyczącymi związków. Zwracam uwagę na szeptaki tylko wtedy, gdy dotyczą polityki.

Koordinator, zwykły, który przestał się starzeć po zostaniu wampirem około pięćdziesiątki, podchodzi do nas z notatnikiem.

– Jak mogę pomóc, sir?

– Moja znajoma musi się pożywić. – Popycham Vivienne do przodu. – Proszę wybrać kogoś świeżego. Nie jadła od dłuższego czasu.

Patrzy na nią surowo.

– Nieregularne żerowanie nie jest zbyt mądre, młoda damo. Może wyzwolić żądzę krwi, a nikt nie chce cierpieć jej skutków. Chodź za mną.

Odwraca się i cmoka z dezaprobatą. Vivienne ani drgnie.

– Co się dzieje, słonko? – pytam najbardziej uwodzicielskim głosem.

– Nie lubię żerować przy innych – odpowiada, nie patrząc mi w oczy.

– Nonsens. Wszystkie wampiry to lubią. Taka już nasza natura. Chyba że jest jakiś szczególny powód, dla którego nie chcesz, żeby ktoś widział, jak wgrzazasz się w przepyszny człowiek. – Uśmiecham się, doskonale wiedząc, jak mój komentarz na nią zadziała.

Obraca gwałtownie głowę i patrzy na mnie oczami wielkości spodków.

– Nie ma.

Koordinatorka w końcu zauważa, że za nim nie poszła, i przywołuje ją do siebie.

Kładę jej rękę na krzyżu i popycham ją do przodu.

– No dalej. To nic trudnego. Prawdę mówiąc, będę cię obserwować, żebyś mogła poćwiczyć żerowanie przy innych.

Trzęsie się bardziej niż wcześniej, ale nie próbuje przekonać mnie, żebym sobie poszedł. Docieramy do stolika, przy którym czeka pulchna kobieta w średnim wieku. Zerka na Vivienne ze znudzoną rezygnacją, ale ożywia się na mój widok.

– Och, nie wiedziałam, że będę żywić samego księcia – mówi.

– Nie będziesz. To ona potrzebuje pożywienia. – Popycham Vivienne w stronę przekąski, po czym przyciągam sobie krzesło, żeby wygodnie oglądać przedstawienie.

– Cześć – zagaja nieśmiało.

Starsza kobieta wzdycha głośno i przekrzywia głowę, by odsłonić szyję. Vivienne zupełnie nie wie, co powinna robić. Nie ma nawet pojęcia, jak się ustawić. W końcu decyduje się stanąć za kobietą, która jest od niej niższa. Otwiera usta i odsłania ostre kły, ale ja wiem, że one nie są prawdziwe. Sprawdziłem zakłęcie, jakiego używa. Wszystko, co widzimy, to tylko iluzja. Zęby Vivienne są tępe jak zawsze.

Przed wgrzyzieniem się w szyję kobiety podnosi na mnie wzrok. Błyska w nim coś niejasnego i jestem niepokojony, że nie mam czasu tego zrozumieć. Vivienne zamyka oczy i zdecydowanym

ruchem wbija zęby w odsłoniętą skórę. Ale jako że nie ma ostrych zębów ani nie wydziela feromonu, który rozluźnia ludzi, gdy przebijamy ich tkanki, kobieta krzyczy z bólu.

Vivienne odskakuje jak oparzona, a przekąska odwraca się do niej i przyciska dłoń do szyi.

– Coś ty mi zrobiła? – pyta.

– Przepraszam.

Na jej ustach dostrzegam odrobinę krwi. Naprawdę zamierzała pić z drugiego człowieka.

Dlaczego tak bardzo zależy jej na moim naszyjniku, że pakuje się w takie niebezpieczeństwo i próbuje pokonać aż takie przeszkody, żeby go zdobyć? Kim tak naprawdę jest?

Koordinator podbiega do nas z notatnikiem. Najpierw gapi się na Vivienne, a potem na szlochającą kobietę.

– Co się stało?

– Nie wiem. Jej ugryzienie za bardzo bolało. Nic takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło – odpowiada niedoszła przekąska.

– Vivienne chyba zapomniała, jak należy poprawnie żerować. Wiesz, jak to jest ze zwyklakami, nie mają manier – stwierdzam.

– Ech, przepraszam – powtarza Vivienne i ucieka.

Zasłania twarz, ale i tak dociera do mnie zapach jej łez.

Bardzo dobrze. Płacz, złodziejczko, i do tego przywyknij.



18. Vivienne

Staralam się być silna. Myślałam, że jeśli troszkę się napiję, Lucca zostawi mnie w spokoju. Ale on oczywiście musiał zostać, a ja nawaliłam. Nic dziwnego, że moje ugryzienie zabolalo tamtą biedną kobietę. Przecież nie mam prawdziwych ostrych kłów ani jadu w nich, który sprawia, że ludzie stają się ulegli.

Nadal pamiętam pierwszy raz, gdy zostałam ukąszona. Bolało jak diabli, ale chyba tylko dlatego, że tamten zwykłał lubić sprawiać cierpienie swoim ofiarom. Wielu krwiopijców kwitnie na ludzkim bólu i założę się, że Lucca również do nich należy. Skoro podoba mu się torturowanie jednego ze swoich – mnie udającej wampirzycę – to zachowa się jeszcze gorzej, kiedy się dowie, że to ja jestem tym człowiekiem, który próbował go otruć.

Placzę, co nie jest fajne, ale jeszcze gorsze okazuje się zderzenie z kamieniem, gdy uciekam do swojego apartamentu. Nie muszę nawet podnosić głowy, żeby wiedzieć, na kogo wpadłam. Walący od niego smród zgnilizny sprawia, że natychmiast żółć podchodzi mi do gardła.

– Dokąd tak się spieszysz, świeżaku? – Łapie mnie za ramiona i wbija paznokcie w moją kurtkę.

– Puszczaj. – Próbuję mu się wyrwać, ale on tylko zaciska mocniej palce.

Jeżeli dalej będzie tak mocno naciskać, w końcu sprawi, że zacznę krwawić. Nie mogę sobie na to pozwolić, więc natychmiast przestaję się szarpać.

– No, tak lepiej. A teraz zobaczmy, co tak bardzo fascynuje w tobie Luccę.

Jednym machnięciem ręki odrywa trzy pierwsze guziki mojej koszuli i odsłania stanik. Serce zaczyna mi bić jak szalone i zaraz chyba naprawdę się porzygam. Mam déjà vu, a kiedy Boone wbija spojrzenie w moją szyję, wzdrygam się przerażona tym, co na pewno za chwilę nastąpi. Wampir mnie ugryzie, posmakuje mojej ludzkiej krwi i zapewne rozszarpie mi gardło.

– Zostaw mnie w spokoju – błagam. Irytuje mnie, że ledwo udaje mi się wykrztusić te słowa.

– Nie ma mowy. Podobasz się Luccę, więc muszę sprawić, że będziesz cierpieć.

Nagle zderza się z nim jakaś wielka siła. Boone odrywa się od ziemi i leci do tyłu, ląduje na podłodze z głuchym uderzeniem i sunie po niej, aż wpada na ścianę. Na ułamek sekundy staje przede mną Lucca, ale zaraz znika.

Rusza do Boone'a biegiem, lecz nie wykorzystuje nadnaturalnej prędkości. Niemal jakby chciał mieć pewność, że przeciwnik widzi jego nadejście. Tamten zrywa się na nogi i obnaża kły. Próbuje się zamachnąć i złapać Luccę, ale Mroczny Książę mu się wykręca, skacze i ląduje za jego plecami. W następnej chwili rozoruje mu twarz pazurami, zostawiając cztery krwawe rozcięcia.

Boone wrzeszczy rozeźlony i próbuje mu oddać. Lucca znajduje się już poza jego zasięgiem, ale jeszcze nie skończył. Z jego rękawa wyslizguje się sztylet, podobny do tych, które widzieliśmy dziś na pierwszych zajęciach.

O, nie. Czy on zamierza go zabić?

Co prawda bardzo pragnę śmierci Boone'a, ale Lucca nie może tego zrobić. Zostanie ukarany, a ja nie mogę pozwolić mu wpaść przeze mnie w kłopoty, nieważne, jaki jest okropny.

Słyszę, że ktoś za mną biegnie. Mam nadzieję, że to żaden z przyjaciół Boone'a. Oglądam się przez ramię i oddycham z ulgą na widok wampira w marynarce z emblematem instytutu. Musi tu pracować. Staje pomiędzy walczącymi, ale piorunuje wzrokiem wyłącznie Luccę.

– Co pan wyprawia? – krzyczy.

– Odpieprz się. To cię nie dotyczy. – Lucca odpycha wampira, aż ten się zatacza.

Cholera, chyba nie powstrzyma Mrocznego Księcia, chociaż sam jest królewskim.

Nagle zjawiają się Ronan i Saxon. Ucisk, jaki czuję w piersi, nieco maleje. Ale to jeszcze nie koniec. Lucca nadal patrzy na Boone'a z mordem w oczach.

– Lucca, odłóż ostrze. – Ronan staje przed nim.

– Nie – warczy. – Musi zapłacić za to, co zrobił.

– Wiem. Ale nie możesz tego teraz zrobić. Pomyśl o swoim wuju.

Najwyraźniej wzmianka o krewnym działa. Sztylet znika z pola widzenia. Mimowolnie podziwiam tę sztuczkę i żałuję, że sama tak nie potrafię.

Pracownik instytutu podchodzi do Boone'a i pyta, czy wszystko w porządku, a ten kretyn wyrzuca z siebie szereg przekleństw i całą tyradę o tym, jak to Lucca za wszystko zapłaci. Saxon pokazuje mu środkowy palec, co nie uchodzi uwadze dyżurnego, który spogląda na niego karcąco.

Następnie tak samo patrzy na Luccę.

– Ma pan poważne kłopoty, panie Lucca Della Morte.

– Mój atak nie był niesprowokowany. Boone dopuścił się napaści na Vivienne. – Obraca się i wskazuje na moją rozerwaną koszulę.

Ze wstydu oblewam się rumieńcem. Tak bardzo pochłonęła mnie walka, że zupełnie zapomniałam zasłonić stanik. Robię to pospiesznie teraz i zerkam w dół.

– To nie uzasadniało użycia broni. Trzeba było wezwać pomoc – odpięra dyżurny.

– Pomoc? Jaja sobie robisz? Nie potrzebuję pomocy, żeby sobie poradzić z Boone'em.

– Najwyraźniej. Ale to nie ma znaczenia. Zostaje pan zawieszony i nie może brać udziału w zajęciach do odwołania. Proszę natychmiast wrócić do swojego apartamentu.

– Z przyjemnością – szydzi Lucca.

Dyżurny podchodzi do mnie.

– Czy Boone cię zaatakował?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtarzam pytanie jak jakaś idiotka.

– Tak, dlaczego? Sprowokowałaś go?

Szczęka opada mi aż do samej ziemi.

– Jaja sobie robisz? Zaatakował mnie, bo jest zboczonym psycholem.

Lucca się zbliża i otacza mnie ramieniem, na co moje ciało reaguje dreszczem.

– Chodź, Vivi. Nie marnuj czasu na te kretyńskie pytania. Pan Ross najwyraźniej siedzi w kieszeni Tatiany.

Wampir wykrzywia się ze złości.

– Jak pan śmie. Jestem lojalnym poddanym króla Raphaela.

– No to ci powiem, że się tak nie zachowujesz – rzuca Saxon.

– Nawet jeżeli jestem nadmiernie ostrożny, wynika to tylko ze świadomości tego, jak wysoka jest stawka. Lucca zaatakował Boone'a już dwukrotnie. Nie obędzie się bez dochodzenia.

– Aż drżę ze strachu – prycha Lucca.

– Powinien pan. Boone ma tu wielu sprzymierzeńców, również niezdeklarowanych. Już raz niemal pana zabił, proszę nie zapominać. – Dyżurny odchodzi wyprostowany, ale ciężkim krokiem.

Natomiast ja mam mętlik w głowie. Trudno uwierzyć, że Boone prawie uśmiercił Luccę. Nie ma wątpliwości, że Mroczny Książę jest znacznie silniejszym i lepszym wojownikiem. Więc jak do tego doszło?

– Vivienne wygląda tak, jakby miała zaraz zemdleć. – Saxon przygląda mi się uważnie.

– Nie żerowała od dłuższego czasu – odpowiada Lucca.

– Dlaczego nie? – dopytuje arogancki blondyn.

– Bo jest nieśmiała. – Lucca wybucha śmiechem.

Kurna, co za wnerwiający królewski.

Walę go łokciem w kaloryfer, który okazuje się twardy jak skała, i uwalniam się z jego objęć.

– Nic mi nie jest. Nie musisz mnie odprowadzać.

Lucca przygląda mi się spod przymrużonych powiek.

– Nalegam. Wyraźnie widać, że nie możesz chodzić nigdzie sama.

Nie powinnam go odsyłać. W końcu znalazłam się tu tylko po to, żeby się do niego zbliżyć i ukraść mu ten cholerny naszyjnik. Ale obawiam się tego, jak wpływa na mnie jego bliskość. Nie powinnam tak bardzo pragnąć jego dotyku, skoro wiem, jak zły potrafi być wampir.

Ignoruję jego komentarz i ruszam do apartamentu. Mam nadzieję, że nie będzie w nim Manu.

Wszyscy trzej krwiopijcy idą za mną mimo mojego protestu. Super, teraz mam cały zespół ochroniarzy. Niespodziewanie prawie w tym samym momencie otwierają się wszystkie drzwi wzdłuż korytarza i z sal wylewają się wampiry. Widownia. Jeszcze tylko tego nam brakowało. Patrzę prosto przed siebie i udaję, że nie widzę wlepionych w nas spojrzeń.

Staję jednak jak wryta, gdy widzę idącą z naprzeciwka znajomą twarz. Nie wierzę własnym oczom. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, wiem już z całą pewnością, że nie mam zwidów.

– Karl? – pytam.

– Skąd znasz Karla? – chce wiedzieć Saxon.

Mrugam szybko, próbując zrozumieć, co tutaj się dzieje. Dlaczego Karl jest w Instytucie Bloodstone? Jakoś tu za mną trafił? Wyda mój sekret? Tak bardzo świruję, że dopiero po kilku sekundach docierają do mnie dwie rzeczy: po pierwsze, towarzyszy mu Manu, a po drugie, on jest równie mocno zszokowany naszym spotkaniem jak ja.

– Vivi, ee, co ty tu robisz? – pyta.

– Mogłabym cię spytać o to samo.

– Skąd znasz moją współlokatorkę, Karl? – Manu przygląda nam się podejrzliwie.

– Co? Vivi jest twoją współlokatorką? – Gapi się na wampirzycę wielkimi oczami.

Jestem totalnie zdezorientowana. Lepiej niech ktoś mi to wszystko jak najszybciej wytłumaczy, bo zaraz powiem coś, czego nie powinnam.

– Skąd znasz chowańca mojej siostry, Vivienne? – Lucca podchodzi do nas.

Chowańca? Nie, to niemożliwe. Myślałam, że Karl jest człowiekiem. Boże drogi. To jakiś koszmar.

Nagle zaczynam rozumieć jego pożegnanie. Wspomniał wtedy, że musi na jakiś czas zniknąć.

– Mamy wspólnego znajomego – odpowiada Karl.

Przez cały ten czas wydawało mi się, że go znam. A teraz się okazuje, że od początku mnie okłamywał. Wmówił mi, że nienawidzi wampirów równie mocno jak ja, a był pieprzonym chowańcem jednego z nich. Nigdy nie czułam się aż tak zdradzona.

– Właśnie. Stąd się znamy. – Chyba nikt nie kupuje tej historyjki, ale mam to gdzieś. – Muszę iść. Nie czuję się najlepiej.

Wymijam Manu i puszczam się biegiem z nadzieją, że Lucca nie ruszy za mną. Znowu mam ochotę się rozplakać. Wkurza mnie, że w tym miejscu czuję się jeszcze słabsza niż zwykle. Kiedy wpadam w końcu do swojego pokoju, pozwalam łzom płynąć. Głupio zrobiłam, uważając Karla za rodzinę. Mam na tym świecie tylko jedną osobę, która jest ze mną faktycznie spokrewniona, a ona potrzebuje teraz mojej pomocy.

Bez cienia nadziei, że ktokolwiek odbierze, dzwonię do Rikkona. Po kilku sygnałach rozlega się opryskliwy głos Larssona.

– Mam nadzieję, że dzwonisz z dobrymi wieściami.

– Jeszcze nie. Chcę tylko sprawdzić, jak się ma mój brat.

– Nic mu nie jest. Nie dzwoń, dopóki nie będziesz chciała mi powiedzieć, że masz naszyjnik.

– Mogę porozmawiać z Rikkonem? Proszę.

Larsson przez chwilę milczy, po czym odpowiada:

– Nie może podejść do telefonu.

– Dlaczego nie? – Ból ściska mi serce.

– Nie domyślasz się? To ćpun, a w tej chwili nie ma dostępu do dragów.

Nagle spływa na mnie olśnienie. Rikkon przechodzi przymusowy detoks.

– No tak, domyślałam się. Dziękuję.

– A niby za co? – Smok jest wyraźnie zaskoczony.

– Za trzymanie go z dala od kłopotów. I proszę się nie martwić. Zdobę ten naszyjnik.



19. Lucca

Nie muszę wypytywać Karla, żeby wiedzieć, skąd zna Vivienne. Razem występowali w zespole o nazwie Nocturnal. Odkryłem to, kiedy wrzuciłem jej imię do przeglądarki internetowej. Zabawne, że nie wiedziała, iż Karl to chowaniec. Nie idę za nią, bo Manu patrzy teraz na niego tak, jakby chciała go unicestwić, więc muszę zainterweniować.

– Kogo znasz ty i ta zwykła, Karl? – naskakuje na niego moja siostra.

– To człowiek, nie skojarzysz – odpowiada spokojnie.

Nigdy nie rozumiałem ich układu. Karl to nie jest przeciętny chowaniec. Nie był zwierzęciem, które Nightingale'owie zmieniali w ludzi i z nami wiązali. Był zmiennokształtnym, synem alfy stada wilków, ale postanowił się odwrócić od rodziny i zostać chowańcem Manu.

– Gówno prawda – odpiera moja siostra.

– Możecie przestać się kłócić jak stare małżeństwo? Ludzie się gapią – rzuca Saxon.

– Mogą się bujać. Mam ich w dupie – syczy Manu.

– To żalosne – burczy Ronan. – Odesłałaś go, a teraz jesteś wkurzona, że ogląda się za inną spódniczką.

Nagle z pełną mocą odzywa się we mnie pierwotny instynkt zaborczości i mam ochotę rozszarpać Karlowi gardło. Skąd to się wzięło, do cholery? Chodziło o to, że Ronan zasugerował istnienie relacji romantycznej między wilkiem i dziewczyną?

– Zamknij się, palancie. Nikt nie pytał cię o zdanie – odparowuje Manu.

– Kurna, gdyby Manu była śmiertelniczką, zapytałbym, czy to te dni – żartuje Saxon.

W mgnieniu oka moja siostra popycha go tak mocno, że przyjaciel leci do tyłu i omal nie ląduje na dupie. Mniej zwinny wampir na pewno padłby plackiem.

– Manu, uspokój się – mówię.

Ktoś za moimi plecami chrząka. Odwracam się i widzę Isadorę Leal, Najwyższą Czarownicę, która przygląda się nam tak, jakby nasza grupka była dla niej odrażająca. Stoi nieruchomo ze splecionymi palcami, ledwo widocznymi pod szerokimi rękawami żakietu.

– Mogę w czymś pomóc? – pytam.

– Owszem. Możesz pójść ze mną.

– Dokąd?

– A jak myślisz, Lucco? – Unosi brew.

Manu przysuwa się do mnie.

– Co się dzieje?

– Lucca znowu starł się z Boone'em – odpowiada Ronan.

– Odwaliło ci? Dlaczego jesteś takim idiotą? – wrzeszczy mi do ucha siostra.

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Piorunuję ją wzrokiem wściekły, że gani mnie za właściwe postępowanie.

Isadora ściska nasadę nosa.

– Boże, naprawdę nieważne, ile żyjecie, co? Nigdy nie dorośnecie.

– Nigdy. Taki plus bycia drugim pokoleniem. – Saxon śmieje się jak głupi do sera.

Teraz wszyscy stojący na korytarzu się na nas gapią, co jeszcze bardziej mnie wnerwia.

– Miejmy to już z głowy. – Podążam za Najwyższą Czarownicą do tej części budynku, w której wystrój jest mroczniejszy i surowszy. Domyślam się, że to starsza część, której jeszcze nie zaczęto remontować.

Z dala od wścibskich oczu i uszu pytam:

– Dokąd idziemy?

– Do gabinetu dyrektora.

– Kto nim teraz jest?

– Ta sama osoba, co sto lat temu.

– Bez jaj. Nadal rządzi tu Solomon Corvicus? Szok.

– Dlaczego? Uważasz, że nie ma odpowiednich kwalifikacji?

Sądzę, że jako najstarszy chowaniec w historii i jedyny niezwiązany z żadnym wampirem ma aż za wysokie kwalifikacje, żeby niańczyć bandę bezczelnych przedstawicieli rodów Blueblood. Ale zachowuję tę opinię dla siebie.

– Nie. Po prostu dziwię się, że tak wiele się zmieniło, a to jedno akurat nie.

– Nie podobają ci się te zmiany. Rozumiem. Ale powinieneś wiedzieć, że stawka jest wyższa, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Jasne. Los całego naszego gatunku. Król już walnął mi tę gadkę.

– A ty nie zgadzasz się z jego decyzją.

– Nie.

– I dlatego to on jest królem, a nie ty.

Prycham.

– Tak jakbym kiedykolwiek chciał nosić tę pieprzoną koronę.

– Jesteś jego dziedzicem. Jeżeli on umrze, włożysz ją.

Myśl, że wuj mógłby przestać istnieć, sprawia, iż robi mi się nieznośnie ciężko na sercu. Nawet nie chcę rozważać takiej ewentualności. I tak już za dużo straciłem. Często się kłócimy, ale go kocham. Jest dla mnie jak ojciec.

Zatrzymujemy się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami. Misterne rzeźbienia przedstawiają Maewe, królową Nightingale'ów, błogosławiącą mojego wuja po wielkiej Bitwie na Wrzosowiskach. Lata później rzuciła na nas klątwę. Co za suka. Nie udaje mi się powstrzymać grymasu pogardy.

Drzwi otwierają się same, to znaczy dzięki magii czarownicy. Isadora przechodzi przez nie pierwsza i kieruje się w stronę długiego stołu ustawionego na końcu sali. Siedzi za nim kilka osób, więc prędko dociera do mnie, że to nie jest zwykłe spotkanie z dyrektorem, tylko przesłuchanie. Solomon siedzi pomiędzy Jakiem Tellierem, byłym doradcą Tatiany, a Morgan Crane, najlepszą przyjaciółką mojej matki. Powiedziałbym, że miło mi ją widzieć, ale obecność Jacques'a doprowadza mnie do szału.

– Jestem. Czego chcecie?

– Widzę, że upływ czasu nie zmniejsza arogancji twojego rodu – odpowiada Jacques.

– Odpierdol się, pijawko. Możesz sobie siedzieć za tym stołem, ale dla mnie nadal jesteś robactwem.

– Lucco, proszę. Trzymajmy nerwy na wodzy – mówi spokojnie Solomon, przyglądając mi się świdrującym wzrokiem spod krzaczastych brwi.

Zanim stał się chowańcem i emisariuszem Nightingale'ów, był oposem. Nadal go przypomina, nawet w ludzkiej formie.

– Zgłoszono przeciwko tobie poważne zarzuty, synu – wyjaśnia Morgan. – Jestem pewna, że powiedziano ci o porozumieniu.

– Tak, słyszałem co nieco. – Wzruszam ramionami. – Co to za zarzuty?

– Zaatakowałeś syna Tatiany. To stanowi całkowite pogwałcenie warunków porozumienia. Powinieneś zostać skazany na śmierć. – Jacques wali pięścią w stół.

Przewracam oczami.

– Proszę. Chciałbym zobaczyć, jak ktoś próbuje mnie zabić. Zapomniałeś już jatkę z tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego?

Dupek rozszerza nozdrza i wykrzywia twarz w furii, a ja uśmiecham się szeroko na to wspomnienie. Ronan, Saxon i ja tylko we trójkę zabiliśmy pięćdziesięciu najwyższych rangą oficerów Tatiany, jednej nocy, tuż przed Bożym Narodzeniem. Fajne czasy.

– Lucco, to poważna sprawa – zaznacza twardo Morgan, więc przestaję się uśmiechać. – Boone złożył na ciebie oficjalną skargę, a z tego, co słyszałam, to twój drugi atak na niego w ciągu niecałej doby.

Zaczynam widzieć na czerwono i wydłużają mi się kły. Oczywiście, że ta kanalia na mnie doniosła.

– Nie wierzę, że tracicie mój czas i to mnie udzielacie nagany, skoro to Boone nieodpowiednio

się zachowywał.

– A co niby było w jego zachowaniu nieodpowiedniego? – prycha Jacques. – To, że twoja dziewczyna wolała jego towarzystwo?

Robię krok do przodu i syczę:

– Vivienne nie podobały się jego zaloty. Gwarantuję. Żadna kobieta o zdrowych zmysłach by się z nich nie cieszyła.

Jacques już otwiera usta, ale Solomon go uprzedza, mówiąc:

– W porządku. Porozmawiamy o tym zajściu z panną Gale. Jeżeli potwierdzi twoją wersję zdarzeń, dostaniesz tylko ostrzeżenie.

Jacques odwraca się do niego.

– To jakiś absurd! Widziałeś, co ta bestia zrobiła z twarzą Boone’a.

– O co ci chodzi? Moim zdaniem teraz wygląda lepiej – wtrącam.

– Lucco, zamknij jadaczkę – rozkazuje Isadora, która następnie zwraca się do dupoliza Tatiany. – Zasady porozumienia obejmują wszystkich, Jacques’u, łącznie ze zwykłakami. Jeżeli to Boone, pierwszy zaatakował Vivienne, to on niewłaściwie postąpił. A zachowanie Lukki było uzasadnione.

Wreszcie ktoś staje po mojej stronie. Zaczynałem już myśleć, że wszyscy stracili rozum. Albo i gorzej, padli ofiarą jakiegoś zaklęcia.

– Tatiana się o tym dowie i nie będzie zadowolona.

– Jeżeli nie zostały złamane żadne zasady, to nie można wymierzyć żadnej kary – odpowiada Solomon. – Sugeruję ci jednak, Lucco, żebyś do końca swojego pobytu tutaj trzymał się z daleka od Boone’a i jego kompanów.

– Nie ma sprawy, pod warunkiem że nie wejdzie mi w drogę. Skończyliśmy już?

Solomon zerka na towarzyszy, a kiedy nikt nic nie dodaje, stwierdza:

– Tak, skończyliśmy.

Przenoszę uwagę na Morgan, żeby nie miała wątpliwości, jaki jestem wściekły, że się za mną nie wstawiła. Była przyjaciółką mojej matki, wie z pierwszej ręki, jakie okropności zafundowała nam Tatiana wraz ze swoim wojskiem. Jak może tak tu siedzieć i udawać Szwajcarię?

Nie powściągam agresji i z całej siły popycham drzwi. Wałą o ścianę i rozlega się wyraźny dźwięk pękającego drewna. Świetnie. Ta cholerna rzeźba też jest kłamstwem.

Jestem na skraju wybuchu, mam przemożną chęć roztrzaskania czegoś w drobny mak, ale z jakiegoś powodu nie szukam Ronana ani Saxona, żeby się wyżyć w sparingu. Zamiast tego kieruję się do apartamentu Manu, do jej apartamentu. Muszę się zobaczyć z Vivienne, ale nie po to, żeby rozładować na niej swoje frustracje. Po prostu jej pragnę.



20. Vivienne

Do wschodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. Czuję głód, ale nie jest to jakieś natrętne doznanie, raczej irytująca świadomość gdzieś z tyłu głowy. Stres zawsze pozbawia mnie apetytu. Jestem zbyt zdenerwowana, żeby szukać teraz jedzenia. Boję się, że wpadnę na Boone'a albo Therese – oboje pewnie chętnie urwaliby mi głowę.

Kładę się i zamykam oczy. Prawdę mówiąc, jestem wyczerpana. Mój organizm nadal nie przyzwyczał się do zarywania całych nocy, chociaż często grałam z zespołem do późna. Myśl o Nocturnalu przypomina mi o Karlu i jego zdradzie.

Ogarnia mnie smutek, ale już nie tak dotkliwy jak wcześniej. Chyba rozmowa z Larssonem przekierowała moje myśli na to, co ważne: zdobycie naszyjnika Lukki. Muszę wymyślić, jak go ukraść, żeby wampir się nie zorientował. Musiałby chyba spać albo coś.

Pewnie pada zmęczony po seksie.

Eh. Nie wierzę, że właśnie o tym pomyślałam. Przecież nie prześlę się z nim, żeby mu ukraść błyskotkę.

Nie, zrobisz to po prostu dlatego, że masz na to ochotę.

– Zamknij się, mózgu. Jesteś strasznie puszczalski.

Cichy śmiech z okolicy drzwi sprawia, że otwieram oczy i błyskawicznie siadam. W progu stoi Lucca, zadowolony i cholernie seksowny.

– Co ty, do diabła, robisz w moim pokoju? – Wstaję.

– Technicznie rzecz biorąc, nie stoję w twoim pokoju. A do apartamentu siostry mam klucz. – Jego spojrzenie pada na moje stopy, a potem powoli przesuwa się w górę mojego ciała.

Cholera. Mam na sobie jedynie obcisłe szorty do spania i top, który z całą pewnością jest prześwitujący.

Krzyżuję ręce na piersi, żeby zasłonić stwardniałe na maksa sutki.

– Jestem pewna, że moje drzwi były zamknięte.

Uśmiecha się jak kocur, który pożarł kanarka.

– Były otwarte, kiedy przyszedłem. Może zrobił się przeciąg.

Kłamca.

Ruszam w jego stronę, żeby trzasnąć mu drzwiami przed nosem, ale on wchodzi do środka i zamyka je za sobą. Zamieram w pół kroku. Kurna. Jestem tu z nim uwięziona. I co teraz?

– Co ty robisz? – Cofam się, chociaż to głupie. Nie mam dokąd odejść.

– Najwyższa pora, żebyśmy się lepiej poznali, nie sądzisz?

– Nie. Moim zdaniem najwyższy czas, abyś załapał aluzję i wyszedł. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Doprawdy?

Zaczyna rozpinać koszulę i odsłania naszyjnik. Mój wzrok natychmiast się na nim skupia, a myśli zmieniają tor. Nie mogę wyrzucić Lukki z pokoju. Muszę zdobyć jego zaufanie. Ale obawiam się tego, do czego jego zdaniem tu dojdzie. Mimo że nogi mam jak z waty, a w brzuchu motyle, nie wydaje mi się, żebym mogła się przespać z wampirem. Nawet jeżeli jest nim Lucca, istny bóg.

– Dobra. Przyłapałeś mnie. Ciągnie mnie do ciebie. I co z...

Doskakuje do mnie i miażdży mi wargi ustami. Nie mam nawet czasu pisnąć z zaskoczenia, a jego język już się wsuwa między moje zęby, zaborczy i pożądlivy. Próbuję go powstrzymać, nie chcę się poddać pragnieniu, które błyskawicznie przejmuje nade mną kontrolę. To chyba ostatki ludzkiego instynktu próbują uchronić mnie przed sytuacją, która z całą pewnością źle się skończy. Ale po kilku kolejnych ruchach tego języka przepadam. Lucca wsuwa palce jednej ręki w moje włosy, a drugą kładzie mi na talii. Potem przejeżdża nią po moich plecach i wkłada ją pod bluzkę, a wtedy już całkiem mięknię.

Spodziewałam się, że wampir będzie zimny, ale nie jest. Okazuje się pełen życia i rozpalony jak słońce, aż parzy. Nie przestajemy się całować, gdy popycha mnie z powrotem na łóżko i kładzie się obok.

Wędruje rękami po całym moim ciele, głaszcze mnie i ściska, gdzie tylko mu się zamarzy. Ale kiedy przesuwa usta na moją szyję i zaczyna ją lizać i całować, cała się spinam.

Cholera, czy on zamierza mnie ugryźć? Wampiry gryzą się w czasie seksu?

Muska moją skórę kłami, ale nie robi nic więcej. Przesuwa się niżej i przez materiał wodzi językiem po każdym sutku. Odruchowo wyginam plecy i mruczę. Niczym kociak – czy raczej, w moim przypadku, kobieta cierpiąca na brak seksu.

Całuje mnie coraz niżej, ale kiedy dociera do szortów, przestaje. Unoszę się na łokciach, żeby na niego spojrzeć. Napotykam jego wzrok i oddech zamiera mi w piersi. Wampir wlepia we mnie czerwone oczy pełne głodu, jaki widziałam tylko raz w życiu. Jego kły są w pełni wysunięte. Jest potworem i chce mnie pożreć.

Zaczynam się niekontrolowanie trząść.

– Nic ci nie zrobię – stwierdza.

– To dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bo smakujesz tak cholernie dobrze, że chcę więcej.



Lucca

Do Vivienne wreszcie dotarło, że jestem wampirem, który zaraz straci rozum. Żądza krwi może się aktywować między dwojgiem wampirów, ale rzadko tak się dzieje. W tym wypadku wiedziałem, że to możliwe, bo Vivienne jest człowiekiem, a zapach jej krwi już dwukrotnie ją u mnie wywołał. Więc jakim cudem uznałem, że posmakowanie jej słodkich ust nie wywoła tego samego efektu? Krew płynie w jej żyłach wartkim nurtem i mnie wzywa, a oparcie się jej wołaniu wymaga ode mnie użycia całej samokontroli.

– Proszę, nie gryź mnie – prosi cicho dziewczyna.

Strach sprawia, że oczy ma wielkie i ciemne. Ten widok powinien mnie zadowolić, ale jest wręcz przeciwnie. Nie chcę, żeby się mnie bała. Chcę, by mi się oddała, by poddała się pożądaniu, które ogarnęło nas oboje.

– Nie ugryzę cię. Chcę ci sprawić przyjemność. Pozwolisz mi?

Mruga parę razy, zapewne zaskoczona, że proszę ją o pozwolenie. Prawdę mówiąc, nigdy nie musiałem prosić. Wszystkie śmiertelniczki i wampirzyce, które kiedykolwiek przeleciałem, same chciały mnie zadowolić.

– Nigdy tego nie robiłam. – Na jej policzki wypływa rumieniec, przez co wydaje mi się jeszcze bardziej pociągająca.

– Czego? Nie uprawiałaś seksu?

Przygryza dolną wargę i kiwa głową.

Kuźwa. Jest dziewczicą. Nie wierzę, ale jednocześnie w mgnieniu oka ogarnia mnie pragnienie bycia jej pierwszym. I jedynym już na wieczność.

Cholera jasna. O czym ja myślę?

Ta cała żądza krwi miesza mi w głowie, to jedyne wyjaśnienie. Chcę pieprzyć tę dziewczynę i na niej żerować, nic więcej.

– Nie musimy robić tego dzisiaj. Ale pozwolisz mi się skosztować?

– Okej.

Kurna. Nie wiem już, co wyprawiam. Chyba jara mnie samobiczowanie. Nie dość, że tłumię pierwotny głód, który chce wysać z niej krew do ostatniej kropli, to jeszcze odmawiam swojemu fiutowi zabawy.

Ale i tak ściągam szorty i majtki z Vivienne. Jej cipka jest gładziutka, pomijając kępkę ciemnoblonde włosów na kości łonowej. Jest przepiękna i chcę się nią rozkoszować. Liżę ją powoli, rozsmakowując się w jej sokach. Vivienne wciąga gwałtownie powietrze i podrywa biodra.

– Spokojnie, kochanie.

Rozsuwam jej nogi jeszcze szerzej, trzymając biodra nieruchomo, i przesuwam po niej językiem raz po raz. Drży pod moim dotykiem i oddycha haustami. Nie chcę przestawać, nawet jeśli byłoby zdecydowanie lepiej, gdybym mógł ją choć trochę ugryźć. W końcu zaczynam ssać jej łechtaczkę, co doprowadza ją na sam szczyt. Wije się i wykrzykuje słowa, które nic nie znaczą. Jej orgazm jest gwałtowny i potężny, być może pierwszy, jaki dał jej kochanek.

Mnie zaraz wybuchną jaja. Przegrywam walkę z samym sobą i wsadzam rękę w spodnie, żeby ulżyć chociaż jednej swojej bolączce. Nie potrzebuję dużo czasu. Nadal pieprzę Vivienne oralnie, gdy fala przyjemności zalewa nas oboje. Dziewczyna dochodzi po raz drugi. To właśnie nazywam doskonałym zakończeniem.



21. Vivienne

Budzę się w swoim pokoju sama. Patrę na zegar i widzę, że przespałam cały dzień, a teraz czas już wstawać i szykować się na zajęcia. Przecieram oczy i zastanawiam się, czy odwiedziny Lukki oraz to, co nastąpiło później, były tylko żywym snem. Ale nadal czuję pulsowanie między nogami i z całą pewnością jestem naga od pasa w dół. Mroczny Książę tu był i zafundował mi najlepszy orgazm życia.

Cholera. Czy to oznacza, że skończył się już bawić w podbój? Czy szansa na skradzenie mu naszyjnika przepadła bezpowrotnie? Dlaczego zasnęłam, do diabła?

Nastrój nie poprawia mi się, kiedy w końcu wychodzę z pokoju. W kuchni stoi Manu, tym razem sama, ale pije krew z worka. Ble. Nie wiem już, na co gorzej się natknąć na początku dnia: moją współlokatorkę pijącą z worka czy z człowieka.

– Dzień dobry, sąsiadeczko. Dobrze spałaś? – Uśmiecha się złośliwie, a jej ton świadczy o tym, że doskonale zna odpowiedź na to pytanie.

Boże drogi. Musiała nas wczoraj słyszeć. Zajebiście.

– Taa, jak kamień. – Idę ku wyjściu.

– Ej, nie zamierzasz najpierw zjeść śniadania? Seks pobudza apetyt.

Odwracam się i widzę, że wyciąga w moją stronę worek z krwią. Żołądek buntuje mi się na ten widok i gwałtownie się kurczy. Robi mi się niedobrze.

– Nie uprawiałam seksu – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Nie? Ale nieźle się bawiłaś, co? Po dobrym orgazmie zawsze jestem wygłodniała.

– Jezu! Nie chcę rozmawiać o tym, co się działo w moim własnym pokoju. Pilnuj własnego nosa. – Wychodzę i trzaskam drzwiami.

Jej wnerwiający śmiech towarzyszy mi jeszcze na schodach. Cieszę się, że jest wcześniej i na dole nie czeka na mnie Cassie. Później napiszę jej, że jestem już w sali gimnastycznej. Teraz najważniejsze jest coś innego: znalezienie jedzenia. Jeżeli dzisiaj nie wrzucę czegoś do brzucha, to zemdleję.

Staję na skrzyżowaniu korytarzy i kładę ręce na biodrach. Gdzie, do diabła, znajdują się sypialnie ludzi?. Tabliczki są do niczego, pokazują drogę tylko tam, dokąd nie chcę iść. Nagle słyszę za sobą kroki, więc natychmiast się obracam. Na widok Karła odczuwam ulgę i jednocześnie rozdrażnienie.

– Vivi, cieszę się, że na ciebie wpadłem. Musimy porozmawiać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Zaczynam się odwracać, ale on łapie mnie za ramię i powstrzymuje.

– Proszę, Vivi. Daj mi się wytłumaczyć. – W jego zielonych oczach widzę taki smutek i wewnętrzną walkę, że w końcu ulegam.

– Dobra.

Wprowadza mnie do pustego pomieszczenia i na wszelki wypadek zamyka drzwi na klucz. Siadam na ławce i patrzę, jak mój przyjaciel krąży przede mną bez słowa.

– Podobno miałeś się wytłumaczyć – mówię.

Zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Tak. Ale nie wiem, od czego zacząć.

– Może by tak od samego początku?

– Jasne. – Nerwowo przeczesuje włosy palcami. – No więc jestem od ciebie trochę starszy.

– Tyle to się sama domyśliłam. Kiedy się urodziłeś?

– W tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym.

Ja pierdziu. Dobrze, że siedzę, bo chybabym padła.

– Więc nie tak znowu trochę.

Uśmiecha się nieznacznie.

– No nie. Kiedyś byłem zmiennokształtnym. Wilkiem. Mój ojciec był alfą stada, a ja pewnego dnia miałem zająć jego miejsce.

– To co się stało? Manu porwała cię i zmusiła, żebyś został jej zwierzątkiem?

Krzywi się, odwraca wzrok i drapie się po nieogolonej żuchwie.

– To był mój wybór. Chowańce nigdy nie są zmuszane do złożenia przysięgi.

– Jak mogłeś wybrać życie w niewoli?

Śmieje się smutno.

– Bo byłem głupcem.

Matko przenajświętsza. Wszystko staje się jasne. Już rozumiem, dlaczego od czasu do czasu w jego oczach widać było udrękę i najbardziej lubił dobijające melodie. Mój przyjaciel od całych stuleci ma złamane serce, a ja nie miałam o niczym zielonego pojęcia.

– Zakochałeś się w niej, tak?

Nie odpowiada ani na mnie nie patrzy.

No, totalnie. Nie był głupcem, tylko świrem. Ale jak mógł się zakochać w tak nieprzewidywalnej wampirzycy jak Manu?

– To już nieważne – odpowiada.

– Wydawało mi się, że chowańce nie mogą opuścić swojego pana.

– W teorii nie. Chyba że pan sam nas odeśle. – Tym razem na mnie spogląda, a ja dostrzegam w głębi jego oczu wielkie cierpienie.

– Dlaczego to zrobiła?

Kręci głową i znowu odwraca wzrok.

– Nie mam pojęcia.

Sądzę, że wie, ale może nie chce jeszcze raz tego przeżywać.

– Cheryl też jest chowańcem?

Karl śmieje się pod nosem.

– Nie.

– Czyli nie jest twoją rodzoną siostrą.

Przeszywa mnie rozbawionym spojrzeniem.

– Widziałaś nas razem? Jestem jej męską wersją.

– Ona jest od ciebie znacznie ładniejsza – zauważam złośliwie.

Karl uśmiecha się do mnie i nagle jest tak, jakby nic się między nami nie zmieniło. Ale się zmieniło. Okłamał mnie.

– Nie rozumiem. Zmiennokształtni nie żyją przypadkiem mniej więcej tyle samo, co ludzie? Jakim cudem ona żyje od tylu lat, a wygląda na nie więcej niż osiemnaście?

– Nie wszyscy zmiennokształtni żyją krótko. Smoki na przykład mogą żyć setki lat, a kiedy osiągną dojrzałość, przestają się starzeć.

– To nie wyjaśnia przypadku Cheryl. – Mrużę powieki. – Chyba że jest w części smokiem.

– Jest kimś innym. Ale jej historię powinnaś usłyszeć raczej od niej samej.

Pewnie ma rację. Bóg jeden raczy jednak wiedzieć, kiedy ją znowu zobaczę.

– Nadal nie powiedziałaś, dlaczego musiałaś wrócić do Manu. Wezwała cię z powrotem?

W kącikach jego ust pojawia się napięcie, a wzrok tężeje.

– Nie. Król Raphael poprosił mnie o przysługę. Manu nadal nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Otwieram już usta, żeby zapytać, jak udało mu się przejrzeć moje zaklęcie, ale mi przerywa.

– Dość gadania o mnie. Musisz mi powiedzieć, co ty tu robisz, i to w dodatku udając wampirzycę.

– A, czyli wiesz o zaklęciu?

– Widziałem przez chwilę urok, ale potem prysł. Może jako chowaniec jestem na niego odporny.

– Aurory też nie zmylił.

– Nic dziwnego. Jest szkolona na Najwyższą Czarownicę. A teraz odpowiedz mi na pytanie.

Garbię się i ciężko wzdycham.

– Znalazłam się tu, bo Larsson kazał mi ukraść naszyjnik Lukki w zamian za wolność Rikkona.

Karl zamiera. Gapi się na mnie wielkimi oczami i nawet nie mruga. W końcu mruży powieki, a jego wzrok ciemnieje.

– Pojebało cię? – wrzeszczy. – Lucca to jeden z najbardziej bezlitosnych królewskich, jakich kiedykolwiek poznałem, w dodatku jak nikt pielęgnuje urazę. Nie można mieć nadziei na przeżycie, jeśli

się go okradnie.

– No to co twoim zdaniem mam zrobić? Pozwolić Larssonowi zabić mojego brata? – Zeskakuję z ławki, bo nagle nie mogę usiedzieć w miejscu.

– Nie! Oczywiście, że nie. Ale trzeba było mi powiedzieć. Coś bym wymyślił.

Kręcę głową i zaczynam krążyć po sali.

– Nie możesz mi pomóc, Karl. Chyba że masz mu do zaoferowania coś cenniejszego od naszyjnika Lukki. Inaczej muszę dokończyć to, co zaczęłam.

– Wydawało mi się, że wampiry cię przerażają.

– Niektóre tak. – Wzdrygam się na myśl o Boonie. – Ale poznałam paru zwyklaków i nie są tacy źli.

– A Lucca? – Unosi brew.

Na moje policzki wypływa rumieniec. W dodatku przypominam sobie minioną noc i czuję podwójny wstyd. Odwracam wzrok.

– On też nie jest taki zły.

– Vivi, błagam, powiedz, że się w nim nie zakochujesz. – Karl łapie mnie za ramię i odwraca w swoją stronę.

– Nie zakochuję się. – Odrącam jego rękę. – Nie bądź absurdalny.

– Nie urodziłem się wczoraj, wiesz.

– Tak, już to mówiłeś. – Uśmiecham się złośliwie.

– Jestem starszy i mądrzejszy, więc mnie słuchaj. – Na jego twarzy też się pojawia uśmiech.

– Czy to było nawiązanie do ścieżki z *Dźwięków muzyki*?

Prycha.

– Nigdy jej nie słuchałem.

– Jasne.

Nagle w brzuchu burczy mi tak, że słyhać to pewnie aż na korytarzu, więc przypominam sobie, co robiłam przed natknięciem się na Karla.

– Jesteś głodna? – Unosi brew.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo. Mój ostatni posiłek składał się z dwóch snickersów. Z jakąś dołą do temu.

– Cholera. Nie możesz głodować. – Sięga do kieszeni i wyciąga z niej gumę do żucia. – Nic innego nie mam. Ale pójdę do stołówki chowańców i coś ci przyniosę.

Wyrwam mu gumę z dłoni i wpycham ją sobie do ust, niemal zapominając o zdjęciu papierka. Zrobię się od niej tylko jeszcze bardziej głodna, ale przez kilka chwil będę się cieszyć jej słodyczą.

– Przyniesienie ci jedzenia nie będzie problemem. Kłopot w tym, żeby nikt się nie dowiedział, że je spożywasz.

– Nie martw się, Karl. Znajdę sposób. Od tego zależy aktualnie moje życie.

– Powinnaś już iść. Nie masz teraz szkolenia dla wartowników?

– Skąd wiesz?

– Instytut przyjmuje zwyklaków tylko do tego jednego programu, a rywalizacja o miejsce jest naprawdę zawzięta. Jak udało ci się tak szybko zdobyć miejsce?

– Ee, no, Larsson mi je załatwił.

Przygląda mi się bacznie.

– Larsson, co? Nie sądzę, żeby miał odpowiednie koneksje.

Wzruszam ramionami.

– Chyba ma silną motywację. Wiesz może, dlaczego chce zdobyć naszyjnik Lukki? To jakiś magiczny amulet?

– Nie mam pojęcia. – Nagle Karl się prostuje jak struna. – Kurna.

– Co?

Drzwi otwierają się z hukiem i do środka wchodzi Manu. Ma rozszerzone nozdrza, a oczy błyszczą jej czerwienią. Najwyraźniej użycie zamka było bez sensu. Pospiesznie połykam gumę.

Karl staje przede mną w charakterze ludzkiej... chowańczej tarczy.

- Manu...
- Co ty tu z nią robisz, Karl? – warczy wampirzyca.
- Odbywałem prywatną rozmowę. Dlaczego mnie śledzisz?
- Jesteś moim chowańcem, nie jej! – Zbliżyła się o krok.

Wysuwam się zza jego pleców.

- Nadrabialiśmy zaległości, nic więcej, Manu.
- Zamknij się. Doskonale wiem, co robisz. Najpierw mój brat, a teraz Karl.

Karl się spina i posyła mi oskarżycielskie spojrzenie, a potem znowu przenosi uwagę na Manu.

– Nie masz prawa żądać ode mnie oddania po tym, jak pozbyłaś się mnie ze swojego życia – mówi.

Jego uwaga najwyraźniej sprawia jej fizyczny ból. Krzywi się i nieco spuszcza z tonu.

- To prawda. A wiesz dlaczego? Bo byłeś beznadziejnym chowańcem, przynosiłeś mi wstyd.

Karl zaciska szczęki tak mocno, że aż słyszę zgrzytanie zębów.

- Przykro mi, że nie spełniałem twoich standardów, księżniczko.

– Nie nazywaj mnie tak.

- Dlaczego nie? Przecież nią jesteś. Rozpieszczoną i niegrzeczną księżniczką.

Manu strzela go z liścia tak mocno, że po sali rozchodzi się echo. Krzywię się, jakby to mnie rozboleł policzek.

- Co ty wyprawiasz? To było nie na miejscu.

Wampirzyca ignoruje mój wybuch. Nadal ma wielkie oczy, ale przynajmniej już nie świecą na czerwono. Oddycha ciężko, jakby przebiegła maraton. Karl dotyka policzka i posyła jej tak pogardliwe spojrzenie, że każda istota na ziemi poczułaby się jak ostatni męt. Nigdy nie widziałam, żeby patrzył na kogoś z taką nienawiścią.

- Karl... Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać, księżniczko. Przecież od tego tu jestem.

Ku mojemu jeszcze większemu zaskoczeniu jej oczy wypełniają się łzami. Odwraca się gwałtownie i wybiega na korytarz, zanim mogliśmy zobaczyć, jak spadają.



22. Lucca

– Hej, Luc. Idziemy do sypialni ludzi, żeby zaliczyć jakieś przekąski. Chcesz dołączyć? – pyta Saxon, gdy wychodzę z pokoju.

W sumie mógłbym coś zjeść, ale jest tylko jedna kobieta, której krew chcę pić.

– Nie, napiję się z worka. – Kieruję się ku lodówce, ale nie umyka mojej uwadze bezgłośnie wymiana spojrzeń między nim a Ronanem.

– Jak poszło spotkanie z Najwyższą Czarownicą? – pyta ten drugi.

– Zajebiście. A jak myślisz? – Przekłuwam plastik i biorę wielki łyk zimnej krwi. Ohydztwo.

– Ukarali cię za atak na Boone’a? – Saxon tak mocno marszczy brwi, że tworzą „V” na jego czole.

– Nie. Dali mi tylko upomnienie, dopóki nie potwierdzą mojej wersji wydarzeń z Vivienne. – Wrzucam pusty worek do zlewu. – Najgorsze w całym tym spotkaniu było to, że stałem naprzeciw Jacques’a i nie mogłem rozszarpać mu gardła.

– My znosimy jego obecność od lat, stary. Chciałbym ci powiedzieć, że z czasem coraz łatwiej udawać, że go tu nie ma, ale to byłoby kłamstwo – stwierdza Ronan.

Drzwi do naszego apartamentu otwierają się z hukiem i wpada przez nie huragan imieniem Manu, która w dodatku tupie jak nadąsane dziecko. Zatrzymuje się przede mną i wbija mi palec w pierś.

– Jakie masz plany co do tej zwyklaczki, Lucca?

Łapię ją za nadgarstek i odpycham od siebie.

– Nie wiem, co cię ugryzło w tyłek, Manu, ale daj mi spokój. Nie jestem w nastroju na twoje humorki.

– Odpowiedz mi, do diabła! Co zamierzasz zrobić z Vivienne?

Mrużę oczy i pytam podejrzliwie:

– A co cię to obchodzi?

– W sumie to nic, ale jeżeli zamierzasz przelecieć tę sukę, to się pospiesz. Masz konkurencję. Bez chwili namysłu wchodzę w jej przestrzeń osobistą i łapię ją za ramiona.

– Kogo?

– Karla – prycha. – Właśnie przyłapałam ich na ustronnym spotkaniu w jednej z pustych sal lekcyjnych.

– A tego nie zniesiesz, prawda, słonko? – Ronan krzyżuje ręce na piersi i przeszywa moją siostrę wnerwionym spojrzeniem.

– To mój chowaniec – syczy, odwracając się w jego stronę.

– Ktoś tu jest zazdrosny. – Saxon śmieje się rubasznie.

Potrząsam nią i zmuszam ją, żeby na mnie spojrzała.

– Dlaczego twierdzisz, że jest zainteresowany Vivienne? Co tam robili?

Manu najpierw robi wielkie oczy, a potem je mruży.

– A w sumie co cię obchodzi ta zwyklaczka? Dlaczego masz na jej punkcie taką obsesję?

Kuźwa. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, a poza tym nie mam ochoty tracić czasu na rozmawianie z nimi o Vivienne.

Odsuwam Manu na bok i wychodzę. Saxon i Ronan mnie wołają, ale wściekłość szumiąca mi w uszach zagłusza ich głosy. Nikt nie stanie między mną a Vivienne. Nikt. Gdzieś tam z tyłu głowy wiem, że zachowuję się jak nieracjonalne zwierzę, ale nie chcę kontrolować pierwotnego instynktu, który każe mi pośiaść, co moje.

Kiedy docieram do głównego korytarza, wystarczy mi tylko jeden wdech, żeby złapać jej zapach. Znowu ma dzisiaj szkolenie dla wartowników, ale dokładnie wiem, w której sali spotkała się z Karlem, gdy mijam właściwe drzwi. Ich zapachy kumulują się w przedniej części sali. Po spotkaniu rozeszli się w przeciwne strony i jakaś część mnie chce iść za Karlem. Mogłoby się to jednak skończyć tym, że zabiłbym chowańca Manu, a to byłoby bardzo złe.

Aby uniknąć typowych wczesnym wieczorem tłumów, obieram alternatywną trasę przez nieużywaną obecnie część instytutu. Jestem już prawie przy sali gimnastycznej, gdy słyszę głosy Solomona i Isadory. Rozmawiają szeptem za zamkniętymi drzwiami, a to nigdy nie wróży nic dobrego. Pragnienie namierzenia Vivienne i uczynienia jej moją słabnie. Może do głosu doszedł mój instynkt przetrwania. Teraz muszę się dowiedzieć, o czym rozmawia tych dwoje.

Na swoje spotkanie wybrali ostatnie pomieszczenie w pustym korytarzu. Słyszę ich wyraźnie bez konieczności przykładania ucha do drzwi.

– Jesteś pewna, że nowa studentka odnalazła tajemną komnatę pierwszego dnia w instytucie? – pyta Solomon.

– Tak powiedziała Aurora.

– Mówiłaś, że strażnicy nie zawiodą, Isadoro.

– To właśnie jest dziwne, Solomonie. Nadal tam są, silni jak zawsze.

– To z kolei oznacza, że Vivienne Gale jest odporna na ich magię.

Natychmiast się spinam. O czym oni, do diabła, mówią? Na co Vivienne jest odporna?

– Wiem, ale nie rozumiem dlaczego. Strażnicy mają za zadanie ukrywać komnatę przed wszystkimi: wampirami, chowańcami i ludźmi. Co jest w niej takiego wyjątkowego, że potrafi ich wyminąć?

– Może to zagubiona czarownica?

– Daj spokój, Solomonie – prycha Isadora. – Nie jesteśmy wampirami, które mnożyły się kiedyś jak króliki z każdym, kto tylko zechciał. Doskonale znamy nasze linie genealogiczne.

– Więc jakie są twoje teorie? Na pewno jakieś masz.

– Owszem.

Nie mogę się już doczekać, aż Isadora wreszcie rzuci nieco światła na powód, dla którego tak ciągnie mnie do Vivienne.

– Lucca. Tak mi się wydawało, że tu idziesz. – Donośny głos Therese niesie się po korytarzu.

Ja pierdołę..Nigdy nie wierzyłem w karmę, ale zaczynam zmieniać zdanie.

Dyrektor i Najwyższa Czarownica natychmiast ucinają rozmowę. Odsuwam się od drzwi, żeby nie musieć im się tłumaczyć. Therese podąża za mną jak ostatnie utrapienie. Do diabła, czy ona zawsze taka była?

– Luc, czekaj.

Kiedy znajdujemy się już w głównej części budynku, obracam się ku niej gwałtownie, łapię ją za szyję i przyciskam do ściany. Unoszę ją nad podłogę, żeby nie mogła krzyczeć.

– Cze-go chcesz?

Drapie mi twarz do krwi, ale mam to gdzieś.

– Pusz... czaj.

– Wyjaśnijmy sobie coś raz a dobrze. Nie życzę sobie, żebyś za mną łąziła. Nie odzywaj się do mnie, nie patrz na mnie, a jeśli zauważysz mnie na korytarzu, zmień trasę.

Puszczam ją i odsuwam się poza jej zasięg. Należy do rodu Blueblood, więc może się na mnie zamachnąć, ale pozwolę jej tylko na jeden cios.

– Ty dupku! – wrzeszczy.

Zbiera się wokół nas tłumek gapiów, lecz od kilku wieków mam w dupie, co myślą o mnie inni.

Wyczuwam, kiedy Ronan i Saxon zbliżają się do nas, ale zamiast ruszyć ku nim, oddalam się w przeciwną stronę. Powiniennem iść na jakieś debilne zajęcia z życia we współczesnym świecie, ale wszyscy wiedzą, że instytuty istnieją wyłącznie po to, żeby królewscy mieli co robić, zamiast szukać kłopotów.

Dużo możemy się dowiedzieć dzięki picciu ludzkiej krwi, bo zawiera ona wspomnienia naszych przekąsek.

Nie mogę tu dziś tkwić, nie teraz, gdy się nie kontroluję. Jeżeli zostanie tutaj taki wściekły, to albo zabiję Karla, albo zdemaskuję Vivienne jako człowieka, pijąc z niej na oczach wszystkich.

Oba scenariusze są okropne.



23. Vivienne

Na zajęciach Hanson dalej musztrował nas niczym sierżant, ale przynajmniej tym razem zdołałam się kompletnie nie zbłąźnić. Pomógł w tym brak widowni. Jadę jednak na oparach, więc po opuszczeniu sali od razu udaję się na poszukiwania Aurory. Karl pewnie jest zajęty radzeniem sobie ze swoją wampirzą panią.

Współczuję mu. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jakie to okropne uczucie być na wieczność przywiązany do wampirzycy, którą się kiedyś kochało, a z którą relacja się popsuła. Nie wiedziałam, że chowańce w ogóle mogą się angażować w związki ze swoimi panami. Zawsze zakładałam, że to zakazane. Pojawienie się w instytucie unaocznilo mi, jak niewiele wiem o wampirach i ich świecie.

Nie chcę dać się zaskoczyć Boone'owi ani innym okropnym wampirom, więc znajduję wnękę w korytarzu i wyciągam komórkę, żeby napisać do Aurory. Odpowiada od razu i chwilę później widzę, że zmierza w moją stronę.

Wychodzę z kryjówki i spotykam się z nią w połowie drogi.

– Błagam, powiedz, że masz przy sobie coś jadalnego.

– Kiedy jadłaś coś po raz ostatni? – szepcze, bo nie jesteśmy same.

Cholera. Muszę bardziej uważać.

– Dawno.

– Chodź. Mam coś dla ciebie u siebie.

W brzuchu już mi głośno burczy, a teraz jeszcze do ust napływa mi ślinka.

– Jak ci tu idzie? – pyta Aurora.

– W porządku. Wszystko okej poza problemem z posiłkami.

– Słyszałam, że Boone cię wczoraj zaatakował – rzuca bez troski, ale mnie daleko do swobody.

Wszystkie mięśnie mi się spinają, a żołądek kurczy się z niepokoju. Szkoda, że poruszyła ten temat.

– Tak. Kawał drania. I to nie pierwszy raz próbował.

– Chodzi ci o tamto zajście na imprezie?

– Nie. Natknęłam się na niego wcześniej w Havocu.

Aurora staje jak wryta i łapie mnie za ramię.

– Chcesz mi powiedzieć, że poznał cię, jeszcze zanim użyłaś zaklęcia? – Jej ładne oczy robią się okrągłe, a źrenice rozszerzają.

– Owszem. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Zaczynam się bać.

– Powinnaś. Boone zaatakował cię już trzy razy. Królewscy potrafią dostać obsesji, co nigdy nie kończy się dobrze dla ich ofiary. Trzymaj się od niego z daleka.

– Wierz mi, próbuję.

Puszcza mnie i znowu ruszamy. Po tych rewelacjach serce chce mi się wyrwać z piersi i boli mnie żołądek. I to nie z głodu. Kurna. Nienawidzę takiego lęku. Może lepiej byłoby mi gdzie indziej, w jakimś dużym mieście, gdzie zniknęłabym w tłumie.

W końcu przełamuję milczenie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Mieszkałaś kiedykolwiek poza Salem?

– Oczywiście.

– Ale nigdy nie zapomniałaś o wampirach, prawda?

Gapi się na mnie jak na kosmitkę.

– Należę do społeczności nadnaturalnych, a zaklęcie działa tylko na ludzi. A ty? Wyjeżdżałaś stąd kiedyś?

– Tak, raz. Matka zabrała brata i mnie do Bostonu, gdy miałam dziesięć lat.

– Wiedziałaś już wtedy o wszystkich istotach?

– Nie pamiętam takiego czasu w swoim życiu, gdy o nich nie wiedziałam. – Czuję, jak w gardle wzbiera mi złość, ale nic nie mogę na to poradzić.

Matka nie tylko kochała istoty nadprzyrodzone, ale w dodatku najbardziej lubiła te najgorsze.

– Spanikowałaś, kiedy po powrocie do Salem wróciły też twoje wspomnienia?

Mimowolnie parskam śmiechem.

– No co?

Kurna. Naprawdę muszę lepiej nad sobą panować. Mogłabym skłamać, w sumie to nawet powinnam, lecz jestem tym już zmęczona.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ale zakłęcie zablokowało mi wspomnienia tylko na kilka godzin.

Aurora znowu łapie mnie za rękę, tym razem jeszcze mocniej zaniepokojona.

– Jak to? – Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale mi przerywa: – Poczekaj. Już niemal jesteśmy u mnie.

Skręcamy za róg i czarownica zatrzymuje się przed prostymi drzwiami z ciemnego drewna. Do nich też ma klucz uniwersalny. Gdy tylko wchodzę do środka, uderza mnie zapach świeżo pieczonych ciasteczek. Zapominam o dobrych manierach i podążam za nim prosto do kuchni. Ciasteczka są jeszcze w piekarniku.

– Chyba już się upiekły – mówię z ręką na uchwycie piekarnika. – Mogę?

Aurora rzuca torebkę na blat i macha niedbale ręką.

– Jasne. Częstuj się.

Ciastka są gorące i parzą mnie w palce i język, ale tak wybornie smakują, że mam to gdzieś. Jęczę po pierwszym gryzie.

– Mam tu więcej jedzenia, wiesz. Co byś zjadła poza ciastkami?

– Wszystko – odpowiadam z pełnymi ustami, z których na podłogę wypadają okruszki.

– Naprawdę powinnaś była lepiej wszystko przemyśleć, zanim zdecydowałaś się dołączyć do instytutu jako wampirzyca. – Aurora kręci głową.

Ale sięga nad blat i z szafki wyjmuje krakersy, chipsy i inne przekąski. Pewnie rozboli mnie od tego wszystkiego brzuch, ale w tej chwili myślę tylko o tym, żeby się napchać.

– To powinno wystarczyć ci na jakiś czas. A teraz mów, co dokładnie się wydarzyło w czasie podróży do Bostonu.

Przełykam wielki kawałek ciastka, a potem otwieram paczkę chipsów i wpycham kilka do ust.

Totalny brak dobrych manier.

– No, gdy tylko wyjechaliśmy poza granice Salem, poczułam taką jakby mgłę w mózgu, jak wtedy, kiedy ma się wrażenie, że się o czymś zapomniało, ale nie ma się pojęcia o czym. Zignorowałam to, bo byłam podekscytowana wyjazdem do Bostonu. Matka nigdy nie robiła z nami fajnych rzeczy. – Milknę, sięgam po kolejne ciasteczko i biorę kilka gryzów.

– Chcesz do tego mleka? – Aurora kieruje się do lodówki.

– Pewnie. Byłoby super.

– Tak czy inaczej – podejmuję opowieść – staliśmy przed kinem, czekając na jakąś koleżankę matki, i wtedy zobaczyłam plakat reklamujący film z wampirami. I ot tak przypomniałam sobie, że istnieją naprawdę.

Czarownica przygląda mi się uważnie, niemal jakby próbowała czytać w moich myślach. Może nie należało jej tego opowiadać.

– To nie powinno było się stać – stwierdza. – I tylko ty tak miałaś?

– Nie, Rikkon też. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego matka nic nie pamięta. Na początku myśleliśmy, że żartuje.

Obchodzi mnie i z torebki wyciąga starą księgę w skórzanej oprawie.

– To mocno niepokojące, Vivienne. Jeżeli więcej ludzi jest odpornych na to zakłęcie, nasz sekret się wyda.

– A czy to byłoby takie złe?

– W Salem to działa jedynie przez wzgląd na historię miasta. Zostało założone przez istoty

nadnaturalne.

– Naprawdę? To dlaczego nagle doszło do procesów czarownic?

– To było paskudne następstwo wojny między rywalizującymi ze sobą kowenami.

– To wampiry z rodu Blueblood założyły Salem?

– Nie, czarownice. Wampiry zgromadziły się tu, bo w tym miejscu po raz ostatni widziano Nightingale'ów – odpowiada Aurora i skupia swoją uwagę na księdze. Skanuje ją pospiesznie, przewraca kartki po jednym spojrzeniu na stronę.

– Opowiesz mi wreszcie o Nightingale'ach? Dlaczego stworzyli wampiry?

Wzdycha.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co? No więc mówiąc w skrócie, król Raphael był kiedyś człowiekiem. Wraz ze swoimi sprzymierzeńcami pomógł Nightingale'om wygrać wojnę z paskudami z ich świata i w ramach podziękowania Nightingale'owie dali im wszystkim nieśmiertelność.

– Poważnie? Kiepski podarunek.

Unosi spojrzenie znad książki i patrzy na mnie zaskoczona.

– Dlaczego tak uważasz? Nightingale'owie zapewnili tym ludziom wieczne życie, młodość i potęgę.

– Ale też alergię na słońce i zdolność przeżycia wyłącznie dzięki picciu krwi.

Nic na to nie odpowiada, tylko nadal na mnie patrzy. Po chwili kręci głową i pyta:

– Więc nie wiedziałaś o Karlu?

Wow, co za zmiana tematu. Nie wiem, dlaczego nie chce rozmawiać o Nightingale'ach, ale wzmianką o Karlu przykuwa całą moją uwagę.

– Skąd wiedziałaś, że Karl był moim przyjacielem?

– Salem nie jest dużym miastem, dziewczyno.

Chcę zadać jej więcej pytań, ale rozlega się pukanie do drzwi. Wymieniamy zmartwione spojrzenia, a potem ona przenosi wzrok na chips w mojej ręce. Pospiesznie go upuszczam i wycieram usta.

– Kto to? – pyta Aurora.

– Ja, Saxon.

Kurna. Przyjaciół Lukki. Co on tu robi?



24. Lucca

Opuszczenie terenu instytutu w ogóle nie przyszło mi wcześniej do głowy. Gdy tylko wychodzę przez bramę, zaczynam biec prosto do lasu. Potrzebuję odosobnienia, jakie potrafi zapewnić jedynie łono natury. Żyły nadal mi płoną, gardło mam suche, a kły w pełni wysunięte. Muszę się uspokoić, bo teraz stanowią zagrożenie dla każdego człowieka, na jakiego mógłbym się natknąć.

Słyszę pękające niedaleko suche gałązki. To jeleni przede mną ucieka, musiał wyczuć drapieżnika. Ja jednak nie żeruję na zwierzętach. Nie jestem zdziżałym, bezrozumnym wampirem, który musi się uciekać do wysysania krwi z istot pokrytych futrem, żeby kontrolować swój głód. Jestem ponad to.

Im bardziej oddalam się od instytutu, tym mniejszą odczuwam złość. Poczucie głodu również słabnie, chociaż ciągle jest wyczuwalne i bolesne. Przystaję biec dopiero po dotarciu do głównej drogi, która wiedzie do centrum miasta. Nie da się ukryć, że w końcu muszę się najeść tak, by poczuć się w pełni zaspokojony.

Nie powinienem był wczoraj odwiedzać złodziejki. Nadal czuję jej smak na języku – poza krwią była to najlepsza rzecz, jakiej kiedykolwiek próbowałem. Na samo wspomnienie mój fiut twardnieje, co przypomina mi o innym głodzie. Teraz chcę nie tylko z niej pić, ale też zanurzyć się w jej słodkiej cipce, by sprawić, że zapomni, jak się nazywa. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak by to było. zrobić jedno i drugie naraz. Czysta ekstaza.

Pierdołę, wraca żądza krwi. Ryczę z wściekłości i walę pięścią w najbliższe drzewo przy drodze, czym rozwalam jego pień na pół. Nic nie będzie mnie kontrolować, a już na pewno nie pragnienie wywoływane przez zwykłego człowieka.

Ręka rwie mnie od uderzenia, ale witam ten ból z radością. Pomaga mi odzyskać koncentrację. Ruszam ku Havocowi, jedynemu miejscu w tym mieście, które ma to, czego potrzebuję.

Nagle moje ciało wpada na inny pomysł. Do mojego nosa dociera zapach Vivienne, więc stopy kierują się w jego stronę. Ślad jest słaby, może mieć z jakiś tydzień, ale to nie ma znaczenia. Podjąłem trop i nic nie powstrzyma mnie przed podążaniem nim.

Docieram do osiedla przyczep kempingowych na obrzeżach miasta. Nie jest to najgorsza dzielnica, jaką w życiu widziałem, ale zdecydowanie nie powstają w niej szczęśliwe dziecięce wspomnienia. Jest na to zbyt dołująca. Grunt jest albo pokryty przerośniętą trawą, albo odsłonięty, więc w czasie deszczu z pewnością tworzą się na nim błotniste kałuże. Przed niektórymi przyczepami walają się popsute zabawki, a z wielu dociera do mnie odór zwiertzałego piwa.

Vivienne jest biedna, ale to nie tłumaczy, dlaczego ryzykuje życie, żeby mnie okraść.

Znajduję jej przyczepę na końcu rzędu. Bez wahania szarpię drzwi, wyłamując zamek. W przeciwieństwie do powielanego w popkulturze mitu nie potrzebujemy oficjalnego zaproszenia, żeby wejść do domu jakiegoś człowieka. W środku na pierwszy rzut oka nie widzę niczego nadzwyczajnego. Wnętrze jest nawet stosunkowo przytulne. Na pewno nie tak przygnębiające jak otoczenie.

– Co ty ukrywasz, Vivienne? – mruczę do siebie.

Na ścianach w jej pokoju wiszą plakaty zespołów muzycznych, a w kącie stoi stara gitara akustyczna. Wśród plakatów znajduje się również zdjęcie jej samej na scenie, gdy śpiewa ze swoim zespołem. Karl stoi obok i gra na gitarze, a Cheryl siedzi za perkusją. Na fotografii jest jeszcze nieznan mi basista. Za nimi znajduje się wyglądający na tani szylid z nazwą „Nocturnal”.

Obok starej wieży leży stos płyt CD. Przeglądam je pobieżnie i znajduję amatorski krążek jej zespołu. Nie po takie informacje tu przyszedłem, ale nie mogę się oprzeć. Umieszczam płytę w wieży i słucham śpiewu Vivienne.

Głos płynący z głośników zapiera mi dech w piersi. Krew tej dziewczyny rozpała we mnie niszczycielski głód, ale jej głos mnie uspokaja. Ostatecznie przesłuchuję cały krążek, a gdy kończy się ostatnia piosenka, sam już nie wiem, co czuję.

Jak mógłbym zniszczyć coś tak pięknego?

Weź się w garść, Lucca. Może i śpiewa jak anioł, ale jest kłamczuchą i złodziejką.

Ten wewnętrzny dialog w niczym mi nie pomaga. Nadal jestem rozdarty, lecz wznawiam przeszukiwanie jej pokoju, otwieram każdą szafkę i szufladę. Nie odkrywam nic ważnego, więc zaglądam pod meble, za obrazy i w różne miejsca, które mogłyby skrywać coś ważnego. Po splądrowaniu całej przyczepy nie mam nic oprócz płyty, którą schowałem do kieszeni marynarki. Chyba teraz sam jestem złodziejem.

Patrzę na bałagan, jaki zrobiłem, wkurzony, że tylko zmarnowałem tyle czasu. Wtem mój wzrok pada na zakurzoną ramkę wystającą zza przebrzydłej figurki kota. Zdjęcie wewnątrz niej jest pożółkłe, ale od razu rozpoznaję na nim Vivienne. Wygląda na nim identycznie jak teraz, chociaż jest stare. Obok niej widzę starszą kobietę o wyglądzie nieumytej ćpunka i jakiegoś chłopaka po dwudziestce. Jest podobny do Vivienne. Ten sam kolor włosów i równie wysokie kości policzkowe. Mogę z dużym prawdopodobieństwem założyć, że są rodzeństwem.

Przesuwam palec po uśmiechniętej twarzy Vivienne, chociaż nie mam pojęcia, co mnie do tego podkusiło. Tym samym usuwam kurz, zostawiając czywisty ślad. Przecieram więc całą ramkę i wtedy zauważam dziwną skórzaną bransoletkę na nadgarstku dziewczyny. Jej brat ma taką samą. Mrużę oczy i przysuwam zdjęcie pod nos. Zwisają z niej drobne amulety, na których chyba widnieją starożytne runy, chociaż nie jestem do końca pewny.

Nie wiem, czy to cokolwiek oznacza, ale wyciągam fotografię z ramki i chowam ją do kieszeni. Założę się, że Aurora rozpozna znaki.

Nagle zaczyna mi się spieszyć z powrotem do instytutu, więc wypadam z przyczepy. Zupełnie niespodziewanie staję oko w oko z warczącym na mnie szarym wilkiem. Promień srebrnego światła księżycy rozświetla jego oczy i ukazuje ich karmazynowy blask.

Unoszę kąciki ust.

– Cześć, Cheryl. Dawno się nie widzieliśmy.

Wilcza forma zaczyna drzeć i migotać i po chwili stoi przede mną całkiem ubrana siostra Karla.

Obrzucam jej sylwetkę spojrzeniem.

– Niezła sztuczka.

– Miałam dość waszych lubieżnych spojrzeń za każdym razem, gdy się zmieniałam, więc znalazłam na to sposób. Co tu robisz, Lucca?

– Zbieram informacje.

Cheryl patrzy na otwartą przyczepę.

– Czego chcesz od Vivienne?

– Och, daj spokój. Nie ze mną te gierki. Przecież znamy się od dawna, Cher.

Mruży powieki.

– Owszem, i każdego dnia niezmiennie żałuję, że poznałam ciebie i twoich kumpli. – Ilość jadu w jej głosie wystarczyłaby do zabicia słonia.

Kto by pomyślał, że wilki mogą chować urazę tak długo jak wampiry? Chociaż ona nie jest wyłącznie zmiennokształtnym wilkiem.

– No to przejdę do sedna. Co Vivienne Gale robi w Instytucie Bloodstone, udając wampirzycę?

Brwi Cheryl unoszą się wysoko na czoło.

– Co? Vivi jest w instytucie?

Zwracam uwagę na jej oddech i tętno. Prawie się nie zmieniają, czyli nie kłamie.

– Owszem. A dobę wcześniej pojawiła się w Havocu i otruła mnie wampomorem.

Opada jej szczęka.

– Niemożliwe. Wampiry ją przerażają na całego. Wystarczy, że jakiś się do niej zbliży, a ona dostaje ataku paniki.

– Może nie znasz jej aż tak dobrze.

Krzyżuje ręce na piersi i patrzy na mnie z jeszcze większą wściekłością.

– Larsson ma jej brata.

Nie spodziewałem się takiej rewelacji, a już zwłaszcza z ust Cheryl. Jest na mnie cięta, odkąd kilkaset lat temu odmówiłem jej przysługi.

- Boss smoków?
- A znasz w Salem innego smoka o tym imieniu?
- Dlaczego Larsson miałby wziąć jej brata na zakładnika?
- Bo Rikkon to zasraniec, który zawsze pakuje się w kłopoty i ma nadzieję, że Vivi go z nich wyciągnie.

Znowu wpadam w szal, ale tym razem mogę przekierować swoją agresję na kogoś bardziej na nią zasługującego, więc zamierzam to zrobić. Nic w porozumieniu nie zakazuje mi walki ze smokiem.

– Dokąd idziesz? – pyta Cheryl.

– A jak myślisz? – odpowiadam i rzucam się biegiem tak szybkim, że nie zdoła dotrzymać mi kroku.

Ember Emporium, siedziba Larssona, znajduje się po przeciwnej stronie miasta – jak najdalej od instytutu. Istoty nadnaturalne nauczyły się koegzystować bardzo dawno temu, ale staramy się trzymać w obrębie własnych terytoriów. Wszędzie istnieją niewidoczne granice, nawet poza Salem, gdzie ludzie nie mają pojęcia o naszym istnieniu.

Po przekroczeniu tej granicy powinienem się trzymać w cieniu, ale jestem zbyt wkurzony, żeby się tym przejmować. Nie wiem, co jest źródłem mojej złości: odkrycie, że Larsson kazał Vivienne mnie okraść, czy to, że ją w tym celu szantażuje. I dlaczego zależy mu na naszyjniku mojej matki?

Przed barem Larssona stoi kilku motocyklistów. Wszyscy są smokami i wyglądają na najpodlejsze istoty, jakie kiedykolwiek widziałem. Od zawsze wolą żyć w slumsach. Barbarzyńcy na zawsze pozostaną dzikusami.

Przechodzę przez ulicę zdeterminowany, żeby się spotkać z Larssonem, nawet jeżeli będę musiał pociąć jego żołnierzy na drobne kawałeczki jaszczurzego mięsa. Ale drogę przecina mi jakiś cień, który materializuje się w ostatnią istotę, jaką spodziewałbym się tu zobaczyć. Mojego wuja.

– Lucca, dokąd to?

– Zamienić słówko z Larssonem. A co, to też jest zakazane?

– Cheryl do mnie zadzwoniła.

– O, nie wiedziałem, że się teraz kumplujecie.

– Wracaj do instytutu, synu. Nic na konfrontacji ze smokiem nie skorzystasz.

Rozszerzam nozdrza, gdy głęboko w kościach czuję przymus posłuchu. Zwalczam go każdą komórką ciała, ale kuźwa, już czuję, jak moje twarde postanowienie się ulatnia. Cholera jasna.

Poddaj się, Lucca. Twój opór jest daremny.

Głos, który słyszę w głowie, nie należy do mnie, tylko do wuja. Ma rację. Na całym świecie istnieje wyłącznie jedna wampirzyca, która z nieznanym mi przyczyn potrafi się oprzeć legendarnym mocom mojego wuja: Tatiana.

– I jeszcze jedno, Lucca. Nie walcz z głodem. Poddaj się mu.

Co to ma, do diabła, znaczyć?



25. Vivienne

Błyskawicznie uciekłam z mieszkania Aurory. Nie chciałam dać Saxonowi okazji do wypytywania, co robię u czarownicy. Ale w drodze do głównej części instytutu, gdzie mam nadzieję złapać Cassie i Damona, sama zaczynam się zastanawiać, po co przyszedł do niej ten zarozumiały wampir.

Aurora nie ucieszyła się z jego niezapowiedzianej wizyty, tego jestem pewna. Może wypytam ją później. W końcu ja opowiedziałam jej o sobie dość dużo bez nacisków z jej strony.

Do diabła, dlaczego w ogóle wspomniałam jej o swojej odporności na zaklęcie mające chronić tajemnicę nadnaturalnych? Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam, a nagle postanowiłam wypłacić wszystko akurat tej osobie, która może mieć z tym problem. Za zaklęcie pewnie jest odpowiedzialna jej matka.

Cholera, Vivi. Czasami naprawdę zachowujesz się tak, jak to sugeruje kolor twoich włosów.

Gdy tak idę sobie zatopiona we własnych myślach, znikąd pojawia się twarda dłoń i zatyka mi usta, a drugie ramię więzi mnie w stalowym uścisku. W pierwszej chwili uznaję, że to Boone znowu mnie znalazł, ale sekundę później dociera do mnie wyraźnie zapach damskich perfum i już wiem, że to nie on.

– Wreszcie jesteś sama, suko.

O kurna. Therese.

Nie jest sama. Towarzyszą jej dwie inne królewskie, które pilnują, żeby nikt nie zauważył, jak się miotam. Próbuję krzyknąć mimo kneblującej mnie dłoni, ale jedyne, co słyszeć, to przytłumione pomruki. Kolejny problem w tym, że raczej nikogo innego tu nie ma.

Moje serce bije niebezpiecznie szybko i coraz trudniej mi oddychać. Wampirzyca wlecze mnie korytarzem do wielkich metalowych drzwi. Jedna z jej przyjaciółek otwiera je kluczem uniwersalnym. Wtedy Therese popycha mnie przez próg i po kilku chwiejnych krokach padam na ziemię. Znajduję się na zewnątrz budynku, a trawa łagodzi mój upadek.

Jak najszybciej wstaję niepewna, kiedy rozpocznie się bezlitosny atak. Ale wampirzyca tylko obserwuje mnie przez wyjście, a w jej oczach dostrzegam radość.

– Czego ode mnie chcesz? – pytam, ledwo łapiąc oddech.

– Niczego. Chcę tylko, żebyś zniknęła. Na wieki wieków. – Zerka na niebo. – Co się wydarzy za kilka minut. Za moment wzejdzie słońce. Paaa. – Macha mi palcami, a potem zatrzaskuje głośno drzwi.

Gapię się w nie przez kilka sekund, nie rozumiejąc, co zaszło. W końcu to do mnie dociera. One myślą, że jesteś wampirzycą, Vivi. A to oznacza śmierć w promieniach słońca.

Zbiera mi się na śmiech, lecz w ostatniej chwili się powstrzymuję, bo nie wiem, czy Therese i jej sługuski nie obserwują mnie ze środka. Słońce mnie nie zabije, ale jeżeli nie wrócę do budynku przed jego wschodem, wyda się, że nie jestem wampirzycą. Cholera jasna.

Rozglądam się, ale nie mam pojęcia, po której stronie budynku się znajduję. Za mną rozciąga się las, nie jest jednak wystarczająco gęsty, żeby zapewnić schronienie przed promieniami. Jedyne rozwiązanie mojego problemu to znalezienie innego wejścia. Wybieram kierunek na chybił trafił i okrążam budynek. Po tej stronie widzę tylko gładki mur, a okna są za wysoko, żebym mogła ich dosięgnąć.

– Kurna! – Zerkam na niebo, które robi się już różowe. Zostało mi niewiele czasu.

Nie mam wyboru i po prostu biegnę przed siebie, aż słyszę, że w lesie ktoś mnie woła. Nie rozpoznaję głosu, ale jestem zdesperowana. Może się ukryję w gęstych liściach i wcisnę Therese kit, że dały mi wystarczającą ochronę.

Kiedy przecinam las, znowu słyszę swoje imię. Jak skończona idiotka kieruję się w stronę głosu, a ten prowadzi mnie na mały cmentarz, co jest koszmarnie upiorne. Nieliczne nagrobki są przekrzywione albo popękane, a większość porastają pnącza. Najwyraźniej nie wynajęto nikogo, kto dbałby o to miejsce. W plecy uderza mnie powiew chłodnego wiatru, który zawodzi w mijanych starych drzewach.

Dostaję gęziej skórki. Obejmuję się ramionami, żeby nie dygotać.

Jest tu tylko jeden grobowiec i właśnie do niego niosą mnie stopy. Mogę się w nim schować. Na drzwiach z kutego żelaza nie ma kłódki. Głośno skrzypią, gdy je otwieram.

Serce dudni mi tak głośno, że dźwięk odbija się echem w mrocznym pomieszczeniu. Mocno pachnie tu pleśnią i rozkładem. Mam wrażenie, jakbym się znalazła w początkowej scenie horroru. Powinnam stąd zwiewać, ale jakaś dziwna siła mi to uniemożliwia. Z zaskoczeniem odkrywam, że pośrodku niewielkiego grobowca znajdują się schody prowadzące pod ziemię. Niesamowity głos znowu woła moje imię, a ja ruszam za nim jak w transie, chociaż instynkt mi podpowiada, żeby uciekać.

Zanurzam się w całkowitą ciemność i zaczynam podejrzewać, że zaraz zabije mnie atak paniki. Boli mnie cała klatka piersiowa. Z każdym krokiem coraz bardziej kręci mi się w głowie. Chcę się stąd wydostać, chcę krzyczeć, ale straciłam całą wolną wolę. Co się ze mną dzieje?

W końcu dostrzegam przed sobą jaśniejszy punkcik. Przyspieszam kroku, biegnę w jego stronę. Może to tunel prowadzący do katakumb. Jeśli tak, uda mi się znaleźć wyjście spod ziemi. Ale kiedy skręcam za róg, nadal popychana przez tę samą tajemniczą siłę, znowu stoję przed zamkniętą komnatą.

– Vivienne – woła ktoś z przedziwnego pomieszczenia.

Wciągam gwałtownie powietrze, gdy z jednego z nagrobków wyłania się upiór i sunie szybko ku mnie. Nie mam czasu na reakcję, bo już wysuwa rękę zza krat i łapie mnie za gardło.



Lucca

Moc wuja przestaje na mnie działać, gdy tylko przekraczam bramy instytutu. Powrót trochę mi zajął i od wschodu słońca dzieli mnie zaledwie kilka minut. Może moje opóźnienie było spowodowane niechęcią do okazania posłuszeństwa. Nie wiem. Za każdym razem, gdy wuj mnie do czegoś zmusza, z mózgu robi mi się wata. Ogólnie rzadko sięga po tę tanią sztuczkę, ale jednak na tyle często, żebym przez kilka kolejnych lat go nienawidził. Tym razem nie mam czasu się na niego zezłościć, bo na horyzoncie pojawia się inny powód do irytacji. W moją stronę zmierza Therese w towarzystwie dwóch przyjaciółek.

Na jej twarzy dostrzegam uśmiezek samozadowolenia, co oznacza, że wampirzyca coś knuje. Może wcześniej niewystarczająco jasno się wyraziłem.

– Lucca, co tak późno? Ledwie zdążyłeś – zagaja.

– Co ja ci mówiłem? Trzymaj się ode mnie z daleka. Twoja obecność przyprawia mnie o mdłości. Jej rozbawiony wyraz twarzy zmienia się w czystą nienawiść. Jakże zmienne bywają uczucia.

– Chciałam cię tylko uprzedzić, że kilka minut temu widziałam, jak twoja droga zwyklaczka łąziła po dworze. Raczej nie wróci na czas.

– O czym ty znowu gadasz?

– Zamknęłyśmy Vivienne na zewnątrz. – Jedna z przyjaciółek parska śmiechem, na co Therese piorunuje ją wzrokiem.

Cholera. One myślą, że Vivienne jest wampirzycą. Gdyby rzeczywiście tak było, oderwałbym Therese głowę. Ale to w sumie nieważne. Kiedy dziewczyna wróci w jednym kawałku, wszyscy się domyślą, kim jest tak naprawdę.

Nie mogę do tego dopuścić. Jeszcze nie skończyłem sobie z nią pogrywać.

Mam tylko jedno wyjście: znaleźć ją przed wschodem słońca. Puszczam się biegiem szybszym niż kiedykolwiek wcześniej w życiu i wypadam na zewnątrz. Chowaniec przycinający krzaki ostrzega mnie, że do wschodu słońca zostało tylko kilka minut, jakbym sam dobrze tego nie wiedział. Słońce to coś, co potrafimy wyczuć, nawet kiedy znajdujemy się w budynku bez okien. To taki głęboko zakorzeniony instynkt przetrwania.

Z łatwością wyczuwam zapach Vivienne. Skierowała się ku opuszczonemu cmentarzowi w lesie. Przypominam sobie, że jest tam grobowiec. Dobrze. Musiała się w nim schować. Ale kiedy wchodzę do niewielkiego wnętrza, nie zastaję jej w nim. Jej zapach prowadzi w dół schodów pod ziemię. Biegnę najszybciej, jak tylko potrafię, i nawet nie wiem dlaczego. Nie ma jej na zewnątrz i nigdy nie groziło jej tam niebezpieczeństwo. Właśnie zaryzykowałam życie zupełnie po nic. Tu nie może chodzić wyłącznie

o zabawę drapieżnika z ofiarą.

Jej zapach robi się coraz silniejszy. Zbliżam się do miejsca, w którym z pewnością ją znajdę, a wtedy trop nagle znika. Zatrzymuję się, robię głębokie wdechy i nic nie wyłapuję. To niemożliwe. Zapach tak po prostu nie wyparowuje. Krążę w kółko i zaczynam odchodzić od zmysłów, gdy niespodziewanie słyszę jej krzyk.

– Vivienne! – wołam i próbuję ustalić, z której strony ją usłyszałem.

Nie krzyczy ponownie, a ja nie słyszę żadnych innych dźwięków. Co tu się dzieje, do diabła?

– Vivienne! – Zaczynam obmacywać mury.

Może znalazła tę tajemną komnatę, o której rozmawiali Solomon i Isadora.

Docieram do końca korytarza i już mam się obrócić, gdy dziewczyna pojawia się dosłownie znikąd, jakby wyskoczyła ze ściany, i na mnie wpada.

Jest totalnie wytrącona z równowagi, cała się trzęsie i płacze. Mimo głodu, który znowu zaczyna mnie dręczyć, zamykam ją w niedźwiedzim uścisku, niemal łamiąc jej żebra o swoją pierś.

– Co się stało? Gdzie byłaś?

– To było straszne – bełkocze.

Odsuwam ją, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Ale mój wzrok od razu koncentruje się na czerwonym śladzie na jej szyi. Wygląda tak, jakby ktoś próbował ją udusić.

– Kto ci to zrobił? – pytam przez zaciśnięte zęby.

Potrząsa głową i tylko patrzy na mnie wielkimi oczami. Widzę w nich wyłącznie przerażenie.

– Nie bój się. Ten, kto ci to zrobił, nie jest silniejszy ode mnie.

– To b... był duch.

– Duch?

Przytakuje.

– Znowu usłyszałam, jak mnie wzywa, gdy byłam w lesie. Chciał, żebym tu zeszała.

– Znowu? Kiedy słyszałaś go wcześniej?

– Możemy po prostu stąd wyjść? Proszę.

Kiedy patrzę na nią w takim stanie, przestraszona i bezbronna, coś się ze mną dzieje. Zapominam o głodzie i chęci zemsty. Chcę tylko ją chronić i dopaść to coś, co ją skrzywdziło.

Biorę Vivienne na rękę, rzucam się biegiem na złamanie karku i nie zatrzymuję się już przed dotarciem do jej apartamentu. Manu jest w swoim pokoju. Gdy stawiam dziewczynę na podłodze w jej sypialni, widzę, że nie wyszła jeszcze z szoku. Już nie płacze, ale nadal się trzęsie, gdy siada na krawędzi łóżka.

Nie musiałem nikogo pocieszać od bardzo dawna, więc nie wiem, co zrobić. Ale chcę sprawić, by zapomniała, co się wydarzyło.

Padam przed nią na kolana i chwytam ją za rękę.

– Jak mogę ci pomóc?

– Chyba nie możesz. – Opuszcza spojrzenie na nasze połączone dłonie.

– Sprawdźmy.

Unosi wzrok i patrzy mi w oczy, a ja z miejsca wpadam jak śliwka w kompot. Coraz mocniej mnie pociąga, a ja nic nie mogę na to poradzić.

– Zostałbyś ze mną na chwilę?

– Oczywiście.

Kładzie się i przykrywa kołdrą, a potem pokazuje, żebym się położył obok. Przyciągam ją do siebie – na łyżeczkę, jeśli mamy być konkretni – i staram się nie oddychać. Wzywa mnie teraz nie tylko jej krew, ale także cała istota. Istne szaleństwo.

Vivienne od razu zasypia. Poznają to po spowolnieniu rytmu serca i wyrównaniu oddechu. Ledwo odważam się zmienić pozycję, bo się obawiam, że wszelki gwałtowny ruch może przełamać moją samokontrolę.

Słowa wuja nie dają mi spokoju. Powiedział, żebym się poddał głodowi, ale co będzie, jeżeli to zrobię i się zatracę?



26. Vivienne

Mrugam i w końcu otwieram oczy, ale umysł nadal mam cholernie zamglony. Wczorajsze wydarzenia przypominają mi się dopiero na widok silnego ramienia owiniętego wokół mojej talii. Nagle przed oczami staje mi zasadzka Therese, duch w katakumbach i – co najważniejsze – Lucca.

Boże drogi. On spędził ze mną cały dzień. Czy to znaczy, że robiliśmy coś więcej, niż tylko spaliśmy?

– Nie śpisz już – mówi burkliwie.

Jeszcze bardziej się spinam, jeżeli to w ogóle możliwe.

– Skąd wiedziałeś?

– Puls ci przyspieszył i mięśnie się napięły. – Zabiera rękę i siada.

Odwracam się do niego powoli.

– Trudno mi uwierzyć, że zostałeś tu cały dzień.

Wpatruje się ponuro w przeciwną ścianę.

– Poprosiłaś mnie o to.

Nie wydaje się tym zachwycony, przez co robię się jeszcze bardziej niespokojna. Też siadam i naciągam kołdrę tak, żeby zakryć klatkę piersiową. Ciągłe jestem ubrana, ale z jakiegoś powodu potrzebuję tej bariery między nami, nawet jeśli jest cienka.

– Dziękuję. – Zauważam, że mam zachrypnięty głos. Dotykam gardła, okazuje się obolałe.

– Duch ci to zrobił? – pyta.

– Tak. Wiem, że to brzmi nedorzecznie.

– Nie, wcale nie. – Przenosi na mnie spojrzenie. – Obiecuj mi, proszę, że już nigdy nie wrócisz do katakumb.

Intensywność jego spojrzenia na chwilę odbiera mi mowę.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

Marszczy brwi.

– Vivienne, wydawało mi się, że jesteśmy... przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? A, chodzi ci o takich, którzy chodzą ze sobą do łóżka. – Czuję, jak twarz mi płonie. Nie odwracam wzroku tylko dlatego, że nie chcę wyglądać jeszcze bardziej żałośnie.

Twarz Lukki pozostaje całkowicie pozbawiona wyrazu, wlepione we mnie ciemne oczy również niczego nie zdradzają. Nagle wampir zeskakuje z łóżka, przeczesuje włosy palcami i oznajmia:

– Muszę już iść.

Znika za drzwiami szybciej, niż jestem w stanie to zarejestrować.

Co takiego zrobiłam? Powiedziałam coś niewłaściwego? Przyciągam kolana do brody, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego nagle czuję takie przygnębienie. Przecież chyba niemożliwe, żebym się zakochała w Lucce? A może jednak... Ale przecież on jest brutalnym i zimnym królewskim. Znienawidzi mnie, kiedy odkryje prawdę.

Chowam twarz w dłoniach. Cholera. Spaliśmy w jednym pokoju, a mnie totalnie ścięło i przegapiłam najlepszą szansę na zwinięcie mu naszyjnika. Druga taka okazja pewnie się nie powtórzy. Nie wierzę.

Sięgam po komórkę i sprawdzam godzinę. Kurna. Mam niecałe dwadzieścia minut, żeby się przygotować do zajęć. Pędzę do łazienki jak obłąkana i po drodze zdieram z siebie ubrania. Biorę błyskawiczny prysznic. Żałuję, że nie mam czasu na rozluźnienie się pod gorącym strumieniem. Ubranie się też idzie szybko. Makijaż dzisiaj jest nieodzowny, zwłaszcza na szyję muszę nałożyć grubą warstwę korektora. Nie chcę się tłumaczyć z tych paskudnych śladów.

Jestem czysta i gotowa (mniej więcej) na kolejny kiepski wieczór w instytucie, ale kiedy wychodzę z pokoju, w kuchni zastaję Manu, która wyżywa się na workach z krwią. Ich zawartość jest rozpryskana dosłownie wszędzie. Odrażające.

– Możesz jeść tak, żeby jednocześnie nie zamieniać kuchni w scenę rodem z horroru? – rzucam,

zanim udaje mi się powstrzymać.

Przenosi na mnie oszalałe spojrzenie. W złotych oczach widzę czerwone plamki. Zapewne zaraz rzuci się na mnie, ale ku własnemu zaskoczeniu zupełnie się jej nie boję. Jestem na nią wściekła. Omamiła Karla, przekonała go, żeby się zobowiązał służyć jej przez całe życie, a potem się na niego wypięła.

– Co powiedziałaś?

– Dobrze słyszałaś.

Odrzuca kolejny worek i z groźną miną robi kilka kroków w moją stronę. Ale ja nie ustępuję.

– Wydaje ci się, że skoro mój brat się nagle tobą zainteresował, to daje ci prawo mi się stawiać?

– To nie ma nic wspólnego z Luccą.

– Nie? W takim razie z kim? Karlem? – drwi. – O co ci tak naprawdę chodzi, co, Vivienne?

Zamierzasz podbić każdego samca w instytucie?

– Niewiarygodne. Jesteś zazdrosna o Karla i o mnie?

Wykrzywia twarz.

– Pogięło cię.

– Nakłoniłaś go podstępem, żeby został twoim chowańcem. I po co? To była tylko jakaś gierka dla kaprysu?

– Do niczego go nie nakłaniałam – cedzi przez zęby.

– Gówno prawda. Karl to najtroskliwsza i najżyczliwsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Nigdy z własnej woli nie związałby się z taką zimną suką.

Ja pitolę. Chyba zupełnie mi odbiło. Przecież wystarczy, żeby Manu tylko raz przywaliła mi swoimi szponami, a już po mnie.

Ale ona się na mnie nie rzuca. Stoi zamurowana z nową emocją malującą się na marmurowej twarzy: czystą udręką.

W końcu obraca się na pięcie i znika w swojej sypialni bez słowa. Stoję nieruchomo przez kilka kolejnych sekund, trawiąc to, co zaszło. Ale wreszcie wraca mi zdrowy rozsądek i wychodzę. To mógł być zwykły fuks, więc nie chcę tu być, gdy Manu postanowi jednak być sobą i mnie zabić.

Idąc do głównej części budynku, nadal w myślach odtwarzam całe zajście. W drodze na zajęcia z etykiety dla wartowników znajduje mnie Damon.

– Hej, Vivi. Widziałaś Cassie?

– Wczoraj, dzisiaj nie. Czemu pytasz?

– Miała się ze mną spotkać pod koniec dnia, ale nie przyszła, a teraz nie odbiera telefonu i nie odpisuje mi na wiadomości.

– Pytałaś jej współlokatorkę?

– No, powiedziała, że Cassie nie przyszła na dzień do pokoju. Myślisz, że coś jej się stało?

Z wielkim trudem udaje mi się nie dać po sobie poznać, że się martwię. Nie chcę zestresować Damona, mimo że sama zaczynam svirować.

– Może musiała wrócić do domu. Nie martw się. Znajdziemy ją.

– Okej.

Damon odchodzi ciężkim krokiem ze zwieszonymi ramionami. Zerkam na strumień studentów zmierzających na zajęcia i dochodzę do wniosku, że stuprocentowa obecność na wszystkich zajęciach gwarantujących pracę, której nie mam zamiaru podjąć, nie jest dla mnie priorytetem. Za to znalezienie Cassie – już tak.

Wybieram jej numer na komórce i jednocześnie zaczynam szukać kogoś, kto mógłby mi pomóc. Nada się albo Karl, albo Aurora. Na myśl przychodzi mi też Lucca, ale od razu odrzucam ten pomysł. Nie mam pojęcia, kim dla siebie jesteśmy. Nie postrzegam go już jako drapieżnika, ale czy dla niego wciąż jestem ofiarą?

Nie mam najmniejszej nadziei, że Cassie odbierze telefon, więc gdy w głośniku słyszę jej zachrypnięty głos, aż mnie zamurowuje.

– Cassie. Boże drogi. Wszystko w porządku?

– Vivi, możesz po mnie przyjść? Proszę – szepcze, ale w jej tonie wyczuwam strach.

- Jasne. Gdzie jesteś?
- We wschodnim skrzydle.
- Zaraz tam będę.

Odwracam się i biegnę w przeciwną stronę. Jeżeli się nie mylę, tamta część budynku jest zamknięta na czas remontu.

- Wszystko w porządku? – dopytuję.
- Nie. Możesz się pospieszyć? – Szlocha, a potem połączenie zostaje przerwane.

Kuźwa. Telefon wypadł jej z ręki czy stało się coś gorszego?

Dzwonię do niej jeszcze raz, ale od razu włącza się poczta głosowa. Cholera.

Kiedy docieram już do wschodniego skrzydła, zaczynam ją nawoływać. Korytarze tu są mroczniejsze i znacznie starsze. Powietrze jest zatęchłe i wilgotne, a gdzieś dalej słyszę regularne kapanie wody do kałuży.

- Cassie – powtarzam i w końcu słyszę zduszone łkanie.

Skręcam za róg i widzę ją na końcu korytarza. Obejmuje kolana ramionami i nisko zwiesza głowę. Potargane włosy zasłaniają jej twarz. Przebiegam ostatni odcinek i opadam obok niej na kolana. Od razu zauważam podartą sukienkę i fioletowe sińce na ramionach. Na barkach widzę też zaognione ślady po ugryzieniach. Sprawcą był wampir.

Cassie unosi głowę i odsłania ślady po pazurach na policzkach oraz rozmazany makijaż.

- Boże drogi, Cassie, co ci się stało?

Pada mi w ramiona, ściska mnie mocno i ukrywa twarz na mojej piersi. Tydzień temu znalezienie się tak blisko dowolnej wampirzycy śmiertelnie by mnie przeraziło. Teraz bez wahania odwzajemniam uścisk.

- Przysięgam, że się o to nie prosiłam, Vivi. Musisz mi uwierzyć.

Przesuwam dłonią po jej włosach, próbując ją ukoić.

- Oczywiście, że ci wierzę, kochanie. Kto ci to zrobił?

Spina się i przestaje płakać. Chyba też przestaje oddychać.

- Możesz mi zaufać, Cassie.

- Boone. On mi to zrobił.

Krew ścina mi się w żyłach.

Cassie znowu zaczyna wyplakiwać sobie oczy. Jej ciałem wstrząsają gwałtowne spazmy, a ja mogę jedynie masować jej plecy i czekać, aż się uspokoi. Myśli gnają mi jak szalone i z każdym jej szlochom moja złość się nasila.

Nieważne, kim on jest. Nie może ciągle atakować innych i nie ponosić za to konsekwencji. Lucca przez jakiś idiotyczny rozejm nie może go zaatakować. Ale ja już tak.



27. Lucca

Ronan naciera na mnie z kataną wzniesioną nad głowę i bojowym okrzykiem. Robię unik i wykonuję kopnięcie okrężne w plecy. Pozbawia go to równowagi, aż musi się podeprzeć bronią, żeby nie upaść na twarz. Rzucam się biegiem po miecz, który upuściłem wcześniej, i odwracam się akurat w idealnej chwili, żeby zablokować cios.

Oczy Ronana płoną czerwonym blaskiem. Wkurza się, że zdołałem przełamać jego postawę obronną. Jestem pewny, że moje oczy wyglądają tak samo. Puls dudni mi w uszach, a wściekłość płynąca w żyłach jest zarazem znajoma i całkiem obca. Przytłaczające emocje nie są dla mnie czymś nowym, ale nie mogę zrozumieć kryjącej się za nimi przyczyny.

Decyduję się na chamski ruch i walę głową w nos Ronana; rozlega się trzask.

– Kurwa! – Odsuwa się i zasłania twarz. – Niech cię diabli wezmą, Lucca. Złamałeś mi nos!

Ciężko oddycham i w milczeniu patrzę na przyjaciela przez karmazynową mgłę.

Skoro nie przepraszam, ciągnie:

– Co w ciebie wstąpiło?

Odrzucam katanę i kieruję się ku ławce. Łatwiej byłoby wymienić, co we mnie ostatnio nie wstąpiło. Obudziłem się po niemal stu latach w świecie, którego już nie poznaję. Nigdy w życiu nie czułem się słabszy ani bardziej bezsilny. Na dodatek pożądam kogoś, kogo zdecydowanie nie powinienem pragnąć.

Opadam na ławkę, zwieszam głowę i rzucam:

– Wszystko.

– Chodzi o spotkanie z Solomonem?

Prycham.

– Gdyby tylko. Jestem kurewsko wściekły. Wiem, że przez kilka miesięcy po przebudzeniu można być zdezorientowanym, ale ja mam wrażenie, że nie kontroluję już absolutnie niczego we własnym życiu.

– To nieprawda, Luc. Twój wuj musiał się ugiąć przed Tatianą, ale co z tego? My wcale nie musimy tu tkwić. Żadne prawo nie nakazuje królewskim przebywania po hibernacji w tym instytucie.

– Nie mogę stąd wyjechać. – Odwzajemniam spojrzenie Ronana.

– Dlaczego nie?

Wzdycham ciężko i mówię:

– Nie wiem.

– Gówno prawda. Chodzi o tę nową zwyklaczkę, prawda? Zachowujesz się przy niej tak, jakbyście się połączyli w parę.

Kurwa, naprawdę? Nie słyszałem o tym, żeby u sparowanych wampirów rozwijała się wobec towarzysza żądza krwi.

– Połączyli w parę – pryham. – Co za bzdura.

– To wytłumacz mi, dlaczego nie potrafisz trzymać się od niej z daleka.

Ronan nie zamierza odpuścić tematu, a mnie, szczerze mówiąc, męczy już utrzymywanie tego w tajemnicy.

– Vivienne jest człowiekiem.

– Co?

– To ta złodziejka, która próbowała ukraść mi naszyjnik w Havocu.

Przyjaciel gapi się na mnie przez kilka sekund, nie mrugając, a potem wyrzuca z siebie wiązanek.

– Od jak dawna o tym wiesz? – Przeszywa mnie twardym, zirytowanym spojrzeniem.

– Od jej pierwszego dnia tutaj.

– Kurwa. – Przeczesuje włosy palcami. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Bo chciałem sam się z nią policzyć. Może ty powstrzymałbyś się od wtrącania, ale Saxon czy Manu? – Kręcę głową. – Nie ma mowy.

– Jak udaje jej się ukryć prawdziwą tożsamość?

– Dzięki potężnemu zaklęciu.

Ronan mruży powieki i niemal widzę, jak w jego głowie obracają się trybiki.

– Jeżeli używa zaklęcia, to Aurora musiała je przejrzeć. Jej matka również.

– Zapewne.

– I nie zastanawiałeś się, dlaczego nie zająknęły się o tym ani słowem?

Miałem na punkcie Vivienne taką obsesję, że do tej pory nie przyszło mi to do głowy. Kurna.

– Aż do teraz nie.

– Hmm. – Krzyżuje ręce na piersi. – Powiedziałeś, że chciałeś sam się z nią policzyć. I jak ci idzie? – Unosi brew.

Prawdę mówiąc, wstrzymywałem się z tym. Spokojnie mogłem postępować wobec niej dziesięć razy gorzej. Ostatni dzień spędziłem w jej łóżku, na litość boską, mimo że mnie to bolało, i to pod niejednym względem.

– Okropnie – przyznaję.

Pragnienie ujrzenia jej ponownie wraca z nawiązką. Przez cały ten czas wyrzekałem się swojego głodu, okłamywałem się, że muszę ją jeszcze bardziej podręczyć. A skończyło się na tym, że zamęczam nas obydwój.

Zeskakuję z ławki z nową energią.

Ronan unosi brew do nieba.

– Dokąd to?

– Idę to zakończyć.

Błyskawicznie blokuje mi drogę.

– Zaraz. Chyba nie zamierzasz zabić jej tutaj, co?

Powiedział „tutaj”, a ja odebrałem to jak cios w pierś. Gdyby była kimkolwiek innym, tak by się to skończyło. Nigdy nie byłem litościwym królewskim i nie wydaje mi się, żebym się zmienił. Mogę być wspaniałym sprzymierzeńcem albo straszliwym wrogiem. Ale nie mogę skrzywdzić Vivienne, mimo że kłamie i knuje.

Problem w tym, czy chcę wyłączyć jej krwi i ciała, czy czegoś więcej.

Spycham przyjaciela na bok.

– Nie zamierzam jej zabić, debilu.

Nie daję mu szansy, żeby mnie powstrzymywał, i wybiegam z sali. Korytarze są puste. Najwyraźniej ćwiczyłem dłużej, niż sądziłem, i wszystkie zajęcia już się skończyły. Zatrzymuję się przed apartamentem Vivienne w tej samej chwili, w której ma do niego wejść moja siostra z kolejną ludzką zabawką.

Wślizguję się między nią a drzwiami i opieram dłoń o framugę.

– Idź gdzieś indziej.

Unosi brwi.

– Słucham?

– Po prostu idź sobie gdzieś indziej – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Możesz później poprosić mnie o przysługę. Bylebyś nie wróciła tu przed zachodem słońca.

– Możemy iść do mnie – rzuca przekąska Manu. – To niedaleko.

Patrzy na niego, jakby powiedział coś totalnie idiotycznego.

– Słońce wездzie za niecałą godzinę, kretynie.

– Po prostu idźcie do mnie – proponuję.

– Dobra! – Manu piorunuje mnie wzrokiem i wbija palec w moją pierś. – Ale wisisz mi przysługę. I to dużą.

Obraca się na pięcie, aż powiewają za nią jej białe włosy. Jej człowiek drepcze za nią jak chory z miłości szczeniak. Zawsze jest z nimi tak samo. Żyją w nadziei, a umierają w rozpacz. Wampiry rzadko zakochują się w swoim jedzeniu.

No to dlaczego chcesz mieć cały apartament tylko dla siebie i Vivienne, Lucca?

Spycham nieznośną myśl w mroczne zakamarki umysłu i jak najciszej zamykam za sobą drzwi

do mieszkania. Nie chcę jeszcze obwieszczać swojego przybycia. Zakradam się do jej pokoju. Drzwi są uchylone, więc widzę, że Vivienne siedzi na łóżku otoczona starymi księgami i zwojami. Marszcząc brwi, zgłębia treść pergaminu, po czym zirytowana odrzuca go na bok.

Gardło zaczyna mnie lekko palić, gdy tak ją obserwuję i jednocześnie staram się ignorować równomierny rytm jej serca. Z żądzą krwi rywalizuje jednak całkiem inny impuls. Pragnę ją tulić, chronić i zupełnie nie wiem dlaczego. Rozumiem czyste pożądanie, w końcu jest nierozzerwalnie połączone z żerowaniem. Ale tutaj nie chodzi o seks.

Nie mogę już dłużej wytrzymać, więc otwieram drzwi na oścież i wchodzę do sypialni. Vivienne podnosi na mnie wzrok i gwałtownie wciąga powietrze.

– Co ty tu robisz? – Pospiesznie zamyka trzymaną księgę, niemal jakby chciała coś ukryć.

– Przyszedłem sprawdzić, jak sobie radzisz. – Łapię jeden ze zwojów leżących przy krawędzi łóżka i natychmiast słyszę kolejny gwałtowny wdech.

Kiedy zerkam na pergamin, rozumiem, dlaczego zrobiła się nerwowa. To drzewo genealogiczne rodu Tatianny. Czuję, jak odradza się we mnie stara złość i błyskawicznie zalewa całe ciało. Zgniatam zwój w rękach i staram się zapanować nad mrocznymi emocjami.

– Po co ci to wszystko?

– Chcę lepiej poznać Boone'a. – Patrzy mi prosto w oczy i nawet powieka jej nie drgnie. A jednak słyszę, że przyspiesza jej puls, i dostrzegam lekkie drżenie rąk.

– Dlaczego?

Rozszerza nozdrza i zaciska słodkie usta w cienką kreskę.

– Bo zamierzam go zabić.

Niewielu potrafi mnie zaskoczyć, ale jej właśnie się to udało. Po kilku sekundach szoku zaczynam przetrawiać jej słowa. Co ważniejsze, zaczynam rozważać, dlaczego Vivienne pragnie śmierci mojego wroga.

– Co ci zrobił? – warczę i przysuwam się do niej bliżej.

Krzywi się, jakby się mnie bała. Cholera. Już mi na tym nie zależy.

– Możesz mi powiedzieć.

– Zaatakował moją koleżankę.

Człowieka? Już mam to pytanie na końcu języka, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. To nie jest najlepsza pora, by wyznać, że znam jej prawdziwą tożsamość.

– Którą?

– Cassie. Jest zwykłą dziewczyną. Chyba... – Spuszcza wzrok na kolana i robi urywany wydech. – Chyba ją zgwałcił.

Kły wysuwają mi się w pełni, a paznokcie zmieniają w ostre szpony. To była tylko kwestia czasu, gdy Boone w końcu pokaże, jaki jest naprawdę. To potwór, który zasługuje na potworną śmierć, najlepiej przez rozszarpanie na kawałeczki. Mam nierówny oddech i niewiele mi brakuje, żeby rzucić się za nim w pogoń.

– Nie możesz nic zrobić. – Nagle Vivienne stoi przede mną.

Tak bardzo się zatraciłem w furii, że w ogóle nie zauważyłem, jak dziewczyna się porusza.

– Musi zapłacić – warczę. – Nie po raz pierwszy skrzywdził wampirzycę i będzie to robić dalej, dopóki ktoś go nie powstrzyma.

– Nie wydaje mi się, żeby Cassie chciała go oskarżyć, a ty nie możesz go zaatakować niesprowokowany. – Wyciąga dłoń i od jej dotyku prąd przeszywa mi całe ramię.

Kładę jej rękę na potylicy i łapię ją za włosy.

– Oszalałaś, jeśli myślisz, że pozwolę ci się zbliżyć do tego zbrojnika.

– Nie pozwolisz? Nie jestem twoją własnością.

Drugą ręką obejmuję ją w tali i przyciągam do siebie. Boone i jego kara schodzą na dalszy plan. W tej chwili jedyną ważną rzeczą jest powód, dla którego wykopałem Manu z jej własnego apartamentu. Jestem tu po to, żeby w końcu upomnieć się o swoje, żeby wreszcie dać wygrać pożądaniu.

– Nie, ale jesteś moja.

Miażdżę jej usta swoimi mocno, pożądliwie. Stawia opór, ale tylko dlatego, że jest zła. Nie trwa

to długo. Po chwili mi się poddaje i zapamiętała, z taką samą zaborczością naśladuje ruchy mojego języka. Nie jestem już taki pewny, kto tu się upomina o kogo. Należę do jej ciała, umysłu i duszy.

Między naszymi ciałami nie ma już wolnej przestrzeni, ale ja potrzebuję większego kontaktu, większego tarcia. Podnoszę ją i ruszam, a ona oplata moje biodra nogami, jakby czytała mi w myślach. Zatrzymuję się dopiero wtedy, gdy jej plecy trafiają na ścianę, i w końcu dociskam zwiedziony członek do jej najgorętszego miejsca.

Przyspieszony puls Vivienne mnie wzywa. Porzucam jej usta i całuję ją w szyję, umierając z pragnienia, by zrobić coś więcej, niż tylko lizać jej skórę. Jeżeli nie skosztuję jej krwi, chyba skonom. Muskam słodką żyłę kłami gotowy ulec instynktowi, ale wtedy gibkie ciało Vivienne tężeje, więc zamieram. Dziewczyna drży w moich ramionach, i to nie z powodu pożądania.

Głód jednak domaga się, żebym zignorował jej panikę, dla niego ważne jest tylko to, bym pił, aż w pełni go zaspokoje.

– Lucca, proszę – błaga, a jej prośba trafia mnie prosto w pierś.

Na chwilę odzyskuję samokontrolę i odsuwam się. Vivienne płacze. Kurwa.

– Zraniłem cię?

– Nie możesz... – Potrząsa głową. – Proszę.

Widzę ją niewyraźnie, a może to mój umysł spowił się mgłą. Znowu się odzywa, ale tym razem jej słowa zagłusza krew szumiąca w jej żyłach. Zaraz się zatracę. A jeżeli zacznę z niej pić, nie uda mi się przestać.

Ostatnim zrywem silnej woli puszczam Vivienne i rzucam się do lodówki z nadzieją, że znajdę tam wystarczający zapas krwi. Widzę kilka worków. Łapię wszystkie, chociaż nie jestem pewny, czy to pomoże mi zapanować nad żądzą krwi. Gwałtownie przebijam pierwszy i nawet nie zwracam uwagi na to, czy zawartość się rozlewa albo spływa mi po brodzie.

Vivienne wychodzi ze swojej sypialni drobnymi kroczkami niczym przerażone zwierzątko. Gdyby była bystra, uciekłaby jak najdalej ode mnie. Nie czuje, jak niewiele mi brakuje, by rozerwać jej gardło na strzępy?

– Musisz stąd iść. – Wrzucam pierwszy opróżniony worek do zlewu i sięgam po kolejny.

– Odczuwasz ból?

– Tak. – Nie odrywając od niej wzroku, biorę ogromny łyk krwi. Wolną ręką ściskam krawędź blatu tak mocno, że w każdej chwili może pęknąć.

– Chodzi o moją krew, prawda? Pragniesz jej.

Zamykam oczy z nadzieją, że łatwiej jej się oprę, gdy nie będę jej widzieć.

– Tak. A nie chcę cię skrzywdzić.

– A ja chcę ci pomóc.

Ponownie na nią patrzę, żeby sprawdzić, czy nie postradała zmysłów.

– Niby jak możesz mi pomóc? Chcę pić twoją krew, Vivienne. Ale jeżeli zacznę, nie będę potrafił przestać.

– Trzeba cię rozproszyć. – Opada przede mną na kolana i rozpina mi jeansy.

Zaprotestowałbym, gdybym był silniejszy. Ale kiedy jej palce owijają się wokół mojego fiuta, upadają wszystkie argumenty, jakich mógłbym użyć. Łapię kolejny worek i tym razem przebijam go ostrożnie, żeby jej nie oblać. Nie odrywamy od siebie wzroku, gdy ja pochłaniam kolejną porcję krwi, a Vivienne bierze mojego fiuta do ust.

Spazmy targają moim ciałem i nagle dyszę z całkiem innego powodu niż chęć wyssania Vivienne do sucha. Dla wampirów żerowanie i seks łączą się nierozdzielnie i dziewczyna jakimś cudem wpadła na to, że to mi pomoże. Nie myliła się. Nie mogę pić jej krwi, gdy ją pieprzę, ale to nie jest dużo gorszym rozwiązaniem.



28. Vivienne

Jestem najgłupszą dziewczyną pod słońcem. Przecież dobrze wiem, co się dzieje z Luccą. Znajduje się na krawędzi żądzy krwi, a ja zamiast zwiewać gdzie pieprz rośnie, jak to się powinno dziać w takich okolicznościach, oferuję mu pomoc. Może też opętała mnie jego żądza krwi, tyle że nie potrzebuję jej pić. Po prostu go pragnę.

Obwiniam o to ten rozpalający do białości pocałunek. Jego moc najwyraźniej zupełnie pozbawiła mnie zdrowego rozsądku. Lucca to drapieżnik gotowy mnie pożreć, a ja jestem ofiarą, która nie potrafi trzymać się od niego z daleka. Czuję się tak, jakby jego demony mnie wzywały i prowokowały, żebym je wyegzorcyzmowała.

Ale to, jak się mną wczoraj zajął, a potem jego deklaracja, że jestem jego, przemówiły wprost do głęboko zakorzonej we mnie potrzeby. Nigdy nie czułam się chroniona. W zasadzie całe swoje życie byłam zdana sama na siebie. Mój brat zawsze miał zbyt wiele własnych kłopotów, żeby być opiekunem w naszej dysfunkcyjnej rodzinie.

To brzmi jak skończone szaleństwo, ale klęczenie przed Luccą i bycie na jego łasce wydaje mi się właściwe. Jeżeli mam być ze sobą szczerą, marzyłam o tym, odkąd tu dotarłam. Jedyne, o czym potrafię teraz myśleć, to smakowanie go i jednoczesne doprowadzenie na sam szczyt. Po strachu, który obleciał mnie zaledwie chwilę temu, nie ma już ani śladu. Żałuję, że jego kły nie tkwią głęboko w mojej szyi. Łatwo byłoby zrzucić mój obłęd na karb wampirzego przymusu, ale wiem, że Lucca go nie używa. Sama odpowiadam za to, co robię.

Rośnie mi w ustach, więc ssę mocniej i pomagam sobie rękami. Lucca jęczy i przejmuje kontrolę. Wsuwa mi palce we włosy, unieruchamia moją głowę i zaczyna posuwać mnie w usta. Kiedy dochodzi, wydaje z siebie dziki warkot i porusza się jeszcze szybciej. Przyjmuję wszystko, co mi daje, a kiedy jest już pusty, chcę więcej.

Siadam na piętach i ocieram wargi wierzchem dłoni. Jestem nieco oszołomiona i zupełnie nie wiem dlaczego.

Nigdy wcześniej nie obciążałaś wampirowi, Vivi. Może jego sperma ma szczególne właściwości.

Silne dłonie łapią mnie za ramiona i podnoszą. Karmazyn niemal całkowicie zniknął z brązowych oczu Lukki, a na jego brodzie nie widać już rozmazanej krwi. Wyglądałby prawie normalnie, gdyby w jego spojrzeniu nie błyszczał nowy głód.

– Świrnięta idiotka z ciebie – mruczy pod nosem.

– Wiem.

Niespodziewanie przerzuca mnie sobie przez ramię.

– Co ty wyprawiasz? – Obracam się i próbuję zobaczyć, dokąd mnie zabiera.

Wracamy do mojego pokoju. Bez chwili wahania Lucca zdziera narzutę z łóżka, zrzucając wszystkie leżące na nim książki i notatki na podłogę. Sadza mnie na środku materaca i wbija we mnie wzrok.

Nadal ma w pełni wysunięte kły i ciężko oddycha.

Kuźwa. Znowu wraca do tego dzikiego stanu?

– Wszystko dobrze? – pytam cicho, chociaż się go nie boję.

– Ze mną tak. Ale z tobą nie. – Łapie za tył T-shirtu, ściąga go i odsłania najbardziej zadziwiający kaloryfer i klatę, jakie kiedykolwiek widziałam.

Napięta skóra aż się prosi o dotyk, mięśnie są wyraźnie zarysowane, ale nie przesadnie napakowane. Stoi przede mną egzemplarz idealnego męskiego piękna, a ja pragnę musnąć językiem każdy centymetr tego ciała. Jestem tak zajęta pożeraniem go wzrokiem, że jego komentarz dociera do mnie dopiero wtedy, gdy Lucca wchodzi na łóżko i zbliża się do mnie powoli na rękach i kolanach, jakby faktycznie był drapieżnikiem w dżungli.

Cofam się, aż nie mam już gdzie się odsunąć.

– Jak to ze mną nie wszystko dobrze?

Na jego twarzy pojawia się figlarny uśmiech, na widok którego od palców stóp aż po cebulki włosów zalewa mnie fala gorąca. Przesuwa palcami po mojej nodze, aż znikają pod spódniczką.

– Chcę ci się zrewanżować.

W sypialni robi się coraz goręcej, a moja cipka już niecierpliwie pulsuje. Nie spuszczając ze mnie wzroku, Lucca zahacza palce o moje majtki i je ściąga.

– Boże, ależ jesteś podniecona. Nie mogę się doczekać, aż cię znowu skosztuję.

Rozsuwa mi nogi i nie hamuje się. Krzyczę, gdy tylko dotyka mnie językiem, i wyginam plecy w łuk. Ma rację, jestem tak napalona, że pewnie dojdę w ciągu następnej minuty. Zaciskam pięści na prześcieradle i próbuję jak najdłużej się wstrzymać. Nagle czuję nacisk przy wejściu – jego palec – i zupełnie się zatracam. Orgazm jest tak intensywny, że muszę się wgryźć w poduszkę, żeby stłumić krzyki.

Lucca kończy pięścią mnie tam na dole, dopiero gdy przestaję się trząść, po czym zdejmuje mi poduszkę z twarzy. Uśmiecha się od ucha do ucha – jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiej miny. Serce mi rośnie od upajających emocji, które jednocześnie wywołują szczęście i pozbawiają mnie tchu. Ale potem mój wzrok pada na naszyjnik wiszący tuż nad moim nosem. Euforia po orgazmie wyparowuje i z całą siłą uderza mnie okrutna rzeczywistość.

Wampir chyba nie zauważa mojego wewnętrznego niepokoju, tylko przeplata swoje palce z moimi i kładzie nasze złączone dłonie po obu stronach mojej głowy. I gdy zastyga tak nade mną na kolanach, bije od niego czysty seksualny urok.

– Jesteś piękna – mówi, po czym się pochyla i całuje mnie czule.

Rozpływam się i z miejsca postanawiam, że nie pozwolę niczemu zniszczyć tej chwili. Walić obowiązki i obietnice. Chcę się cieszyć każdą sekundą tego doznania, żeby móc później traktować to wspomnienie jak największy skarb. Nie mam żadnych złudzeń. To, co się dzieje między Luccą i mną, skończy się, gdy tylko stąd zniknę. Trudno mi jednak ignorować ucisk w piersi. Nie zamierzam jednak pograć się w mrocznym uczuciu rywalizującym o przestrzeń w moim sercu, więc zaplatam nogi wokół bioder wampira i przyciągam go do siebie.

Nie przerywając pocałunku, opuszcza się na moje ciało, aż między nogami czuję nacisk jego wzrodu. Nadal dzieli nas zbyt wiele warstw ubrań, ale ponieważ Lucca dalej unieruchamia mi ręce, nie mogę z tym nic zrobić.

– Lucca – mruczę między pocałunkami.

– Tak? – Kręci miednicą, ocierając się o mnie tam, gdzie tak desperacko go potrzebuję.

– Pragnę cię. Całego.

Odsuwa się i przez chwilę mi się przygląda.

– Jesteś pewna, Vivi?

Kiwam głową, bo teraz nie potrafię formować słów. Zdrobnił moje imię, co zalało motyle w moim brzuchu czystą adrenaliną. Ale ja nie mogę pozwolić nadziei zagnieździć się w moim sercu. Nigdy nie połączy nas nic więcej niż przelotny romans.

Lucca wstaje i pozbywa się spodni w nadnaturalnym, typowym dla wampirów tempie. Potem zamiast do mnie wrócić, stoi nieruchomo obok łóżka w całej nagiej okazałości i wbija we mnie tak intensywne spojrzenie, że mnie rozbija. Serce wali mi w piersi tak mocno, jakby zastąpiła je orkiestra dęta w pełnym składzie.

Posyła mi ten szelmowski uśmiech, który potrafi zmienić mój mózg w watę. Chociaż w sumie i tak już straciłam dla Lukki głowę.

– Teraz twoja kolej, kochana.

Na moje policzki wypływa rumieniec. Już posunęłam się z nim dalej niż z jakimkolwiek innym facetem, a jednak stresuje mnie perspektywa rozebrania się, gdy na mnie patrzy. Siadam, robię głęboki wdech, zamykam oczy i podciągam bluzkę.

Lucca natychmiast znajduje się przy mnie.

– Ciii. Nie ma się czym stresować, Vivi. Chodź, pomogę ci. – Powoli ściąga ze mnie bluzkę i odrzuca ją na bok. Jego pożądlive spojrzenie pada przelotnie na moje piersi, ale zaraz znowu wwierca się w moje oczy. – Wszystko w porządku?

– Tak.

Nie chcę, żeby obchodził się ze mną jak z jajkiem tylko dlatego, że jestem dziewicą. Rozpinam biustonosz i zsuwam ramiączka. Wampir ponownie opuszcza wzrok na moje piersi i przesuwa między nimi palcami, a ja dostaję gęziej skórki.

Zamykam oczy, z ust wyrywa mi się cichy jęk. Kiedy ciepły język Lukki dotyka jednego z moich sutków, fala pożądania spływa od niego prosto w dół. Moja łechtaczka znowu pulsuje... Nie, błaga o więcej. Gdy otwieram oczy, cały pokój wiruje. Kręci mi się w głowie, ale to nic złego. Ręka wampira znika pod moją spódniczką, a jego palce znajdują splot nerwów, prowokując kolejny jęk rozkoszy.

– Właśnie, Vivi. Pozbądź się wszystkich zahamowań. Powiedz mi, czego pragniesz.

W jego tonie wyczuwam wyzwanie. Twarz mi płonie, ale napotykam jego spojrzenie bez lęku. Odpowiadam mocnym głosem:

– Pragnę twoich ust na całej skórze. Chcę czuć twoją moc między nogami. Chcę, żebyś mnie pochłonał.

W jego oczach błyska jasna czerwień, więc zaczynam się obawiać, że za dużo powiedziałam. Silnym szarpnięciem Lucca rozrywa mi spódniczkę. Potem klęka przede mną i ściąga mnie za biodra na skraj materaca, tak że moja cipka znajduje się na wysokości jego fiuta.

– To może trochę zabołec, skarbie.

Przyciska jego czubek do mojego wejścia. Wślizguje się nieco i jest to nieopisane uczucie. Chcę więcej.

– Nieważne – mówię półgłosem.

Powoli i łagodnie wypełnia mnie całą. Czuję nagły ból i już jest w środku. Spinam się z obawy, że zacznę krwawić. Ale oczy wampira pozostają brązowe.

– Wszystko w porządku? – pyta nieco napiętym głosem.

– Nie – żartuję, ale kiedy w jego oczach dostrzegam poczucie winy, szybko dodaję: – Przestałeś się poruszać.

Mruży figlarnie powieki, wbija mi palce w skórę i niemal cały się wysuwa.

– To można łatwo naprawić.

Szybkim ruchem wpycha się z powrotem, wyrywając okrzyk z moich ust.

– Właśnie tak. Krzycz, kokietko.

Patrzę mu prosto w oczy, żeby dostrzegł w nich wyzwanie.

– Mocniej.

Śmieje się pod nosem i kręci głową.

– No to teraz masz kłopoty.

Ale spełnia moją prośbę, a ja się z nim zgadzam. Rzeczywiście mam kłopoty, i to wielkie. Jego ruchy stają się szybsze i głębsze, a każdy kolejny przybliży mnie do szczytu. Ale mimo że ta pozycja jest przyjemna, brakuje mi bliskości. Chcę czuć na sobie ciężar jego ciała.

Wyciągam ręce i próbuję go przyciągnąć.

– Chodź tutaj.

Lucca rozszerza nozdrza, a jego oczy ciemnieją.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, kochanie.

– Żądza krwi?

– Tak.

O nie.

– Krwawiłam?

– Nie – odpowiada z jękiem. – Nie o to chodzi. Na szczęście.

– Nie ulegniesz jej. Ufam ci.

Te słowa mnie zaskakują, ale to prawda. Mam do niego takie zaufanie, jakbym go znała przez całe życie.

W jego oczach błyska jakaś emocja, inna niż głód czy pożądanie. Ale jego mina łagodnieje i Lucca opuszcza swoje ciało na mnie. Chwytam jego twarz w dłonie i całuję go, jakby to był ostatni raz. W tym pocałunku mieszają się wściekłość, lęk, namietność i poczucie winy.

Lucca nadal się we mnie wbija i dostosowuje rytm poruszania językiem do bioder. Chcę wierzyć, że w tej chwili czuje się równie cudownie jak ja, nawet jeżeli to pobożne życzenia. I nawet jeśli jego serce się nie poddaje, to ciało tak. Poruszamy się w równym tempie do tego stopnia, że już nie wiem, gdzie kończy się on, a zaczynam ja.

Otacza mnie bańka rozkoszy, która rośnie i w końcu pęka, a ja rozpadam się na małe kawałki.
– Kurwa, Vivienne. Nie mogę... – Całym wampirem wstrząsają spazmy i on też przepada.



Czuję się tak, jakbym w ogóle nie miała kości. Straciłam rachubę, ile razy Lucca doprowadził mnie na sam szczyt, a jedyny powód, dla którego nie pieprzyliśmy się przez cały dzień, jest taki, że jestem człowiekiem i skończyłabym dosłownie połamana.

Do zachodu słońca jest jeszcze kilka godzin i teraz wampir śpi głęboko u mojego boku. Ja jeszcze nie mogę zasnąć, więc bezwstydnie się na niego gapię. Wygląda znacznie młodziej, gdy na jego twarzy nie widać ciężaru setek lat istnienia. Mimo że przez większość życia bałam się wampirów, zawsze się zastanawiałam, jak by to było, gdybym mogła żyć wiecznie. Czy to przez nieśmiertelność niektóre wampiry są tak podłe i okrutne?

Mój wzrok pada na jego szyję i wiszącą na niej ozdobę. To moja szansa. Mogłabym zabrać naszyjnik i być już daleko stąd, zanim się obudzi. Myślę o Rikkonie, który znajduje się na łasce Larssona, i moja dłoń unosi się nad naszyjnikiem. Wyciągałam brata z kłopotów więcej razy, niż potrafię zliczyć, i każdy, a zwłaszcza moi przyjaciele, powiedziałby mi, że spłaciłam swój dług z nawiązką. A jednak nie mogę zostawić go w potrzebie, chociaż jednocześnie nie mogę też okraść Lukki.

Tych sprzecznych emocji nie da się logicznie wyjaśnić. Gdy tak wpatruję się w wampira, ponownie ogarnia mnie wrażenie, że znam go od dawna, co jest niemożliwe. Dlaczego on wzbudza we mnie tak głębokie poczucie lojalności?

Wzdycham ciężko, opuszczam rękę i zamiast zrobić to, po co przybyłam do instytutu, całuję Luccę w policzek.



29. Vivienne

Jednak udało mi się zasnąć. Kiedy się budzę, łóżko po stronie, na której spał Lucca, jest puste, ale jeszcze nie zimne. Musiał dopiero co wstać. Jestem rozczarowana, że wyszedł bez pożegnania, lecz staram się tego nie roztrząsać. Tak jest lepiej. Nie mogę brnąć w to głębiej, bo jeszcze nie uda mi się wydostać.

Z powodu braku odpowiedniego odpoczynku mój umysł nadal nie jest jasny. Zapewne tylko dlatego nie słyszę lejącej się pod prysznicem wody, dopóki nie wchodzę do zaparowanej łazienki. Lucca stoi w kabinie i właśnie kończy splukiwać włosy.

– Dobry wieczór, kochanie. Chcesz do mnie dołączyć?

Szczęka opada mi na podłogę, a oczy wyskakują z orbit. Muszę wyglądać jak głupkowata postać z kreskówki.

– Myślałam, że wyszedłeś.

– Najpierw bym się odpowiednio pożegnał. – Wylewa na dłoń sporą ilość mydła w płynie i zaczyna rozprowadzać je na ciele.

Śledzę ruchy jego rąk po brzuchu, aż chwytą w dłoń twarde jak skała wzwiedziony członek. Natychmiast czuję, jak płonie mi skóra. Gorące spojrzenie Lukki parzy moje nagie ciało. Kiedy napotykam jego wzrok, unosi brew w niemym wyzwaniu.

Cholera. Jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć be. Utrzymując kontakt wzrokowy, podchodzę do niego i właśnie wtedy zauważam stos worków z krwią obok mojego szamponu.

– Zgłodniałem – wyznaje zażenowany.

W tym momencie mój żołądek postanawia się poskarżyć i głośno burczy. Nie ma szans, żeby lejąca się woda zagłuszyła ten dźwięk. Skoro ja go usłyszałam, wampir tym bardziej. Trochę się spinam. Co będzie, jeżeli Lucca postanowi podzielić się ze mną swoim zapasem?

Jakby czytając mi w myślach, mówi:

– Podzieliłbym się z tobą, ale przebywanie w twojej obecności nadal wyzwala żądzę krwi. Muszę wypić, ile tylko się da, żeby powstrzymać głód.

Ignoruję chwilowo informację, że coś we mnie wyzwala w wampirze żądzę krwi, i wzdycham z ulgą.

– Nie ma sprawy. Zjem coś później.

– A ja chcę coś teraz. – Łapie mnie w tali i opiera o wyłożoną kafelkami ścianę.

Przywiera do mnie całym ciałem i wsuwa język w moje usta w tej samej chwili, w której jego palce odnajdują moją szparkę. Nadal jestem obolała po wczorajszym maratonie, ale witam to wtargnięcie z entuzjazmem. Pieprzy mnie trzema palcami, a kciukiem drażni łechtaczkę.

– Luc... Ooo, Boże – wyrzucam z siebie, gdy daje mi szansę się odezwać.

– Słodka Vivienne, muszę się w tobie znaleźć, teraz, natychmiast. – Jego rękę szybko zastępuje buława.

To nie zajmie dużo czasu.

Lucca unosi jedną z moich nóg, dzięki czemu dociera głębiej. Przez użyte wcześniej mydło oboje jesteśmy śliscy, ale to nie utrudnia wampirovi pieprzenia mnie, utrzymania w odpowiedniej pozycji i jednocześnie picia krwi z worka.

Na widok wampira pochłaniającego krew wielkimi haustami powinno mnie zemdlić, ale jak mogę czuć odrazę, skoro patrzy na mnie tak, jakbym była najatrakcyjniejszą kobietą na ziemi.

Odrzuca pusty worek, opiera wolną rękę o ścianę i całuje mnie w bark. Nasze usta już się nie spotykają, nawet wtedy, gdy niemal jednocześnie szczytujemy. Tu nie mam poduszki, którą mogłabym stłumić krzyk, i nawet prysznic go nie zagłusza.



Nadal jestem wniebowzięta, gdy w końcu wychodzimy spod prysznicza. Czuję się tak, jakbym była cała z waty, więc tylko siadam owinięta w ręcznik i przyglądam się, jak wampir się ubiera. Jakby

był gwiazdą filmową, a ja jego największą fanką. Zapina jeansy, po czym odwraca się do mnie z sugestywnym uśmiechem.

– Ty się nie ubierasz?

– Za chwilę.

Sięga po T-shirt, a potem się zatrzymuje i spogląda na mnie z nowym błyskiem w oku, tym razem poważniejszym.

– Co? – Prostuję się.

– Są inne sposoby na zdobycie tego, na czym ci zależy.

Jego słowa wzbudzają mój niepokój, który siada mi na żołądku.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Zaciska usta.

Cholera. Wie, kim jestem? Uwiódł mnie w ramach jakiejś chorej kary?

– O lepszym życiu – odpowiada wreszcie. – Nie musisz zostawać wartowniczką, żeby mieć lepsze życie.

Robię drżący wydech.

– Ach. Chyba nie ma tak dobrze. Rzeczywistość zwykłych bardzo się różni od rzeczywistości wampirów z rodów Blueblood. – Zerkam na dłonie i czuję wstyd, chociaż nie powinnam. A przynajmniej nie z powodu swojego pochodzenia.

Może i żyję tu w kłamstwie, ale ten komentarz w pełni do mnie trafia. Moja rzeczywistość jest zupełnie odmienna od życia Lukki. On należy do rodziny królewskiej, jest księciem. A ja jestem biedaczką z przyczepy.

– Wiem. Ale nie musisz się dawać kształtować środowisku. Beznadziejna rodzina czy miejsce dorastania nie mają żadnego znaczenia.

Ta rozmowa aż za bardzo zaczyna przypominać moje życie, przez co czuję się cholernie niekomfortowo. A tak w ogóle, to dlaczego on o tym mówi? To nie ma sensu. Przecież nie może się interesować kimś takim jak ja, a przynajmniej jak ta zwykłaczką, którą udaję, bez koneksji ani odpowiedniego pochodzenia.

Drzwi do apartamentu otwierają się z hukiem, co obwieszcza przybycie Manu. Marszczę brwi. Nasza ostatnia rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

– Lepiej już pójdę. Wykopałem stąd wczoraj moją siostrę, więc pewnie nie ma najlepszego nastroju.

– No, super. Ty ją wkurzasz, a ja muszę sobie radzić z konsekwencjami. – Wydymam usta.

– Nie rób tak – rzuca.

– Jak?

– Tej miny. Jest bardzo... kusząca.

– Lepiej, żebyś już wychodził, chłoptasiu – krzyczy Manu z salonu.

Lucca się krzywi, zerka na mnie i znika za drzwiami.

Kurna. Szkoda, że się jeszcze nie ubrałam, to wyszłabym razem z nim. Nie wiem, czy przebywanie sam na sam z jego siostrą okaże się dla mnie bezpieczne. Ale teraz jest już za późno.

Łapię pierwszy czysty zestaw ubrań, jaki wpada mi w ręce, i pięć minut później stawiam czoła nieznanemu.

Manu siedzi na wysokim stołku i ogląda długie, ostre paznokcie. Kiedy się do mnie odzywa, nie podnosi wzroku.

– Mam nadzieję, że się nasyciłaś, sąsiadeczko.

– Słucham?

Napotyka moje spojrzenie.

– Lucca nie uznaje powtórek. Przeleciał cię, więc teraz pójdzie swoją drogą.

Jej słowa są zjadliwe, a w oczach błyszczy okrucieństwo i złośliwa satysfakcja. Trudno nie dać się zranić tą kąśliwą uwagą.

– Mam to gdzieś. Nie zabawię tu długo.



30. Vivienne

Nie rozplakałam się. Chociaż tyle dobrze. Znienawidziłabym się, gdybym dała Manu poznać, że mnie dotknęła. Ale jestem cholernie tym wszystkim zasmucona. Zaprzepaściłam szansę na zwinięcie naszyjnika, a co gorsza, zakochałam się w swoim celu. Jak bardzo można zgłupieć? I jakim cudem na to wszystko pozwoliłam? Kocham Luccę Della Morte.

Vivienne Gale zakochana w wampirze. Niewiarygodne!

Telefon informuje mnie o nadejściu wiadomości. Serce bije mi mocniej na myśl, że to Lucca. Po chwili dociera do mnie, że przecież nie dałam mu swojego numeru, a poza tym dlaczego miałby do mnie teraz pisać. Przecież dopiero co się widzieliśmy.

Nie jesteście zadurzonymi w sobie nastolatkami, Vivi. No, może ty jesteś, ale on zdecydowanie nie.

Esemes jest od Karla. Chce pogadać i w ramach łapówki oferuje mi jedzenie. Uśmiecham się mimowolnie. Śniadanie byłoby super, ale najpierw zamierzam porozmawiać z Damonem, więc idę na zajęcia dla wartowników.

Cassie nie czeka na mnie na dole schodów. Poprosiła o wolne, żeby dojść do siebie po ostatnich przejściach. Nie jestem pewna, jaki powód podała administracji ani rodzicom, ale z całą pewnością nie wydała Boone'a, co doprowadza mnie do szału za każdym razem, gdy o tym pomyślę. Kiedy wchodzę na salę gimnastyczną, widzę, że Damon daje już upust złości na worku treningowym. Czy Cassie powiedziała mu, co jej się stało? Są blisko i podejrzewam, że łączy ich coś więcej niż tylko przyjaźń. Hm, może nic nie wie, bo inaczej na pewno próbowałby się zemścić na Boonie.

– Cześć – witam go z bezpiecznej odległości.

Burczy coś w odpowiedzi.

Nie mam czasu o nic go spytać, bo na salę wchodzi Hanson i domaga się naszej uwagi.

– Mam dziś ważne ogłoszenie. Jak wiecie, wasze szkolenie ma was przygotować do tego, że pewnego dnia będziecie służyć królewskiemu rodom. Dla niektórych ta zmiana może się okazać za duża i w końcu dojdą do wniosku, że to jednak nie dla nich. Żeby nie tracić czasu ani środków, wymyśliłem program stażu.

Rozglądam się pospiesznie i widzę, że pozostali są równie zaskoczeni jak ja. Super. Chociaż raz nie czuję się całkowicie niezorientowana.

– Kilku królewskich zgodziło się przyjąć po jednym stażyscie. Będziecie dla nich pracować przez cztery tygodnie po przynajmniej trzy godziny dziennie.

Cholera jasna. Nie chcę być niczyją stażystką. Może nadszedł czas, żebym stąd odeszła, skoro i tak stało się jasne, że nie osiągnę swojego celu. Poza tym zakłęcie skrywające moją prawdziwą tożsamość za trzy tygodnie przestanie działać. Będę musiała wymyślić inny sposób uwolnienia Rikkona.

– Nie muszę podkreślać, że będzie ciężko, i lepiej, żebyście w czasie stażu nie nawalili. To nie swoją reputację narazicie na szwank, tylko moją. Jedno nieodpowiednie zachowanie i wylecicie stąd z hukiem. – Niespiesznie wbija spojrzenie w każdego ucznia, ale mnie piorunuje wzrokiem wyjątkowo długo.

Skurwiel.

Drzwi do sali się otwierają i wchodzą przez nie królewscy, którzy zgłosili się do programu, jakby ich przybycie zostało dokładnie skoordynowane z przemową Hansona. Znużona i całkowicie niezainteresowana oglądam przemarsz nadętych wampirów, aż na samym końcu widzę potwora.

Boone.

Krew natychmiast ścina mi się w żyłach, a tuż potem w trzewiach rodzi się furia. Zerkam na przeznaczone dla nas na koniec szkolenia sztylety, które nadal są wyłożone tuż poza tatami, i obliczam prawdopodobieństwo, że uda mi się porwać jeden z nich i zatopić go w bebeczach Boone'a, zanim ktokolwiek zdąży mnie powstrzymać. Gdybym miała prędkość wampira, zaryzykowałabym.

Hanson znowu coś gada, ale jego słowa ledwie do mnie docierają. Z wściekłości aż dzwoni mi

w uszach.

- Vivienne! – Nagle tuż przed moją twarzą wyrasta instruktor i piorunuje mnie wzrokiem.
- Co? – krzyczę równie głośno.
- Jeżeli nie chce ci się słuchać, to może nie powinno cię tu być.
- Może wcale nie chcę tu być – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Moją uwagę przykuwa jakiś ruch za jego plecami. To Boone do nas podchodzi. Cholera. Gdybym tylko miała w ręce ostrze.

- W porządku, Hanson. Cztery tygodnie pracy dla mnie ustawią ją do pionu.
- Że co? – pytam.
- Boone poprosił specjalnie o ciebie – odpowiada znudzony Hanson.
- Nie będę dla niego pracować – rzucam z pogardą.

Hanson chwyta mnie za ramię i wbija w nie palce.

– Takie zero jak ty nie będzie podważać mojego autorytetu. Zejdź mi z oczu, zanim zapomnę, że kary cielesne przestały być tolerowane.

Popycha mnie w stronę Boone'a, który nie przepuszcza okazji, żeby też wystartować do mnie z łapami. Chwyta mnie równie mocno jak Hanson, tyle że jego paznokcie są ostrzejsze, a bliska obecność wywołuje mdłości.

- Chodź, Vivienne. Mam dla ciebie całą listę rzeczy do zrobienia.

Popełniam ten błąd i patrzę mu w oczy, a wtedy mój opór natychmiast zaczyna słabnąć. Nie. Nie. Nie. Boone używa na mnie uroku. Ponieważ Lucca ani żaden inny królewski, z którym miałam do tej pory do czynienia, nigdy się do tego nie uciekł, naiwnie myślałam, że po prostu nie posiadają zdolności przymuszania.

Mój umysł się buntuje, ale ciało bez protestów podąża za Boone'em. Wampir wyprowadza mnie z sali i kieruje się w stronę schodów prowadzących do katakumb. Napinają mi się wszystkie mięśnie i zaciska gardło. Wreszcie potwór dostanie to, czego chce. Spróbuje mnie zniszczyć, tak jak to zrobił z Cassie.

Rozglądam się na boki, ale korytarz jest pusty. Krzychałabym, gdybym tylko mogła, lecz najwyraźniej wampir odebrał mi i tę zdolność. Wkrótce schodzimy w ciemność i jeszcze zanim docieramy na dół, ja już trzęsę się jak galareta.

Kiedy tylko znajdujemy się na miejscu, Boone popycha mnie na ścianę, chwyta za szyję i przysuwa przebrzydłą twarz do mojej. Bijący od niego smród jest straszliwy i wszystko przenika.

- Nareszcie dorwałem cię samą i tym razem Lucca nie zdoła ocalić ci dupy.

Chłodny powiew muska moją szyję, a potem znowu słyszę ten upiorny głos, który wzywał mnie wcześniej już dwukrotnie. Cholera. Duch z tajemnej komnaty wie, że tu jestem. Zerkam w prawo i próbuję ocenić dzielącą mnie od niej odległość. Zdecydowanie wolę się zmierzyć ze zjawą niż z Boone'em. Gdyby tylko puścił mnie na chwilę, zdołałabym zniknąć. Aurora mówiła, że nikt nie powinien znaleźć tego miejsca. Lucca na pewno nie potrafił.

Boone ścisną moją brodę kciukiem i palcem wskazującym i zmusza mnie, żebym na niego spojrzała.

- Na co się gapisz? Nikt nie przyjdzie ci z pomocą, a przynajmniej nie przed tym, jak się zabawię.

Puszcza moją szyję, żeby rozedrzeć mi bluzkę. Nie pamiętam, jaki mam na sobie biustonosz, ale całą uwagę wampira na moment przyciągają moje piersi. To moja szansa. Nie mam tyle miejsca, żeby odpowiednio mocno kopnąć go w jaja, lecz mogę nadepnąć mu na stopę.

Boone wyje i skacze na jednej nodze. Odpycham go od siebie, a on dzięki łutowi szczęścia potyka się i pada jak długi. Rzucam się w kierunku tajemnej komnaty z nadzieją, że zdążę zniknąć za maskującym ją czarem, zanim wampir mnie złapie.

– Ty cholerna dziwko! Zapłacisz mi za to! – Jego wściekły głos odbija się od ścian za moimi plecami, już teraz zbyt blisko mnie.

Ale głos zjawy robi się głośniejszy, więc muszę się zbliżyć. Coś podobnego do głazu uderza mnie z ogromną siłą w plecy i sprawia, że upadam bokiem na kamienną podłogę. Przez przypadek przygryzam sobie język, aż zaczyna krwawić. Nagle Boone szarpie mnie za włosy, co wywołuje mój krzyk.

– Właśnie, krzycz, suko. To tylko jeszcze bardziej mnie napala.

Słyszę dźwięk rozpinanego rozporoka, a potem wampir rozrywa mi spodnie. Zaraz wydarzy się coś, z czego prawdopodobnie nigdy się nie podniosę. Mam déjà vu, ale w sumie teraz jest gorzej. Ogarnia mnie jednak dziwny spokój. Nie wiem, czy właśnie tracę rozum, ale w tym momencie materializuje się przede mną duch kobiety. Zjawa tkwi za kratami, które oddzielają nas od tajemnej komnaty. Gdybym wyciągnęła rękę, zdołałabym ich dotknąć. Nałożono na nie zaklęcie, które uniemożliwia jej przejście przez nie. Wyczuwam teraz ten czar.

„Krew – słyszę w myślach jej głos. – Daj mi swoją krew, a ci pomogę”.

Nie wiem, jak to zrobić, ale wtedy Boone uderza moją twarzą o twardą podłogę. Gorący ból przeszywa mi czoło i po chwili czuję, jak z nosa leje mi się coś ciepłego. Czaszka pulsuje mi oślepiająco, aż tracę świadomość tego, co wampir robi z moim ciałem. Nic nie czuję.

– Co, do diabła? – wrzeszczy nagle i ze mnie schodzi.

Najpierw echem w tunelu odbija się straszliwy pisk, a potem słyszę już tylko desperackie wrzaski Boone’a.

Czar unieruchamiający moje ciało znika. Odpycham się od podłogi i podnoszę na chwiejne nogi. Moje ubranie jest w strzępach, ale nadal mam na sobie bieliznę. Wampir nie zdążył mnie zgwałcić.

Zniknął mi z oczu razem ze zjawą, ale jego krzyki dobiegają do mnie z bliska. Mam nadzieję, że zjawa rozerwie go na kawałeczki.



31. Lucca

Saxon zamęcza mnie pytaniami o to, gdzie spędziłem miniony dzień, gdy nagle jego tyradę przerywa walenie do drzwi. On i Ronan wymieniają spojrzenia.

– Spodziewamy się kogoś? – pyta Saxon.

– Ja nie. – Ronan wzrusza ramionami.

Saxon przenosi wzrok na mnie i unosi brew.

– Może to ulubiona zwyklaczka Lukki.

– Odpierdol się. – Rzucam w niego tym, co akurat wpada mi w rękę, a co okazuje się grubą książką o mediach społecznościowych.

On się uchyła, więc książka strąca jeden z głośników telewizyjnych na podłogę.

– Ej, jak coś stłuczysz, to to odkupujesz – stwierdza Ronan.

Pukanie się powtarza.

– Lucca, otwieraj.

– Kto to jest, do cholery? – Pierwszy do drzwi dociera Saxon i otwiera je gwałtownie.

Patrzę nad jego ramieniem i dostrzegam Damona, zwyklaka, którego widziałem kilka razy z Vivienne. W ułamku sekundy zeskakuję ze stołka barowego.

– Czego chcesz? – pyta Saxon.

– Muszę porozmawiać z Luccą. – Zwyklak zdaje się zmartwiony i zachowuje się tak, jakby wydarzyło się coś strasznego.

– Wpuść go, Sax – mówię.

– Boone ma Vivienne – rzuca bez żadnego wstępu.

– Co? – Cała moja postawa się zmienia, rzucam się do wampira i przyciągam go do siebie za klapy kurtki. – Kiedy to się stało?

– Dziesięć minut temu. Boone przyszedł na salę gimnastyczną i zabrał ze sobą Vivienne. Jestem pewien, że posłużył się urokiem.

– Gdzie był wtedy Hanson? – pyta Ronan, ale to mnie już nie interesuje.

Odpycham Damona i wybiegam z apartamentu.

– Luc, czekaj! – woła za mną Saxon.

Dziesięć minut. Vivienne znajduje się w łapach tego skurwysyna od dziesięciu minut. Mógł jej w tym czasie zrobić niejedną koszmarną rzecz. Tym razem oderwę mu łeb. Pierdolić porozumienie. Pierdolić wszystko.

Po dotarciu do skrzydła, w którym odbywają się wykłady, złapanie zapachu Vivienne jest łatwe. Od razu wiem, dokąd zabrał ją Boone. Do katakumb. Wszystko widzę przez czerwoną mgłę. Nic, absolutnie nic nie powstrzyma mnie przed rozerwaniem Boone'a na strzępy. Biegnę w takim tempie, że gdy Vivienne wychodzi na korytarz, nie mam czasu wyhamować. Wpadamy na siebie, a ona centralnie uderza twarzą w moją pierś. Ja ledwo to czuję, ale ona omdlewa mi w rękach.

– Vivienne. Obudź się. – Lekko nią potrząsam.

Pod nosem ma zaschniętą krew, a wokół szyi wściekle czerwony ślad w kształcie męskiej dłoni. Boone jej to zrobił.

Wyczuwam Saxona i Ronana, gdy zjawiają się w korytarzu i chłoną stan Vivienne. Nie da się teraz zignorować bijącej od nich agresji. Nie odważam się sprawdzać, jak wygląda reszta ciała dziewczyny, bo boję się, co mogę odkryć. Podnoszę ją za to i tulę do piersi.

– Gdzie Boone? – pyta Ronan.

– Nie wiem.

Z przeciwnej strony korytarza nadbiegają Manu, Karl i Aurora. Na twarzy Karla pojawia się czyste przerażenie, a mnie zalewają fale wściekłości. Jednocześnie pragnę znaleźć Boone'a i zająć się Vivienne.

– Znajdziemy go – mówi Saxon, jakby czytał mi w myślach.

Rusza do katakumb z Ronanem, a tymczasem podchodzi do mnie Aurora.

– Trzeba się zająć jej ranami.

Manu robi głęboki wdech, a potem mruży powieki.

– To człowiek.

Tak bardzo zatraciłem się w furii, że nawet nie poczułem zapachu krwi Vivienne. Powinien był obudzić we mnie jej żądzę, ale wszystko tłumi inna emocja.

– Lucca, chodź. Musimy ją stąd zabrać – ponagla Aurora.

– Wróćmy do mnie.



Chodzę nerwowo po salonie, podczas gdy Aurora jest z Vivienne w mojej sypialni i robi... Bóg jeden raczy wiedzieć co. Nie pozwoliła mi być obok, bo obawiała się, że w każdej chwili może mnie opętać żądza krwi. Jak dotąd nic mi nie jest. Może w kontroli nad głodem pomaga pragnienie wytropienia i zamordowania Boone'a.

Manu siedzi na kanapie na wprost Karla. Odkąd tu przyszliśmy, nie odezwał się ani słowem. Nie potrafię czytać w myślach, ale widzę, że zżera go poczucie winy. Mnie zresztą też. Wiedziałem, że Boone nie odpuści Vivienne. Powinienem być ją chronić, a jeszcze lepiej po prostu stąd odesłać. Nie zrobiłem tego z egoistycznych pobudek i teraz ona zapłaciła za to najwyższą cenę.

– Nie mogę uwierzyć, że przez cały ten czas wiedziałeś, że Vivienne to ta ludzka złodziejka z Havocu, i nic nam nie powiedziałaś. – Manu piorunuje mnie wzrokiem.

– Drapieżnik właśnie napadł moją przyjaciółkę, a ty narzekasz na to, że nie znałaś jej tajemnicy? – naskakuje na nią Karl. – Poważnie, Manu, co z tobą nie tak?

Siostra ma na tyle przyzwoitości, żeby okazać skruchę, ale Karl ma rację. Czasami jej bezwzględność jest wkurzająca. Sam mam już dodać kilka wściekłych uwag, ale właśnie wtedy z mojego pokoju wychodzi Aurora.

– Co z nią? – Staję przed czarownicą.

– Kilka ran szarpanych i siniaków, ale poza tym w porządku. – Patrzy mi prosto w oczy. – Nie dopiął swego.

Wielki ciężar spada mi z piersi, ale wcale się nie uspokajam. Boone ośmielił się tknąć Vivienne. Skrzywdził ją, żeby mnie ukarać, a ja nie puszczę mu tego płazem. Niezależnie od warunków porozumienia jest już martwy.

– Odzyskała przytomność? – pytam.

– Tak.

Wymijam Aurorę, ale ona kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Czekaj, czy to naprawdę dobry pomysł, żebyś akurat teraz do niej poszedł?

– Nic jej nie zrobię – niemal warczę.

– Oczy oszalałego wampira mówią co innego.

Cholera. Muszą płonąć czerwienią.

– To nie ma nic wspólnego z żądzą krwi.

W tym samym momencie do apartamentu wchodzi Saxon i Ronan z wisielczymi minami. Zauważam zmianę w postawie Saxona, gdy ten widzi dłoń Aurory na moim ramieniu. Ona natychmiast się ode mnie odsuwa, a on śledzi każdy jej ruch. Coś się między nimi dzieje, ale to teraz zupełnie nieważne.

– Znaleźliście go? – pytam.

Ronan się krzywi.

– Owszem. Nie musisz się nim przez jakiś czas martwić.

– Co to ma znaczyć? – pyta Aurora. – Błagam, powiedzcie, że nie zrobiliście nic głupiego.

– Spokojnie, czarodziejko. Nie tknęliśmy skurwiela palcem – odpowiada Saxon. – Kiedy tam dotarliśmy, był tak pocięty, że padłby w kałuży własnej krwi, gdyby był człowiekiem.

Robię wielkie oczy.

– Chcesz mi powiedzieć, że Vivienne tak go załatwiła?

– Nie. Dorwało go coś znacznie gorszego. Mamrotał bez sensu, ale nieustannie powtarzał słowo „zjawa”. – Ronan przenosi spojrzenie na Aurorę. – Wiesz może coś o tym?

Też zerkam na czarownicę i od razu zauważam jej poszarzałą twarz. Nie odpowiada od razu, ale mogę się założyć, że doskonale wie, co zaatakowało Boone’a w katakumbach. Zapewne to samo, co wcześniej dopadło Vivienne.

Chociaż niezmiernie ciekawi mnie, jaką tajemnicę matka Aurory i Solomon skrywają w trzewiach instytutu, moim priorytetem jest co innego. Zostawiam przyjaciół i kieruję się do swojego pokoju. Vivienne leży w moim łóżku z zamkniętymi oczami. Staję w pobliżu drzwi, żeby zapanować nad emocjami. Coś ściska mnie za serce, jakaś nowa troska, która każe mi kwestionować całą moją wielowiekową egzystencję.

Nigdy wcześniej nie pozwalałem sobie poczuć nic do żadnej przedstawicielki płci przeciwnej. Wierzyłem, że wystarczy mi miłość rodziny i przyjaciół. Wydawało mi się, że angażowanie się w związek byłoby nie fair wobec towarzyski, zważywszy na wiszącą nade mną cholerną kłatwę.

A potem zjawiała się Vivienne i wszystko zmieniła.

Dziewczyna się porusza i powoli otwiera oczy. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, w gardle staje mi wielka gula.

– Lucca – szepcze Vivienne.

Natychmiast do niej przyskakuję, kładę się i chwytam ją w ramiona. Tulę ją mocno i wduszam jej twarz w swoją pierś. Irytujący głód znowu podnosi swój obrzydliwy łeb, ale walić to. Nie pozwolę mu zepsuć tej chwili.

– Tak mi przykro, kochanie. Nie powinienem był spuszczać cię z oczu.

– To nie twoja wina. Boone wymyślił sposób, by dorwać mnie samą z błogosławieństwem instytutu.

Kły mi się wydłużają, powodując ból dziąseł. To nie żądza krwi powoduje, że zachowuję się jak dzikie zwierzę, tylko pragnienie zemsty.

– Hanson to zaaranżował? – pytam z ledwo powstrzymaną wściekłością.

– Przydzielił mnie do Boone’a na jego osobistą prośbę. – Odsuwa się. – Nic mu nie zrobisz, prawda?

– Wiedział, że Boone już cię wcześniej zaatakował. Nie powinien był narażać cię na niebezpieczeństwo.

– A co z porozumieniem?

– Ono chroni przede mną jedynie Boone’a i jego zwolenników. I to tylko rzekomo. Jeżeli Boone sądzi, że jest bezpieczny, to się srogo myli.

Żrenice Vivienne rozszerzają się ze strachu.

– Nie pozwolę ci wpakować się w kłopoty, żeby mnie pomścić.

Obejmuję jej piękną twarz dłońmi.

– Zaslugujesz na pomszczenie, kochanie. Wielokrotne.

Tłumię jej ewentualne dalsze protesty pocałunkiem. Vivienne jest człowiekiem, a ja nadal pożądam jej krwi z obłąkańczą obsesją. Mimo to pragnę jej, i to nie tylko jako pożywienia czy rozrywki, ale też całkowicie i tak długo, jak długo pozwoli mi być obok.

Kładzie mi dłonie na piersi i mnie odpycha, zdecydowanie zbyt wcześnie kończąc pocałunek.

– Lucca, muszę ci coś powiedzieć.

Nie patrzy mi w oczy, wzrok ma utkwiony w mojej szyi.

– O co chodzi, Vivi?

Robi niepewny wydech.

– Nie jestem tym, za kogo mnie masz.

Wsuwam jej palec pod brodę i unoszę jej twarz, żeby na mnie spojrziała.

– Wiem, kim jesteś, kochanie. Od twojego pierwszego dnia tutaj.

Jej piękne oczy robią się wielkie jak spodki.

– Zaraz. Wiesz, że jestem tą dziewczyną, która próbowała cię okraść w Havocu? Wiesz, że jestem

człowiekiem?

– Tak. – Uśmiecham się złośliwie.

Niespodziewanie jej mina zmienia się w grymas gniewu. Wyskakuje z łóżka, staje przede mną w samej bieliźnie, bierze się pod boki i piorunuje mnie wzrokiem.

– Wiedziałeś, że jestem człowiekiem, i kazałeś mi pić krew? Co za dupek tak robi?

Cholera jasna. Całkiem o tym zapomniałem. Kurna.



32. Vivienne

Powiedzieć, że jestem wkurzona na Luccę, to nic nie powiedzieć. Od samego początku wiedział, że jestem człowiekiem, i mimo to kazał mi pić krew tej biednej kobiety. Niżej upaść już się nie dało.

– Przepraszam za to, Vivi. Naprawdę.

– Doprawdy? A może to tylko część twojej pokręconej gry?

Wyskakuje z łóżka i podchodzi do mnie z ręką uniesioną w błagalnym geście.

– To nie jest część żadnej gry. Musisz się uspokoić.

– Nie mów mi, co mam robić! – Jestem tak wściekła, że po policzkach spływają mi łzy.

Jakaś część mnie wie, że nie powinnam na niego wrzeszczeć. Znajduję się w niebezpiecznym położeniu, ale mam to gdzieś. Może atak Boone’a zniszczył tę część mojego mózgu, która odpowiada za zdrowy rozsądek.

– Dobra, nie uspokajaj się. Tak, zmusiłem cię wtedy, bo chciałem sprawdzić, jak daleko się posuniesz, żeby podtrzymać tę farsę. I dowiedzieć się, dlaczego ryzykujesz życie, żeby mnie okraść.

Pospiesznie ocieram twarz i nagle czuję się jak skończona kretyńka, że się w nim zakochałam. To wszystko było dla niego tylko chorą, rozciągniętą w czasie zemstą.

– No to jaka jest moja kara?

Unosi brwi.

– Kara? O czym ty mówisz?

– Chyba mnie tak po prostu nie puścisz, nie? Okłamywałam cię. Jestem złodziejką. – Prawda okazuje się gorzka.

Zmniejsza odległość między nami i kładzie mi dłonie na ramionach.

– Nie zamierzam cię karać, głupolko. Owszem, na początku miałem taki plan, ale moje priorytety zmieniły się już jakiś czas temu.

– Dlaczego?

Patrzę mu głęboko w oczy, które są teraz brązowe, ale mają czerwone cętki. Czy on się właśnie znajduje na krawędzi żądy krwi? Mimo że istnieje taka realna możliwość, żaden instynkt przetrwania nie każe mi wiać gdzie pieprz rośnie. Chyba mi życie nie miłe.

– Nie wiem. Po prostu nie mogę trzymać się od ciebie z daleka. I to nie tylko dlatego, że pragnę twojej krwi.

Moje serce desperacko pragnie mu wierzyć, ale nie mogę tego zrobić.

– Byłem w twojej dzielnicy – dodaje.

– Co?

– Wiem też o twoim bracie. Prawda jest taka, że nawet poszedłem do Ember Emporium, żeby go stamtąd wyciągnąć.

– I... I co?

Puszcza mnie i odsuwa się.

– I zjawił się mój wuj. Zabronił mi rozmawiać ze smokiem. Użył uroku.

Nie mogę w to uwierzyć. Lucca próbował pomóc mojemu bratu? W głowie mi się kręci. Już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Dlaczego Larsson pragnie twojego naszyjnika? – pytam.

Lucca zakrywa medalion dłonią.

– Nie wiem. Należał do mojej matki. Prawdę mówiąc, to jedyne, co mi po niej pozostało. – Nagle zrywa łańcuszek z szyi i mi go podaje. – Proszę. Jeżeli dzięki temu zapewnisz bratu wolność, to możesz go wziąć.

Gapię się w dar jak sroka w gnat, ale po niego nie sięgam. Serce ściska mi się okropnie mocno. Przecież nie mogę pozbawić Lukki czegoś tak osobistego tylko po to, by zaspokoić kaprys jakiegoś przestępcy.

– Nie mogę go wziąć.

Lucca marszczy brwi.

– Zadałaś sobie cały ten trud, ryzykowałaś życie, a teraz nawet nie przyjmiesz mojego podarunku?

– Mogłam go ukraść wczoraj. Nie potrafiłam tego zrobić. To niewłaściwe.

Chwyta moją dłoń, otwiera ją siłą i kładzie na niej medalion.

– Ta biżuteria nie wróci mi matki, Vivi. Ale może uratować twojego brata.

W oczach znowu stają mi łzy, ale tym razem z innego powodu. Staram się je powstrzymać, gdy tak stoję i patrzę na naszyjnik. W gardle czuję gulę wielkości Teksasu, aż trudno mi złapać oddech.

– Dziękuję.

– Teraz możesz odejść.

Podrywam głowę tak szybko, że aż naciągam mięsień w szyi.

– Chcesz, żebym odeszła?

– Nie. To ostatnie, czego pragnę. Ale nie możesz tu zostać. Nie jesteś wampirzycą, chowańcem ani przekąską. Instytut to nie miejsce dla ciebie.

Po policzku spływa mi pierwsza wielka łza.

– Kiedyś tak myślałam, ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

Lucca przyciąga mnie do siebie i całuje w czubek głowy.

– Nie jesteś tu bezpieczna. Boone nie wie, że jesteś człowiekiem. Możesz wrócić do swojego starego życia. Możesz porzucić Salem, realizować marzenia.

– A co ty możesz wiedzieć o moich marzeniach? – pytam, dławiąc się.

– Oj, wiele, Vivi.

W przeciwieństwie do mnie. Okazało się, że wszystko, co sądziłam na temat Lukki, było niezgodne z prawdą. Rzeczywiście jest gwałtowny i mroczny, ale nie okrutny. To wampir, którego kocham. Głupio się jednak czuję na myśl, że miałabym mu to powiedzieć, więc milczę.

Ktoś puka do drzwi i wchodzi, nie czekając na odpowiedź.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy problem – oznajmia Aurora.

– Co znowu? – burczy Lucca.

– Dyrektor wzywa Vivienne na dywanik. Chodzi o Boone'a.

Żołądek skręca mi się boleśnie w supeł.

– Muszę mu o wszystkim opowiedzieć, prawda?

– Tak, najpewniej właśnie tak – odpowiada.

Lucca obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

– Pójdę z tobą.

– To raczej nie będzie rozsądne, Lucca. Zabiorę ją do gabinetu Solomona i zostanę z nią, jeżeli to tylko będzie możliwe.

Lucca cały się spina.

– To nie wystarczy. Jeżeli to spotkanie będzie podobne do tego, na które sam zostałem wezwany, to nie pozwolę jej iść samej.

– Twoja obecność tylko wszystko pogorszy – odpiera Aurora.

Odwracam się do niego, żeby pochwycić jego spojrzenie.

– Nic mi nie jest. Mogę stawić mu czoła sama.

– Nic ci nie jest, też coś. Nikt nie oczekuje, że będziesz udawać, że się dobrze czujesz. – Wpatruje się we mnie intensywnie.

Robię głęboki wdech, odsuwam się od niego i porzucam poczucie bezpieczeństwa, jakie mi zapewnia. Bardzo chciałabym, żeby mnie chronił, jednak tę walkę muszę stoczyć sama bez dodatkowej obrony. Poza tym jeżeli będę musiała ponownie przeżywać każdy szczegół tego, co wycierpiałam z rąk Boone'a, to wolę, by Lucca tego nie słyszał.

Przenoszę uwagę na Aurorę.

– Jeżeli dasz mi jakieś ubrania, to pójdę do dyrektora od razu.



Pomimo licznych protestów Lukki ostatecznie tylko Aurora i Karl odprowadzają mnie do gabinetu dyrektora. Nie mam zbyt wielkiej ochoty na pogawędkę, więc dają mi spokój. Karl od czasu do czasu na mnie zerka, ale udaję, że tego nie widzę. Nie poradzę sobie z emocjami, jakie mogłabym znaleźć w jego oczach.

Zna moją przeszłość: wie o pierwszym ataku wampira i o tym, że pozostawił on we mnie uraz do końca życia. Pewnie spodziewa się, że w każdym momencie mogę się załamać. A może znajdę w jego spojrzeniu wyrzuty albo współczucie.

Sama nie jestem pewna, jakim cudem się jeszcze trzymam. Może jestem w szoku. Pograżam się w swoich myślach tak bardzo, że nie zwracam uwagi na otoczenie. Podążam tylko za Aurorą. Kiedy czarownica zatrzymuje się przed bogato zdobionymi drzwiami, zmieniam się w kłębek nerwów. Najwyraźniej otępienie przechodzi i w końcu w pełni odczuwam przerażenie. Przygryzam policzek z nadzieją, że ból odwróci moją uwagę od drżenia wszystkich mięśni.

Aurora stuka raz w drzwi, a one otwierają się same do wewnątrz.

Wystrój pomieszczenia jest surowy. Ściany są wyłożone panelami, a większość przestrzeni zajmują regały z ciemnego drewna zastawione w całości starymi księgami. Na samym środku stoi długi, solidny stół dębowy, za którym siedzi starszy osobnik. Ma zmierzwiłone białe włosy i zbyt blisko osadzone paciorkowate oczy, nieco przysłonięte krzaczastymi brwiami. Nigdy nie widziałam wampira, który by tak wyglądał.

– A więc to ty jesteś tą niesławną Vivienne Gale. – Składa ręce i spogląda na mnie spod szerokiego nosa.

– Nie wiem, czy akurat niesławną – mówię, starając się ukryć, jak bardzo jestem zdenerwowana. Dyrektor przenosi uwagę na stojących po moich bokach Aurorę i Karla.

– Chciałbym porozmawiać z Vivienne w cztery oczy.

Czuję napływ paniki. Patrzę błagalnie na czarownicę, żeby przy mnie została.

– Vivienne przeszła dziś piekło. Potrzebuje moralnego wsparcia – uprzedza ją Karl.

– Doprawdy? Nie takie raporty dostałem z licznych źródeł.

– O jakich źródłach pan mówi? – pyta Aurora.

– Chociażby o Hansonie.

Czarownica zaciska pięści i występuje do przodu.

– To żmija, nie można mu ufać. Wiedział, że Boone już wcześniej zaatakował Vivienne, a mimo to z radością mu ją oddał.

Dyrektor mruży powieki i nachyla się nad stołem.

– Auroro Leal, chyba zapominasz o swoim miejscu w tym instytucie. Nie jesteś jeszcze Najwyższą Czarownicą, dopiero się uczysz.

Mam dość słuchania, jak rozmawiają o mnie tak, jakby mnie tu nie było, więc sama podchodzę do stołu.

– Boone usiłował mnie zgwałcić. Twierdzi pan, że skoro on pochodzi z królewskiego rodu, to jest to niby moja wina?

Odchyła się i otwiera szeroko oczy.

– To poważne oskarżenie.

– Zaatakował także moją koleżankę, Cassandrę Alencar – dodaję.

– Jaka jest pani relacja z Luccą Della Morte?

Zaskakuje mnie jego pytanie. Jakby w ogóle nie usłyszał, co do niego powiedziałam.

– Niby jak omawiana tutaj sprawa ma się do relacji Vivienne z Luccą? – wcina się Karl. Już nie kryje złości w swoim głosie.

– Panie Eriksson, od ostatnich pięciuset lat był pan odcięty od naszego świata. Proszę nie udawać, że cokolwiek pan o nim wie.

– To nie był mój wybór. Poza tym to, że zostałem wygnany, nie oznacza automatycznie, że nie wiem, co się w nim dzieje.

Wygnany? Nie wiedziałam. Dlaczego został wygnany?

– W takim razie powinien pan wiedzieć, że moje pytanie jak najbardziej ma związek ze sprawą –

odpowiada dyrektor.

– Przyjaźnimy się – mówię i jest to najlepsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Nadal sama nie wiem, co nas łączy.

– Powiedziała pani, że Boone skrzywdził pani koleżankę? – dopytuje dyrektor.

– Tak.

– To dałoby pani motyw, żeby go zaatakować.

Zamieram, gdy przetrawiam te słowa, nawet nie odważam się oddychać.

– Vivienne nie zaatakowała Boone'a. Dobrze o tym wiesz, Solomonie – oburza się Aurora.

– Tak twierdzi? Że ja go zaatakowałam? – pytam piskliwym głosem. – To on zaatakował mnie.

– Hanson znalazł go w katakumbach w opłakanym stanie.

– Dorwało go coś innego – wyjaśniam. – Duch.

Solomon robi wielkie oczy, a potem wymienia spojrzenia z Aurorą. Nie mam czasu się zastanawiać, co to znaczy, bo nagle otwierają się drzwi i do gabinetu wchodzi wyglądający na podłego królewski, któremu towarzyszą trzej inni ubrani w skórzane prochowce i emanujący mrokiem. Właśnie takie wampiry wywoływały moje koszmary.

– Co to ma znaczyć, Jacques? To prywatna rozmowa. – Solomon wstaje.

– Przyszedłem, bo nie mogę ci pozwolić zająć się tą sytuacją samodzielnie. Ta podrzędna wampirzyca ośmieliła się zaatakować dziedzica Tatiany. Musi zostać ukarana, by nikt nie miał wątpliwości, że porozumienia należy przestrzegać.

Kręci mi się w głowie. Nie wierzę, że to się dzieje. Jestem ofiarą, a oni próbują zrobić ze mnie napastnika?

– Vivienne nie zaatakowała pomiotu Tatiany. To on jest agresorem. – Aurora staje przede mną, po niej robi to Karl.

– Po tym, co ona mu zrobiła, Boone nawet nie potrafi składnie mówić. I wszyscy wiemy o jej związku z Luccą Della Morte.

– Nic temu śmieciowi nie zrobiłam! – wrzeszczę. – Ale zasłużył sobie na to, co go spotkało.

– Widzisz? Dla mnie to jasne przyznanie się do winy. Straż, brać ją.

Trzech pozostałych rusza na mnie, ale się zatrzymują, kiedy Aurora robi coś dziwnego z rękami, podobnego do ruchu taekwondo. W jej dłoniach świecą teraz dwie tarcze stworzone z czystej energii. Stojący obok niej Karl warczy; wydobywający się z jego gardła dźwięk zdecydowanie nie jest ludzki.

– Nigdzie jej nie zabierzecie – oznajmia Aurora.

– Bezczelna dziewczyno, jak śmiesz wchodzić mi w drogę. – Jacques naciera na nią, ale ona nie ustępuje.

Wkurza mnie, że jestem beużytecznym człowiekiem i potrzebuję ochrony innych. Nawet gdybym miała przy sobie broń, dla nikogo nie stanowiłabym zagrożenia.

Solomon powoli wychodzi zza stołu. Okazuje się znacznie niższy, niż się spodziewałam. Nie przypomina już szalonego naukowca, za to rozpościera ręce i wypuszcza z nich potężne uderzenie, które powala Jacques'a i strażę na podłogę.

– Nie pozwolę, żeby na moim własnym terenie kwestionowano mój autorytet! – Solomon przemawia głosem, który sprawia wrażenie pradawnego i potężnego, niemal znanego. – Vivienne o nic nie oskarżono i nigdzie jej nie zabierzecie. Macie opuścić instytut albo ponieście konsekwencje.

Jacques i jego sługusi, oniemiałi, powoli i niezdarnie podnoszą się z podłogi.

– Właśnie popełniłeś ogromny błąd, Solomonie. Od odejścia Nightingale'ów jesteś jedynie pimpusiem z pretensjami.

Do gabinetu wpada pięć wampirów w skórzanych mundurach. Mają posturę wojowników, są wielcy i całkowicie beznamiętni. Każdy z nich jest uzbrojony w krótki miecz, który lśni w promieniach wpadającego przez okno światła księżyca. Moją uwagę przykuwa błysk czerwieni na ich kamizelkach. Po lewej stronie nad piersią mają wyszytą czerwoną różę.

Bez słowa aresztują Jacques'a i jego strażę, po czym ich wyprowadzają. Najwyższy z nowo przybyłych, najwyraźniej przywódca, spogląda na Solomona i kiwa głową. Gdy odwraca się do wyjścia, jego głęboko osadzone niebieskie oczy napotykać mój wzrok i przechodzi mnie dreszcz. Przeróżający

typ.

Po ich wyjściu Karl zwraca się do dyrektora:

– To jeszcze nie koniec. Jacques będzie próbował dorwać Vivienne, niezależnie od pańskiej decyzji.

Zaczynam się trząść jak osika. Właśnie tego jeszcze potrzebuję: prześladowającego mnie psychopaty z wampirzego królewskiego rodu.

– Nie mogę tu dłużej zostać – mówię.

Solomon kręci głową.

– Musisz tutaj zostać. Instytut to teraz dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce.

Zerkam na Aurorę z nadzieją, że jakoś mnie wybawi.

– Nie obawiaj się o kamuflaż, moje dziecko. Działanie uroku można przedłużyć – dodaje dyrektor.

Oczy wychodzą mi z orbit.

– Wie pan, że jestem człowiekiem?

Uśmiecha się.

– Oczywiście. Od samego początku.



33. Lucca

Wnerwiony tym, że nie mogę towarzyszyć Vivienne do gabinetu dyrektora, udaję się na poszukiwania gnidy odpowiedzialnej za narażenie jej na niebezpieczeństwo – Hansona. Saxon i Ronan podążają za mną, ale nie ma słów, które mogłyby powstrzymać mnie przed daniem Hansonowi tego, na co sobie zasłużył.

Znajduję go na sali gimnastycznej. Ćwiczy z dwoma ostrzami i porusza się tak szybko, że dla ludzkich oczu wygląda pewnie jak rozmazana plama. Ale nie dla mnie.

Na mój widok się potyka. Robi wielkie oczy i widzę, że szykuje się, by zacząć wciskać mi jakiś kit. Ale jeszcze zanim ma okazję się odezwać, trafiam go pięścią w twarz. Pada na tatami jak worek śmieci. Mógłbym mu zrobić o wiele więcej, ale wtedy wykorzystałby to przeciwko mnie.

Podnosi się na łokciu i dotyka rozciętej wargi.

– Odwaliło ci?

– To tylko ostrzeżenie. Jeżeli jeszcze raz spróbujesz skrzywdzić Vivienne, żeby się na mnie odegrać, a skończysz przywiązany do drzewa w oczekiwaniu na słońce.

– Nie możesz mi grozić. Jestem nauczycielem i też pochodzę z królewskiego rodu!

– W dupie mam twoje tytuły. Dla mnie jesteś zwykłą kanalią. Czuj się ostrzeżony.

Odwracam się i odchodzę, ale ciarki na karku ostrzegają mnie przed niebezpieczeństwem. Słyszę świst ostrza przecinającego powietrze. Okręcam się na tyle szybko, że łapię rzucony w moje plecy sztylet. Pierdolony kutas.

Odwinąłbym mu się, ale zajęli się nim już Saxon i Ronan. W mgnieniu oka przygwoździli go czterema ostrzami do podłogi – po jednym na każdą kończynę.

Wrzeszczy i patrzy na dłonie przekłute jego własnymi sztyletami.

– Skurwysyny! Właśnie wydaliście na siebie wyrok śmierci.

– Nie wydaje mi się – zauważa spokojnie Ronan. – Zaatakowałeś dziedzica tronu stojącego do ciebie plecami. Jak dla mnie to zdrada. – Zerka na Saxona.

– Dla mnie też – odpowiada ze złośliwym uśmiechem Saxon.

Podchodzę do Hansona z lodowatym uśmiechem na twarzy. Sukinsyn zasługuje na znacznie gorszą karę, ale muszę przyznać, że i tak czuję satysfakcję.

Kręcę jego sztyletem w palcach, a potem go wypuszczam. Wbija się w tatami dwa centymetry od jego prawego ucha.

– Trzeba było nie wchodzić mi w drogę, Hansonie. Nie bez powodu nazywają mnie Mrocznym Księciem.

Tym razem naprawdę wychodzę. Uwolnienie się nie zajmie mu dużo czasu, ale tej nocy raczej nie będzie po raz drugi próbował zaatakować mnie podstępem. Z pewnością jednak kiedyś znowu to zrobi; zapewne też będzie to cios w plecy. Tak właśnie postępują wampiry pozbawione honoru.

– Powinieneś był go zabić, Luc – stwierdza Saxon.

– Wiem. Ale nawet jeżeli będę miał doskonały powód i to zrobię, to nie odkryję, co planuje.

– Na pewno nic dobrego. Nie dziwiłbym się, gdyby w końcu opowiedział się za Tatianą.

– I to jest kolejny argument za tym, żeby pozwolić mu żyć... na razie.

Po korytarzu kręcą się różne wampiry, łącznie z Therese i jej paczką. To pierwszy raz, gdy się na nią natykam, odkąd próbowała zabić Vivienne. Jest kolejną przedstawicielką rodów Blueblood, która zasługuje na karę, ale ponieważ to dzięki jej morderczemu wybrykowi udało mi się porzucić plan zemsty i zaakceptować swoje uczucia do Vivi, daruję jej suce życie.

Na mój widok postawa Therese ulega zmianie. Wampirzyca prostuje się jak struna i unika mojego wzroku. Po chwili prowadzi przyjaciółki w przeciwną stronę. Zaczynam się rozluźniać, ale nagle dociera do mnie zapach Vivienne. Wraca ze spotkania z Solomonem ściśnięta pomiędzy Aurorą i Karlem.

Mimo wszystko zauważam, że Therese zerka na nią kątem oka. Vivienne nie zwraca na nią uwagi i patrzy prosto przed siebie. Znam wampirzycę zbyt dobrze i wiem, że nie zostawi dziewczyny

w spokoju. Jej duma jest większa niż lęk przede mną. Otaczają mnie same zasrane gnojki.

Ruszam w stronę Vivienne, jeszcze zanim dociera do mnie, co robię, i spotykam się z nią w połowie drogi. Zatrzymuje się gwałtownie, jakby się obawiała tego, co zamierzam zrobić. Nie przejmuję się widownią, tylko zbliżam się do dziewczyny, ujmuję jej twarz w dłonie i całuję ją bez wahania. Serce mi rośnie i bije tak szybko, że gdybym był człowiekiem, dostałbym zawału.

Głód mi towarzyszy, jak zawsze, ale spycham go w zakamarki umysłu i cieszę się słodkim smakiem Vivienne mimo nieracjonalnego pragnienia skosztowania jej krwi. Kiedy się odsuwam, dziewczyna ma przymknięte oczy i zaróżowione policzki. To głównie ludzka reakcja, więc przyciągam ją do siebie, żeby żadne wścibskie oczy nie zauważyły rumieńców.

– Czyli to już oficjalne – mruczy Aurora.

– Co takiego? – pytam.

– Jesteście parą.

Czuję, jak Vivienne zastyga w moich ramionach. Może nie jest tym zainteresowana. Nie mógłbym jej za to winić. Należymy do różnych gatunków, ona jest ofiarą, a ja drapieżnikiem. A najgorsze jest to, że ona jest śmiertelna, a ja nie. Skoro nie potrafię zmienić jej w wampirzycę, nawet gdyby tego chciała, będę skazany patrzeć, jak umiera. Ta myśl ściska mi żołądek. Nie chcę jej stracić.

– Chodźmy stąd. Mamy dużo do omówienia.



– Zostaję – oznajmia, a ja w równej mierze jestem przeszczęśliwy i zatroskany.

– Bardzo tego pragnę, ale tu jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

– Niezupełnie – nie zgadza się ze mną Aurora. – Jacques chce teraz jej głowy. Nie wie, że Vivienne jest człowiekiem, ale ta tajemnica łatwo może się wydać. A kto ochroni ją poza murami instytutu?

– Czego ten gnój chce od Vivienne? – Patrzę na nią gniewnie.

– Twierdzi, że to ona zaatakowała Boone'a, a nie na odwrót – odpowiada z drugiego końca pokoju Karl.

Nie udaje mi się powstrzymać ryku, który wyrywa się z moich trzewi. Vivienne się krzywi i odsuwa ode mnie. To pomaga mi zapanować nad wściekłością.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem cię przestraszyć.

– Boże, daj już spokój z tymi słodkimi słówkami. Niedobrze mi się robi. – Manu marszczy z obrzydzeniem nos.

– Zamknij jadaczkę, smarkulo – odpalam.

Jak na moją siostrę przystało, zbliża się do mnie o krok, a poziom jej agresji niebotycznie szybuje.

– Zmusz mnie.

– Zamknijcie się! – Aurora wchodzi między nas i unosi ramiona.

Kurde. Chyba naprawdę tracę rozum, skoro uczennica czarownicy musi interweniować.

– Cholera. Kocham kobiety, które przejmują kontrolę. – Saxon się śmieje i z uznaniem patrzy na Aurorę.

Ta krzywi się rozdrażniona.

– Nawet o tym nie myśl, bałwanie.

Saxon z uśmiechem wsuwa krwawego lizaka do ust.

– Nie możesz zakazać mi myśleć, słonko.

– Moglibyście wszyscy łaskawie przestać zgrywać palantów i na chwilę się skupić? – przerywa im Karl. – Pozostanie Vivi tutaj to tymczasowe rozwiązanie. Przecież nie może udawać wampirzycy do końca życia.

– W takim razie rozwiązanie jest tylko jedno – stwierdzam. – Boone musi zginąć.

Manu prycha.

– Świetny pomysł, Luc. Po prostu zabijmy Boone'a i znowu rozpętajmy cholerną wojnę.

– Lepsze to, niż żyć w tych pseudospokojnych czasach – odpiera Ronan. – Jeżeli głosujemy, opowiadam się za rozwiązaniem Lukki.

– Ja też – dodaje Saxon.

Szybko wybucha kolejna kłótnia, ale ja się w nią już nie angażuję. Widzę, że Vivienne stoi w kącie wycofana i bledsza niż wcześniej, więc biorę ją na ręce i zanoszę do swojego pokoju. Na wszelki wypadek zamykam drzwi na klucz.

– Wszystko w porządku? – Sadzam ją na łóżku.

– Nie. Boję się.

Siadam obok niej i wsuwam jej kosmyk włosów za ucho.

– Nie musisz się bać, kochanie. Nie pozwolę, żeby ktoś cię znowu skrzywdził.

– Nie boję się o siebie, tylko o ciebie.

Zalewa mnie radość. To nierozsądne i doprowadzi jedynie do cierpienia. Ale i tak jestem przeklęty. Pewnego dnia po prostu zasnę i już nigdy się nie obudzę.

Nagle przypominają mi się słowa wuja. Powiedział, żebym uległ głodowi. Mogło mu chodzić o kłątwe?

Myśli zaczynają mi gnać z prędkością światła. Zeskakuję z łóżka i krążę po pokoju.

– Powiedziałam coś nie tak? – pyta Vivienne.

– Od naszego pierwszego spotkania opętuje mnie nieposkromiony głód, gdy tylko czuję twoją krew.

Zaciska usta i obejmuje się rękami.

– To chyba nie jest normalne.

– Nie.

Przypominam sobie zdjęcie, które zabrałem z jej przyczepy. W końcu nie pokazałem go Aurorze. Wyciągam je z kieszeni, rozkładam i podaję Vivi.

– Co to jest? – Przygląda mi się zaciekawiona.

– Znalazłem tę fotografię, kiedy poszedłem do twojej przyczepy.

– Włamałeś mi się do domu? – Unosi głos z oburzeniem.

Cholera jasna. Okropnie ją potraktowałem. Lepiej wrócę do przyczepy i chociaż po sobie posprzątam.

– Przepraszam. Musiałem się dowiedzieć, z kim mam do czynienia. Udawałaś wampirzycę i jak by nie było, próbowałaś mnie okraść.

Robi się czerwona jak burak.

Opuszcza spojrzenie na trzymane w rękach zdjęcie.

– Dlaczego wzięłaś akurat to?

– Domyślałam się, że to twój brat. A kim jest ta kobieta?

– To moja matka.

– Ty i twój brat macie podobne bransoletki z amuletami. Pamiętasz, kto je wam dał i co oznaczają te symbole?

Marszczy brwi i przygląda się im dokładniej.

– Zupełnie o nich zapomniałam. Rikkon je kupił. Kazał mi nosić bransoletkę przez cały październik. Nie mogłam jej zdjąć nawet na noc.

– Powiedział dlaczego?

– Nie. – Patrzy na mnie. – Myślisz, że były zaczarowane?

Zaczynam tak podejrzewać, ale nie mogę jej powiedzieć, że moim zdaniem jest potomkinią Nightingale'ów i kłątwa zmusi mnie do wypicia całej jej krwi aż do ostatniej kropli. To jedyne wyjaśnienie pojawiającej się w jej obecności żądz krwi.

– Może. Chciałem pokazać je Aurorze. Może ona mogłaby mi powiedzieć, co oznaczają.

Przesuwa palcem po zdjęciu zagubiona w myślach.

– Pamiętam, kiedy zostało zrobione. To był dobry dzień. Matka ten jeden raz była trzeźwa i nie towarzyszył nam żaden z jej szemranych znajomych.

– Przykro mi, że nie była matką, na jaką zasługiwałaś.

Z kieszeni wyciąga mój naszyjnik.

– Przykro mi, że twoja już nie żyje. Co jej się stało?

Serce ściska mi się tak bardzo, że nie mogę mówić. Śmierć mojej matki ma bezpośredni związek z klątwą. Nie mogę o niej opowiedzieć, zbyt wiele nie zdradzając.

Vivienne odkłada naszyjnik i zdjęcie na szafkę nocną, podchodzi do mnie i zatrzymuje się tuż przede mną.

– Nie musisz mi mówić, jeżeli to zbyt bolesne. Zrozumiem.

– Dziękuję.

Muskam jej pełne wargi kciukiem; znowu chciałbym całować ją do utraty tchu, ale się powstrzymuję. Dopiero co przeżyła napaść seksualną. Nie mogę teraz nic próbować, mimo że cały płonę.

A ona zasysa mój kciuk w usta, aż syczę.

– Co ty robisz?

Nie zrywając kontaktu wzrokowego, wypuszcza mój palec z głośnym dźwiękiem.

– Nie mogę trzymać się od ciebie z daleka. Nawet jeśli to niebezpieczne.

Przysuwa się jeszcze bliżej, chwytając mnie za ręce i otacza się nimi w talii.

– Chcesz się napić mojej krwi, ale przez cały ten czas sobie tego odmawiałeś. – Przychyła głowę i nadstawia szyję.

Kły wysuwają mi się w pełni, wywołując ból dziąseł. Paznokcie zamieniają mi się w szpony. Na jej oczach staję się potworem i nie mogę temu zapobiec. Nagle cały pokój znika. Widzę wyłącznie jej żyłę, słyszę jedynie jej puls.

– Nie! – Odpycham ją tak gwałtownie, że aż ląduje na podłodze.

Patrzy na mnie zaskoczona, a ja nie mogę znieść myśli, że tak ją potraktowałem. Ogarnia mnie poczucie wstydu, więc robię jedyną rzecz, jaką jeszcze jestem w stanie. Uciekam.



34. Lucca

Co prawda wolałbym pobiec na miejsce, ale do wschodu słońca pozostała jedynie godzina, więc nie mogę ryzykować. Wziąłem SUV-a, chociaż jeszcze nie do końca opanowałem prowadzenie go. Nie jestem nawet pewny, czy uda mi się znaleźć wuja. W Salem ma tajną siedzibę, ale mnóstwo czasu spędza również w Bostonie.

Lepiej, żeby był w Salem, bo nie mam najmniejszych szans dotrzeć do metropolii przed wschodem słońca. Zamieniłbym się w proch mimo przyciemnionych szyb w samochodzie.

Im bardziej oddalam się od instytutu, tym wyraźniej wszystko widzę. Krew Vivienne wzywa mnie, odkąd po raz pierwszy ją poczułem. W połączeniu z niezbyt subtelnymi aluzjami wuja wszystko składa się w całość, która mogła umknąć tylko takiemu idiocie jak ja. Nigdy nie spytałem, skąd dziewczyna wzięła tak potężne zaklęcie, ale dałbym sobie uciąć rękę, że pomógł jej je zdobyć mój drogi wuj.

Prowadzę samochód nieutwardzoną drogą przez las i ani myślę zwolnić. Poza gęsto rosnącymi drzewami nic tu w teorii nie ma. Droga kończy się ślepo na zwałonym wielkim drzewie. Wciskam gaz do dechy i jadę prosto na nie. Tuż przed zderzeniem drzewo znika, a koleiny zmieniają się w wybrukowany podjazd. Minutę później na horyzoncie pojawia się posiadłość króla Raphaela, otoczona wysokim kamiennym murem i bramą z kutego żelaza. Styl budowli przypomina mój własny dom, tyle że w znacznie większej skali. Król wampirów nie zasługuje na nic mniejszego. Gotycka i mroczna wygląda jak żywcem wzięta ze starego horroru. Właśnie po takim miejscu można się spodziewać siedziby istoty ciemności.

Brama się otwiera, gdy tylko SUV się do niej zbliża. W chwili, w której przekroczyłem magiczną barierę, chowaniec wuja został powiadomiony, że zaraz przybędę.

Kiedy wysiadam z samochodu, niebo jest już jaśniejsze. Zdecydowanie nie wrócę dziś do instytutu. Moje serce natychmiast sprzeciwia się tej myśli. Nie chcę zostawiać tak długo Vivienne samej, ale biorąc pod uwagę pierwotną żądzę pozbawienia jej życia, może jednak lepiej, żebym trzymał się od niej z daleka.

Wielkie mahoniowe drzwi otwiera przede mną Mauricio Libell, chowaniec i kamerdyner wuja. Wita mnie z niezadowoleniem.

– Na litość boską, Lucco, co ty tu robisz o tej godzinie?

– Muszę omówić z wujem pilną sprawę. Jest tutaj?

Kamerdyner się odsuwa, żeby mnie przepuścić, ale nadal robi gniewną minę.

– Jestem – odpowiada wuj ze szczytu okazałych schodów. – Możesz odejść, Mauricio. Dziękuję.

Olbrzym odchodzi, kręcąc głową. W formie zwierzęcej był niedźwiedziem i po przemianie w chowańca zachował jego posturę. Odznacza się również niedźwiedzim uporem i w czasach, gdy mieszkalem z wujem, był mi wrzodem na dupie.

– Co ty tutaj robisz tak późno, Luc? Co się stało? – pyta wuj już na dole schodów.

Przechodzę prosto do sedna.

– Czy Vivienne jest tą potomkinią Nightingale'ów, której radziłeś mi szukać?

W jego wyrazie twarzy nic się nie zmienia. Beznamiętna maska pozostaje niewzruszona.

– Tak.

Przeczesuję gwałtownie włosy i warczę:

– Nie! Nie wierzę! Wrobiłeś mnie.

– Luc, musiałem interweniować. Nawet jej nie szukałeś. Zupełnie jakbyś nie chciał przełamać klątwy.

– Jej nie da się przełamać! Maewe już tego dopilnowała. – Potrząsam głową i śmieję się sucho. – A teraz pokochałem kobietę, którą los każe mi zabić.

– Musisz wyrzucić Maewe z głowy. To, że kochasz Vivienne, zwiększa szanse twojego odkupienia.

Piorunuję go wzrokiem.

– Oszalałeś? Nie zaryzykuję jej życia. Nigdy nie będę na niej żerować.

– Im dłużej będziesz przebywać w jej pobliżu, tym trudniej będzie ci się opierać.

– To się wyprowadzę.

– Daj już spokój. Mam dość twojego narzekania. Zrobisz to i przełamiesz tę piekielną klątwę.

– A jeśli nie, to mnie do tego zmusisz?

Krzywi się, co nie zdarza mu się często. Chyba trafiłem w czuły punkt.

– Już tego próbowałeś, prawda?

Wzdycha głośno.

– Tak. Ale nie jestem z tego dumny.

Mógłbym wrzasnąć albo zdzielić go w twarz, ale co by to dało? Jest królem, może robić, co mu się żywnie spodoba.

– Daruj sobie. Mam dość twoich niewydarzonych wymówek. Najpierw się budzę i odkrywam, że ugiąłeś się przed Tatiana, a teraz to. Jakbym cię wcale nie znał.

Unika mojego spojrzenia i podchodzi do kominka. Zwiesza ramiona, wygląda na pokonanego. Cholera jasna. To zdecydowanie nie jest osobnik, który prowadził wojny, inspirował tysiące żołnierzy i zdobywał wszystko, co tylko zechciał.

– Masz rację, nie byłem wobec ciebie szczery. Nie chciałem przysparzać ci kolejnych zmartwień. Podchodzę i staję obok niego.

– Możesz mi wszystko powiedzieć. Udźwignę to.

Patrzy na mnie i w końcu porzuca maskę. Marszczy brwi, a w jego oczach widać wzburzenie.

– Pierwsze pokolenie wampirów trafiła dziwna choroba. Tracą kontakt z rzeczywistością, wyobrażają sobie rzeczy, które nie istnieją, zapominają o innych. Podejrzewam, że ma to związek z odejściem Nightingale'ów z tego świata.

– Czyli nie dość, że cała reszta musi okresowo hibernować, to jeszcze wam odbija?

– Najwyraźniej. Zaczęło się kilka wieków temu. Pięcioro wampirów z pierwszego pokolenia postradało zmysły. Wydawało się nam, że to odosobniony przypadek, zwłaszcza że nie było żadnych innych doniesień. Aż siedemdziesiąt lat temu kolejny osobnik zaczął wykazywać oznaki rozstroju psychicznego.

Kurwa. Błagam, tylko nie mów, że ty, wuju.

– Kto?

– Tatiana.

Cofam się o krok i nie kryję zdumienia.

– To co z rozejmem?

– Wymyśliliśmy tę bajeczkę, żeby ukryć, co się z nią dzieje, przed jej zwolennikami. Nawet jej syn, Boone, nic nie wie.

Pocieram twarz i zaczynam krążyć po perskim dywanie.

– Dlaczego ją chronisz? Przecież ona wielokrotnie nastawała na twoje życie.

– Nie chronię jej, tylko nasz styl życia. Jak myślisz, co się stanie, gdy rozejdą się wieści, że wampiry pierwszego pokolenia tracą zmysły? Wydaje ci się, że tylko Tatiana pragnie władzy? Nie możemy pozwolić, żeby inni się o tym dowiedzieli.

Zamieram, a potem odwracam się do niego powoli.

– Obawiasz się, że sam też kiedyś stracisz rozum.

Przytakuje z poważną miną.

– Owszem. I dlatego ty musisz się uwolnić od klątwy. Jeżeli odejdę, zajmiesz moje miejsce.

Zamykam na chwilę oczy, bo trudno mi się pogodzić z tymi wieściami. Nie mam już rodziców i w moim sypiącym się życiu to on jest stabilnym fundamentem. Nie mogę stracić i jego.

– Gdzie teraz jest Tatiana? – pytam.

– U siebie. Isadora rzuciła czar, który uniemożliwia jej opuszczenie posiadłości, ale ze względu na chorobę nawet nie wie, że jest uwięziona.

– I nikt o tym nie ma pojęcia? Jacques też nie?

- Tatiana jest pod wpływem uroku, który każe jej odprawiać wszystkich gości. Skurkowaniec. Nic dziwnego, że Jacques robi wszystko, co w jego mocy, żeby narzucić swoją dominację.
- Po co zadawać sobie cały ten trud? Nie lepiej po prostu zabić tę sukę?
- Jeżeli ona umrze, znowu wybuchnie wojna między wampirami. Jej najwyżsi oficerowie zaczną walczyć ze sobą o przywództwo. Rada Starszych jednogłośnie zdecydowała o utrzymaniu Tatiany przy życiu, dopóki nie znajdziemy lekarstwa.
- Jeżeli ta choroba ma związek z odejściem Nightingale'ów, to jak masz znaleźć lek?
- To kolejny powód, żeby sprowadzić ich z powrotem.
- Próbujemy to zrobić od stuleci. Odeszli na dobre.
- Wuj zaciska zęby, a potem odwraca wzrok.
- Nie mogę tracić nadziei. Nie poddam się. – Po chwili znowu na mnie patrzy. – Ty też nie możesz.



35. Vivienne

Po zniknięciu Lukki pierwsza do pokoju wchodzi Aurora. Karl depcze jej po piętach. Ja dalej tkwię na podłodze totalnie zażenowana tym, że właśnie zaferowałam Lucce swoją krew jak tania dajka, a on mnie odtrącił.

– Co się stało? – pyta czarownica.

– Lucca coś ci zrobił? – dopytuje Karl.

Wstaję, unikając ich wzroku.

– Nie.

– Wyglądał tak, jakby go diabeł gonił – dodaje Aurora.

No, w tym wypadku to chyba ja jestem tym diabłem. Ale nie mówię tego na głos.

Moją uwagę przykuwa zdjęcie, które przyniósł z mojej przyczepy. Teraz i ja chcę wiedzieć, czy bransoletka od Rikkona miała jakieś zadanie.

Biorę fotografię i podaję ją czarownicy.

– Widzisz bransoletkę, którą mam na tym zdjęciu?

Unosi brwi.

– No, co z nią?

– Przyjrzyj się jej. Na amuletach wyrzeźbiono dziwne symbole. Czy one coś oznaczają?

– Cholera. Są za małe. – Przysuwa zdjęcie do oczu i mruży powieki. – To chyba runy starożytnych druidów.

– Mogę zobaczyć? – pyta Karl.

Patrzy na nie może z dziesięć sekund, po czym zakłopotany przenosi na mnie wzrok.

– To chyba amulety, które mają wymazać wspomnienia.

– To nie ma sensu. Czemu Rikkon miałby dać mi coś takiego i samemu nosić podobne?

Aurora gapi się na mnie całkiem inaczej niż dotychczas, zupełnie jakby próbowała mnie przeświecić.

– Cholera – wymyka się jej.

– Co?

Kręci głową i mnie wymija.

– Muszę iść.

– Nie ma mowy. – Biegnę za nią. – Nie zostawisz mnie tak bez wyjaśnień.

Z zaskoczeniem odkrywam, że w salonie nikogo nie ma. Może Manu i przyjaciele Lukki pobiegli za nim.

Łapię czarownicę za ramię i obracam ją w swoją stronę.

– Nie puszczę cię, dopóki mi wszystkiego nie wyjaśnisz.

Zerka na Karla, który zrobił się nagle bardzo ponury.

– Dość tego, zaraz dostanę przez was zawału – stwierdzam.

– Lepiej jej powiedz, co podejrzewasz. Daj już spokój z tymi tajemnicami – rzuca Karl.

Aurora robi głęboki wdech.

– Dobra. Chociaż pewnie tego pożałuję. – Patrzy mi w oczy i mówi: – Chyba nie jesteś człowiekiem, Vivi.

Puszczam ją natychmiast i cofam się o krok.

– Co za nonsens. Oczywiście, że jestem człowiekiem.

– Pamiętasz tę tajemną komnatę, na którą się natknęłaś? Tę z pięcioma grobami?

– No?

– Jest chroniona potężnym zaklęciem. Tylko dyrektor, moja matka i ja potrafimy je przełamać.

Nikt nie powinien wiedzieć nawet o istnieniu tamtego korytarza, a ty znalazłaś ją pierwszego dnia, gdy tylko zesłałaś do katakumb.

– I przez to automatycznie uznałaś, że nie jestem człowiekiem?

– Nie, dopóki nie pokazałaś mi tego zdjęcia.
– I jaką istotą jest według ciebie Vivi, jeżeli nie człowiekiem? – dopytuje Karl.
– Nie wiem. Czułeś kiedyś zapach jej krwi?
Obydwoje z Karlem się krzywimy.
– No.
– Ale tak naprawdę dobrze się zaciągnąłeś? Rozłożyłeś go na czynniki pierwsze?
– Oczywiście, że nie. Niby dlaczego? Nie jestem wampirem. – Karl splata ramiona na piersi.
Aurora się odwraca i idzie do kuchni. Kiedy znowu się pojawia, w ręce ma nóż.
– A co ty niby chcesz z tym zrobić? – Robię wielkie oczy i zaczynam się zastanawiać, czy nie zwariowała. Wygląda na obłąkaną.
– Chcę, żeby Karl powąchał twoją krew.
Kręcę głową.
– Nie, nie ma mowy. Nie będziesz mnie tu ciąć.
– Zgadzam się z Vivi. To niepotrzebne.
– Oj, daj spokój. Nie bądź dzieckiem. Nie możesz się bać utraty kropli krwi. Twój chłopak jest wampirem. Prędeż czy później cię ugryzie.
Już to widzę. Gdy tylko mu to zaproponowałam, zwał gdzie pieprz rośnie.
– Ten eksperyment nie ma sensu. Gdybym na podstawie zapachu jej krwi potrafił stwierdzić, że Vivi nie jest człowiekiem, już dawno bym to zrobił.
Czarownica wzdycha z rezygnacją i odrzuca nóż na blat.
– Psujecie zabawę. – Rusza w stronę drzwi wyjściowych, ale zatrzymuje się w połowie drogi. – Ups, zapomniałabym torebki. Podasz mi ją? Leży za tobą.
Skórzana torba z wyszytymi z przodu kolorowymi kwiatami jest cholernie ciężka.
– Co ty tu masz? Całą kolekcję kamieni? – Już mam się odwrócić do niej z torebką, gdy przedramię przeszywa mi ból. – Aua! – Natychmiast upuszczam torbę i sprawdzam, co się stało.
– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – krzyczy na czarownicę Karl.
Aurora trzyma w dłoni scyzoryk, na którym błyszczy moja krew. Zasłaniam niewielkie rozcięcie ręką i piorunuję ją wzrokiem.
– Skaleczyłaś mnie! Normalnie nie wierzę!
– To tylko draśnięcie. – Odwraca się do Karla. – Masz, dobrze powąchaj.
Gwałtownie wyrywa jej scyzoryk. Założę się, że gdyby nie była dziewczyną, skopałby jej tyłek.
A tak przysuwa ostrze do nosa i robi kilka głębokich wdechów.
– No i? – dopytuje z przejęciem Aurora.
– Dasz mi chwilę? – warczy Karl.
– Boże, myślałam, że jesteś wilkiem. Nie powinieneś mieć lepszych zmysłów?
Pokazuje jej środkowy palec, czym przypomina mi tego Karla, którego znałam. Którego uważałam za człowieka.
Nadal się na nią wściekam, ale zaczynam się niecierpliwić. Gdybym nie była człowiekiem, toby wyjaśniało obsesję Lukki na punkcie mojej krwi. Ale i tak niczego by nie rozwiązało.
– No i? – pytam po chwili.
– Daj mi jeszcze sekundę. Chyba faktycznie w twojej krwi jest coś innego. – Znowu ją wacha. – Niemal tak, jakby zrobiono coś, żeby ukryć... no, coś.
Obejmuję się w pół zmartwiona, że mogę się okazać jakąś okropną istotą. No bo dlaczego Rikkon chciałby, żebym zapomniała, kim jestem? Jeżeli to właśnie zrobił. Bo nie wiemy tego na pewno.
– Och, na litość. Wiesz, co w jej krwi jest innego, czy nie? – Aurorze skończyła się cierpliwość.
– Coś mi to przypomina. To... – Karl opuszcza scyzoryk i robi wielkie oczy. W dodatku błędnie.
– No o co chodzi? – dopytuję.
– Chyba masz w sobie krew Nightingale'ów.
Mrugam i próbuję przetrwać jego słowa. Co, kurwa?
– To by wyjaśniało, dlaczego zakłęcie maskujące na ciebie nie działa – mruczy Aurora.
– Przecież to nieśmiertelni, którzy stworzyli wampiry. Ale co się właściwie z nimi stało?

Usłyszałam o nich po raz pierwszy dopiero tutaj.

– Opuścili ten świat wiele setek lat temu, lecz mogli po sobie zostawić potomków. Mieszkańców. Plotki głoszą, że lubili się zadawać z ludźmi – odpowiada Aurora.

– Więc waszym zdaniem jestem zaginioną prapraprawnuczką jednej z tych istot?

– No. – W spojrzeniu Karla dostrzegam żal, który wydaje mi się nie na miejscu.

– Jeżeli Nightingale’owie byli tak potężni, że potrafili stworzyć kilka różnych gatunków, to jakim cudem ja nie mam ani krzty ich magii?

Czarownica wzrusza ramionami.

– Może ich krew w twojej linii jest zbyt rozrzedzona. Kto to może wiedzieć?

– Nieważne, że nie masz ich mocy. Nie możesz nikomu powiedzieć o swoim związku z Nightingale’ami – oznajmia poważnym tonem Karl.

– Dlaczego nie?

– Bo nawet rozrzedzona krew ma moc, mimo że ty nie posiadasz żadnych zdolności. A ja znam wielu królewskich, którzy zabiliby cię, żeby tylko ją zdobyć.

To samo dotyczy Rikkona. Wszyscy powtarzają, że muszę zostać w instytucie, ale co z moim bratem, który jest teraz w rękach okropnego bossa smoków? Nie mogę się tu chować i o nim zapomnieć. Muszę go stamtąd wyciągnąć.



36. Vivienne

Czekam do późnego ranka, gdy już wszyscy, którzy powinni być w łóżkach, przesypiają dzień. Chowańce i ludzie mieszkający w instytucie przystosowali się do nocnego trybu życia wampirów, więc nie powinnam się na nikogo natknąć. Ale to nie oznacza, że mogę tak po prostu wyjść frontowymi drzwiami.

Manu nie spędziła nocy w swoim pokoju. Nie wiem, dokąd poszła. Mam nadzieję, że jest z Luccą. To, jak wczoraj wybiegł, nie daje mi spokoju. Nadal się o niego martwię, ale teraz moim priorytetem jest dostanie się do Rikkona. Nie wiem, co się stanie, gdy go uwolnię, ani czy kiedykolwiek tu wrócę. Ale nie mogę się nad tym rozwodzić, bo nigdy nie wyjdę.

Na wszelki wypadek wkładam bluzę z kapturem i po opuszczeniu apartamentu nie podnoszę głowy. Naszyjnik Lukki bezpiecznie spoczywa na dnie kieszeni moich jeansów, a w dłoni ściskam drugą najważniejszą rzecz: telefon. Kiedy docieram do głównej części budynku, w której odbywają się zajęcia, mam ochotę rzucić się biegiem. Ale jeżeli ktoś się tu kręci, dźwięk moich ciężkich kroków przyciągnie jego uwagę.

Idę prędko, żalując, że nie jestem równie szybka jak prawdziwe wampiry. Dotarcie do schodów prowadzących do katakumb zajmuje mi całą wieczność, a przynajmniej takie mam wrażenie. W trzewiach budynku spotkały mnie najbardziej przerażające doświadczenia, jakie przeżyłam w instytucie, a teraz zapuszczam się w nie z własnej woli, niecałą dobę po ataku Boone'a. Ale to jedyne znane mi tajne wyjście. Wszystkie pozostałe są zamknięte, żeby uniknąć wypadków – czytaj: prób dokonania morderstwa albo samobójstwa przez wyjście na słońce.

Serce wali mi tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi. Cała się trzęsę, bo przypominam sobie ostatnie spotkanie ze zjawą z tajemnej komnaty. Nie zapomniałam ani tego, że próbowała mnie udusić, ani przerażonych wrzasków Boone'a, gdy go dorwała. A jeżeli nadal tu jest i czeka na kolejną ofiarę? Kurna. Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zapuściłam się na jej terytorium.

Włączam latarkę w komórce i mam nadzieję, że przypomnę sobie, które tunele prowadzą do grobowca w lesie. Nie mija nawet minuta od mojego wejścia do tego ciemnego labiryntu, gdy za moimi plecami rozlega się cichy jęk i owiewa mnie chłodny podmuch. Przyspieszam i staram się nie poddawać panice, która wypełnia mój umysł.

– Vivienne, nie zdołasz przede mną uciec. – Słyszę gdzieś z tyłu bezcielesny głos zjawy, którą uwolniłam.

Kuźwa. Rzucam się biegiem na oślep. Zjawą rechocze w pobliżu, ale już nie wiem, z której strony docierają do mnie te dźwięki.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyczę.

– Uwolnij nas – syczy.

Niespodziewanie po moim ramieniu prześlizgują się zimne pazury, aż piszczę.

– Daj nam swoją krew – szepcze niedaleko od mojego ucha.

Jak ostatnia idiotka odwracam się i oświetlam zjawę latarką. Wtedy naprawdę wrzeszczę. Jest jeszcze straszliwsza, niż zapamiętałam. Rozkładająca się skóra, ciemne dziury zamiast oczu i najdłuższe, najostrzejsze kły, jakie w życiu widziałam. To duch wampirzycy. Powinnam się była domyślić.

Wyciąga do mnie szpony zbyt szybko, żebym mogła zareagować. Zrobi ze mnie taką samą sieczkę jak z Boone'a. Już ma mnie dotknąć, gdy wtem cały tunel wypełnia się jaskrawym niebieskim światłem. Zjawą wycofuje się z wrzaskiem i znika.

Podskakuję, kiedy czuję dotyk ciepłej, materialnej dłoni.

– Spokojnie, to tylko ja – mówi Aurora. – Chodźmy stąd. Ona zaraz wróci.

– Nie... nie wiem, gdzie jest wyjście.

– Schody prowadzące do instytutu są przed nami.

– Nie wracam tam.

– Uciekasz? – pyta z niedowierzaniem.

– Muszę uwolnić brata.

Rzuca pod nosem wiązankę, a potem oznajmia:

– Dobra, idę z tobą. Przyda mi się odpoczynek od tych krwiopicców.

– Musimy dotrzeć do starego cmentarza. Jest tu taki tunel, który prowadzi do grobowca. – Powietrze robi się chłodniejsze, mimo że pozostaje nieruchome. Obejmuję się w pasie, nadal kierując światło telefonu przed siebie. – Wszystkie te tunele wyglądają tak samo.

– Cicho. Nic nie mów. Czegoś spróbuję. – Aurora zamyka oczy i po kilku sekundach na jej czole pojawia się świecący symbol w kształcie sierpa księżycy. Kiedy otwiera oczy, one też lśnią białym światłem.

Dziwaczne.

Po chwili wracają do normy.

– Już wiem. Chodźmy – decyduje.

Mam nadzieję, że wie, dokąd mnie prowadzi. Kilka razy skręcamy i wydaje mi się, że coraz bardziej się gubimy. Według zegarka w komórce idziemy tak już od prawie dziesięciu minut. Nie pamiętam, żeby droga do grobowca zajęła mi aż tyle czasu.

– Vivienne – woła ponownie duch.

– Słyszałaś to? – Oglądam się za siebie.

– Tak. Już prawie jesteśmy na miejscu.

– Vivienne!

Kieruję latarkę na zjawę i widzę, jak gna w naszą stronę tunelem.

– Nadciąga!

Aurora ciągnie mnie za ramię przed siebie.

– Idź tędy. Schody do grobowca są na końcu tego tunelu.

Mięśnie spinają mi się tak bardzo, że przez moment w ogóle nie mogę się poruszyć.

– No już! Biegnij i nie oglądaj się – krzyczy mi w twarz, po czym odwraca się, żeby się uporać z morderczą zjawą.

Ponaglona rozkazem przełamuję paraliż i rzucam się biegiem, zmuszając mięśnie do niemal nadludzkiego wysiłku. Rozlega się kolejny wrzask, a potem krzyk, który brzmi tak, jakby się wyrwał z gardła Aurory. Cholera. Powinnam zawrócić, ale na nic się nie zdam. Nie mam mocy ani broni umożliwiających walkę z duchem. Wreszcie widzę schody. Zmuszam się do przeskakiwania co trzy stopnie i w końcu wynurzam się w mrocznym grobowcu. Przez zamknięte drzwi do zakurzonego wnętrza nie dostaje się światło słoneczne. Na szczęście nie są zaryglowane od zewnątrz.

Popycham je, padam na przerośniętą trawę i chwasty i z trudem chwytam powietrze. Serce tak wysoko podeszło mi do gardła, że aż mi niedobrze. Kiedy obok mnie ląduje drugie ciało, nawet nie mam siły, żeby obrócić głowę.

– Cholera, ta zjawa jest silna – rzuca Aurora, której najwyraźniej też brakuje nieco tchu.

– Słyszałam twój krzyk.

Czarownica siada, podwija rękaw i odsłania paskudną ranę.

– Udało jej się mnie dosięgnąć.

Zmuszam się, żeby usiąść, ale nudności mi jeszcze nie przeszły.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. – Ze skórzanej torby wyciąga szklaną fiolkę i polewa ranę jej zawartością. Krzywi się, ale to jedyna oznaka bólu z jej strony. Nie wydaje z siebie żadnego dźwięku.

– Co to?

– Taki ogólny eliksir oczyszczający. Nie mam pojęcia, czy jej szpony nie mają w sobie jakiejś trucizny. Ostrożność nie zaszkodzi.

– Wyglądała jak duch wampirzego zombie. Była przerażająca.

– Niezły opis. – Chowa pustą fiolkę do torby i odwraca się do mnie. – No to jaki masz plan?

Wstaję, a potem wyciągam rękę, żeby pomóc czarownicy.

– Teraz potrzebujemy podwózki. Będą na nas czekać na końcu drogi.

– Oni? – Unosi brew.

– Członkowie mojego zespołu. Cheryl i Vaughn.

– No tak, byłeś kiedyś w zespole, tak?

– Owszem, Nocturnal.

Śmieje się pod nosem.

– Trafna nazwa.

– A wracając do ducha. Nie boisz się, że będzie nas ścigać?

– Nie. Sądzę, że twoja krew uwolniła tę sukę z więzienia, ale nie oderwała od towarzyszy, którzy nadal są uwięzieni w komnacie. Tak więc zjawa będzie tkwić w katakumbach, dopóki wszyscy nie zostaną uwolnieni.

– A kluczem jest moja krew – pry cham drwiąco. – Świetnie.

– No, masz przerabane.

– A czym w ogóle są te duchy?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Matka i dyrektor są bardzo enigmatyczni w tym temacie.

Prawo do poznania prawdy zyskam chyba dopiero po śmierci matki, gdy sama zostanę Najwyższą Czarownicą.

– Boże. Straszne.

– No. Moje życie zacznie się dopiero po odejściu mojego jedyne go rodzica. Zarąbiście.

Najwyraźniej nikt nie ma łatwego życia – a przynajmniej nikt mający jakikolwiek związek ze światem nadprzyrodzonym.

– Dobrana z nas para, co?

– No.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie.

– Dlaczego mnie nie wydałaś, kiedy odkryłaś, że jestem człowiekiem i tylko udaję wampirycę?

– Poznałaś dyrektora. Uznałam, że nigdy nie wpuściłby cię do instytutu bez konkretnej przyczyny. Więc nie chciałam nic paplać, zanim nie zdobędę dokładniejszych informacji.

– A wiesz może, co to może być za przyczyna?

Aurora zatrzymuje się gwałtownie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Czy w czasie twoich rozmów z Manu albo Luccą wypłynął temat ciąży na nim klątwy?

Unoszę brwi.

– Klątwy? Jakiej znowu klątwy?

– Czyli nie. – Patrzy prosto przed siebie z marszem na twarzy. – Wszystko zaczyna się w końcu układać w całość.

– Niby co? Zaczynam się bać.

– Wiele stuleci temu Lucca zabił kapłankę Nightingale'ów, wypił całą jej krew, do ostatniej kropli. To najpoważniejsza zbrodnia, jakiej może się dopuścić wampir.

Nagle zapiera mi dech w piersi, ale nie dlatego, że jestem zbulwersowana. Ta opowieść wydaje mi się znajoma. A to przecież niemożliwe. Niby gdzie mogłam ją usłyszeć?

– To nie była jego wina – mówię podniesionym tonem, chociaż skąd mogłabym to wiedzieć.

Czarownica marszczy brwi.

– Skąd ta pewność?

– Przeczucie?

Potrząsa głową i ignoruje mój wybuch.

– Cóż, prawidłowe, bo to rzeczywiście nie była jego wina. Księgi historyczne twierdzą, że odniósł straszne rany w wielkiej bitwie i stracił mnóstwo krwi. Jego matka była tak zdesperowana, że podstępem nakłoniła kapłankę do nakarmienia go. Ponieważ Lucca był na granicy śmierci, aktywowała się u niego żądza krwi, więc nie mógł przestać pić, dopóki biedaczka nie zmarła.

Serce bije mi mocno i coraz wolniej. To się właśnie stanie, jeżeli Lucca będzie żerować na mnie. Nic dziwnego, że wczoraj tak się zachował.

– Na czym polega klątwa?

– Będzie umierać powoli i w cierpieniu. Jego siła życiowa stopniowo zanika. Musi spać dłużej

niż większość wampirów, a po przebudzeniu szybko słabnie. Teraz wydaje się potężny, ale za rok będzie inaczej.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałby nie przypominać tego boskiego królewskiego, jakim jest teraz.

– A można ją jakoś przełamać?

– Tak. Lucca musi znowu napić się krwi Nightingale’a i go nie zabić. Ale problem w tym, że krew Nightingale’ów zawsze będzie wywoływać u niego żądzę krwi. Lucca jest skazany na wypicie całej jego krwi. A jeśli to zrobi, skaże swoją duszę na wieczne potępienie. Moim zdaniem to gorsze od powolnego umierania.

– A jeżeli zapanuje nad żądzą krwi i nie zabije?

– To przełamie klątwę.

Teraz wszystko nabiera sensu. To ja jestem tym Nightingale’em, który ma moc ocalić go albo całkowicie zniszczyć, i nie mogę absolutnie nic na to poradzić.

– Przykro mi – mówi Aurora.

– Wiem. Mnie też.



37. Vivienne

Gdy docieramy z Aurorą na umówione miejsce, van zespołu stoi już na poboczu. Cheryl i Vaughn wysiadają, chociaż tylko jedno z nich jest całkiem przytomne. Chłopak zakrywa usta, żeby ukryć ziewnięcie. Jest już po jedenastej, ale założę się, że położył się spać dopiero po wschodzie słońca. To typowa sowa. Byłby z niego idealny wampir.

Cheryl podchodzi do mnie pierwsza i mnie ściska.

– Cholera, Vivi. Nie wierzę, że udało ci się tak długo przeżyć w tej koszmarnej akademii.

– Nie jest tak źle. No i miałam pomoc.

Odsuwa się i wbija we mnie intensywne spojrzenie zielonych oczu. Skoro już wiem, że jest zmiennokształtna, to dostrzegam w nich cechy wilka.

– Karla? – zgaduje.

– Między innymi.

– Kim jest twoja koleżanka? – Vaughn patrzy ponad moim ramieniem.

– Jestem Aurora, jedna z tych innych. – Posyła mi złośliwy uśmiech.

– Jesteś córką Najwyższej Czarownicy – dodaje Cheryl.

– No. – Wzrusza ramionami.

Nagle całkiem rozbudzony Vaughn podchodzi do niej niespiesznie.

– Co ci się stało w rękę?

– To tylko zadrapanie.

– Próbując się wymknąć, wpadliśmy na ohydneho ducha – wyjaśniam.

Chłopak robi wielkie oczy.

– Tam są też duchy?

– Nie mów, że się ich boisz. – Aurora unosi brew.

Vaughn próbuje się otrząsnąć, ale nie jest w stanie ukryć nagle pobielełej twarzy.

– Ja? Boję? Oczywiście, że nie.

Cheryl znowu skupia uwagę na mnie.

– Jak ci się udało ukraść Luce naszyjnik?

Nie pamiętam, żebym wspomniała jej o szczegółach umowy z Larssonem.

– Skąd wiesz, że miałam to zrobić?

Zaciska usta, a jej oczy zdradzają głębokie poczucie winy.

– Proszę, nie wściekaj się na mnie.

– Co zrobiłaś?

– Niedawno przyłapałam Luccę na myszkowaniu po twojej przyczepie. Powiedziałam mu, że Larsson dorwał twojego brata. Kiedy rzucił się do jego siedziby, zadzwoniłam w kilka miejsc i tak dowiedziałam się o twojej umowie.

– A więc to ty wygadałaś się Luce. Myślałam, że Karl.

– Lucca chciał wiedzieć, co robisz w instytucie. Pomyślałam, że jeśli powiem mu, że masz ważny powód, to cię nie skrzywdzi.

No i nie skrzywdził. Zrobił coś gorszego. Podbił moje serce.

– Czyli ty pewnie też znasz go już od dłuższego czasu, co? – zmieniam temat, by ukryć naturę swoich myśli.

Cheryl zerka na Vaughna, ale on nie zwraca na nas uwagi, bo zagaduje Aurorę. O kurka. Chłopak nie wie, że Cheryl i Karl to zmiennokształtni.

– Powinniśmy już jechać – dodaję.

Nagle czuję się niepewnie na myśl, że mam się udać do Ember Emporium. Nie obawiam się spotkania z Larssonem, tylko konfrontacji z moim bratem. Mam tyle pytań na temat naszego dziedzictwa. Najbardziej interesuje mnie to, dlaczego próbował ukryć nasze pochodzenie.

W czasie jazdy rozmowę dominuje Vaughn. Jest zafascynowany Aurorą, co mnie nie zaskakuje.

Ma słabość do ładnych dziewczyn. A czarownicy jego uwaga najwyraźniej nie przeszkadza. Sprawia wrażenie całkiem innej osoby, znacznie bardziej przyjaznej i przystępnej. Może w instytucie wszyscy muszą nosić maski, żeby przetrwać.

Kwadrans później Cheryl parkuje przed siedzibą bossa smoków, tuż obok licznych motocykli, których nie było tu w czasie mojej pierwszej wizyty.

– O tej porze bar nie może być przecież otwarty – zauważa wilczyca.

– Może mają spotkanie gangu. – Aurora wygląda przez okno. – Jeszcze nigdy nie byłam w miejscówce smoków.

– Och, super – odpowiada Vaughn.

Kładę rękę na klawiszach i mówię:

– Chodźmy. Im szybciej wejdziemy, tym szybciej będziemy mogli się zmyć.

Totalnie udaję tę odwagę. Zmartwienia leżą mi na żołądku niczym śmieciowe jedzenie, którego nie da się strawić.

– Nie powinnaś najpierw zadzwonić do Larssona i uprzedzić go o wizycie? – pyta Vaughn. – Wiesz, żebyśmy przez przypadek nie stali się przekąską smoków.

– Dobra.

Nie mam numeru bossa smoków, więc dzwonię na telefon brata. Połączenie zostaje przekierowane na pocztę głosową.

– Komórka Rikkona musiała paść.

– No to nie ma wyjścia, idziemy. – Cheryl wysiada, zanim ktokolwiek może coś dodać.

Dołączam do niej i czekamy na resztę. Przez chwilę tylko gapimy się na fasadę budynku. Gdzieś tam w środku Larsson trzyma mojego brata. Mam nadzieję, że Rikkon już pozbył się dragów z organizmu, bo inaczej możemy mieć problem.

– Gotowi czy nie, wchodzimy. – Otwieram drzwi i szykuję się mentalnie na to, co mogę zobaczyć wewnątrz.

Po paru krokach się zatrzymuję i nie wiem, co dalej. Aurora miała rację. Muszą mieć jakieś spotkanie, bo nigdy nie widziałam tylu pakerów w jednym miejscu.

Większość ma na sobie skórzane kamizelki i spodnie, a na twarzach wredne miny. Oczywiście wszyscy odwracają się w naszą stronę.

– Ktoś jeszcze ma wrażenie, że nie powinniśmy tak tu wparowywać? – pyta Vaughn i przysuwa się do mnie.

– Co tam, dzieciaki? Zgubiliście się? – rzuca starszy zmiennokształtny z łysą głową i długą siwą brodą. Większość jego prawej ręki pokrywa tatuaż smoka, który wygląda jak żywy.

Odchrząkuję, żeby nie zabrzmieć jak przerażona dziewczynka.

– Chcę się widzieć z Larssonem.

– Jezu. – Smok odwraca się do pozostałych. – Nie wiedziałem, że szef szuka teraz lasek w przedszkolu.

Niektórzy się śmieją, inni tylko mruczą coś pod nosem. Ja niemal rzygam.

– Jest w swoim biurze, mała. Na zapleczu – informuje mnie barman, który wyciera jakąś szklankę. Kolejny pretendent do tytułu Mistera Universe: wielki jak dąb i z niebotycznymi bicepsami.

– Uu, ładniutki – szepcze mi do ucha Cheryl.

Coś w tym jest, przypomina Henry'ego Cavilla z *Dynastii Tudorów*, ale to naprawdę nie czas, żeby pożerać kogokolwiek wzrokiem. A już zwłaszcza smoka.

– Poważnie? – irytuje się Aurora.

– No co? Nie jestem ślepa.

Ignoruję je obie i ruszam za bar, rozmyślnie unikając wlepionych we mnie spojrzeń. Docieram do drzwi z napisem „Personel” i gdy nikt nie zachodzi mi drogi, otwieram je i idę dalej korytarzem. Do pomieszczenia, które prawdopodobnie jest gabinetem Larssona, prowadzi mnie dźwięk podniesionych męskich głosów. Staję przed progiem i oglądam się przez ramię.

– Ej, a gdzie Cheryl?

– Pić jej się zachciało – odpowiada z niejakim wyrzutem Aurora.

Kręcę głową, ale postanawiam się nią nie przejmować. Jest wilczycą i już długo żyje na tym świecie. Potrafi o siebie zadbać.

Robię długi wydech, żeby się uspokoić, po czym pukam.

– Kto to? – pyta Larsson.

– Vivienne, siostra Rikkona.

W mgnieniu oka drzwi otwierają się szeroko i staje w nich boss smoków. Nie ma dziś na sobie marynarki, tylko białą koszulę na guziki, do kresu możliwości rozciągniętą na szerokiej piersi. Nie chcę być jak Cheryl i gapić się pożądliwie na każdy zgrabny tyłek, jaki się nawinie, ale naprawdę trudno nie zauważyć muskulatury tego smoka.

Staram się nie wzdygnąć pod jego badawczym spojrzeniem, lecz kiedy przenosi je za mnie, w końcu swobodnie oddycham.

– Masz towarzystwo – stwierdza.

– Przyniosłam naszyjnik. – Przechodzę od razu do sedna, zanim postanowi wyrzucić moich towarzyszy.

Mruży powieki, a potem się odsuwa.

– Wejdźcie.

Muszę trzymać szczękę, żeby mi nie opadła. Gabinet Larssona – jeżeli tę gigantyczną przestrzeń można w ogóle nazwać gabinetem – jest dwupoziomowy z atrium na środku. Stanowi połączenie salonu gier i baru sportowego: są tu automaty, kilka płaskich telewizorów, stół do bilarda, piłkarzyki, kilka skórzanych kanap i mnóstwo, ale to mnóstwo kolorów.

– Wow! – Vaughn gapi się na wszystko z zachwytem godnym dziecka w fabryce czekolady.

– Cholera. To dopiero przebodźcowanie. – Aurora pociera czoło. – Już łapie mnie ból głowy.

Larsson przechodzi za czarne biurko i rozsiada się w wygodnym skórzanym fotelu. Splata palce i kładzie dłonie na brzuchu.

– No to gdzie jest ten naszyjnik?

– Najpierw chcę zobaczyć brata.

– Pokaż naszyjnik. – Jego twarz pozostaje bez wyrazu, ale głos nie znosi sprzeciwu.

Jako że nie mogę sobie zbyt pozwolić na to, żeby go wkurzyć, wyławiam medalion z kieszeni i bujam nim przed sobą. Postawa bossa natychmiast się zmienia. Prostuje się i szerzej otwiera oczy.

Bez słowa podnosi prawą dłoń i daje sygnał komuś, kogo do tej pory nawet nie zauważyłam. Nagle dostrzegam przynajmniej czterech skrytych w cieniu współpracowników Larssona.

Jezu, ktoś tu chyba ma paranoję. Co niby zmiennokształtnym smokom mogłoby zrobić dwoje ludzi i jedna czarownica?

Po chwili wraca ten osobnik, który wyszedł, i prowadzi za ramię jakiegoś cherlawca.

– Rikkon! – Podbiegam do brata, nadal kurczowo trzymając naszyjnik w dłoni.

Brat podnosi głowę i ukazuje wychudłą twarz, bladą skórę i ciemne sińce pod oczami.

– Vivi – mruczy.

Tulę go, mimo że smok nadal mocno go trzyma.

Rikkon obejmuje moje plecy wolnym ramieniem i opiera policzek na moim barku.

– Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz.

Chociaż jestem przeszczęśliwa, że tym razem udało mi się uratować mu tyłek, jednocześnie wściekam się, że znowu postawił mnie w takiej sytuacji.

Głośne chrząknięcie ściąga mnie na ziemię. Puszczam brata i odwracam się.

– Oto zapłata. – Rzucam Larssonowi naszyjnik.

Znika w jego wielkiej dłoni i żal ściska mi serce. To była ostatnia rzecz, jaka została Luce po matce.

– Wiesz, ile ten naszyjnik znaczy dla poprzedniego właściciela? – Nawet nie kryję pogardy w swoim głosie.

Boss smoków przeszywa mnie piorunującym spojrzeniem, ale zdążyłam się już na nie uodpornić w instytucie. Nie robi na mnie żadnego wrażenia.

– Gwarantuję ci, że ma większą wartość dla mnie niż dla Lukki Della Morte.

– Wątpię.
– Dobra – przerywa nam Vaughn. – Rikkon jest wolny, a smok otrzymał zapłatę. Powinniśmy się zmywać.

– Tak, proszę, chodźmy – dodaje mój brat.
– Ostrzegam cię, gnojku. – Larsson podnosi głos. – Jeżeli znowu przyłapię cię na handlu na moim terenie, nie będę już tak litościwy.

Rikkon błędnie jeszcze bardziej. Z trudem przełyka ślinę, aż podskakuje mu jabłko Adama.

– Skończyłem z tym gównem.

– Taa, jasne. Wynoście się już. Mam dość patrzenia na jego żalostną facjatę.

Aurora i Vaughn są już za drzwiami, gdy Larsson mnie woła. Macham Rikkonowi, żeby szedł za nimi, a sama odwracam się do bossa smoków.

– Co?

– Powiedz Lucce, że jego rodzinny klejnot jest w dobrych rękach.

Wpatruję się w niego przez chwilę zdziwiona, że w jego spojrzeniu dostrzegam coś na kształt smutku.

– No chodź już, Vivi, idziemy – ponagla mnie Rikkon.

Ruszam za nim, ale kiedy docieramy do głównej sali Ember Emporium, nadal rozmyślam nad ostatnią uwagą Larssona. Aurora i Vaughn się zatrzymali i czegoś szukają. Odwracam się w stronę baru i zauważam za nim innego pracownika.

– Gdzie jest Cheryl? – pytam.

Cholera jasna. Oczywiście musiała sobie poplirtować. Wątpię, żeby wydarzyło się cokolwiek wbrew jej woli, ale to ona prowadzi samochód.

Wybieram jej numer i czekam w nieskończoność, aż w końcu odbiera.

– Halo?

– Gdzie ty, do diabła, jesteś?

– O, już skończyliście? – Wyraźnie brakuje jej tchu.

W tle słychać niedwuznaczne postękiwanie i ciężki oddech. O mój Boże.

Zasłaniam usta ręką i szepczę:

– Czy ty właśnie posuwasz barmana?

W odpowiedzi głośno jęczy. Krzywiąc się i piekąc raka, każę jej się pospieszyć i kończę rozmowę.

Zauważam, że Aurora, Vaughn i Rikkon się na mnie gapią.

– Niech zgadnę – mówi Aurora. – Poprosiła barmana, żeby ją oprowadził.

– Coś w tym stylu – mamroczę.

Po chwili Cheryl wychodzi do nas, kołysząc biodrami i przeczesując włosy palcami. Barman idzie za nią i wsuwa koszulę w spodnie.

Kuźwa. Już bardziej popisywać się nie mogli?

– Długo czekaliście? – Zgrywa niewiniątko.

Aurora kręci głową.

– Zmiennokształtni.

– Jedźmy. Nie chcę się tu zasiedzieć. – Zerkam nerwowo na niebezpieczną zgraję, która ciągle podejrzliwie nas obserwuje.

– Oj, nic nam nie grozi. – Cheryl macha lekceważąco ręką.

– Nie wierz w nic, co mówi postorgazmiczna Cheryl – stwierdza dla odmiany Vaughn.

– Tak sobie teraz myślę, że lepiej nie wierzyć w nic, co mówi Cheryl, kropka – odpowiada Aurora.

Normalna Cheryl by się na to obraziła. Postorgazmiczna tylko wzrusza ramionami i się uśmiecha.

Wyciągam jej kluczyki z torebki.

– Raczej to Vaughn powinien prowadzić.

Musimy zaprowadzić ją do wyjścia, bo najwyraźniej zapomniała, jak się chodzi. Ale za to macha barmanowi jak głupia, aż zaczynam się zastanawiać, czy on na pewno jest tylko smokiem. Może ma też

krew inkuba.

Kiedy już wszyscy siedzimy w vanie, Vaughn pyta, dokąd ma jechać.

Chcę mu powiedzieć, że do instytutu, ale skoro wykupiłam już Rikkona, to nie mam powodu, by tam wracać. No, fakt, Jacques chce mojej głowy, ale nie wie, że nie jestem wampirzycą. Moje serce jednak nie potrzebuje żadnych zewnętrznych motywów. Pragnę jeszcze raz zobaczyć Luccę, nawet jeśli tylko po to, żeby się pożegnać.

– Do domu oczywiście – odpowiada Rikkon.

– Tak, jedźmy do domu – mówię, nie podnosząc wzroku.

Cheryl siedzi obok kierowcy, a ja z bratem i Aurorą z tyłu. Zapada wymowna cisza, tak gęsta, że można by zrobić z niej sushi. Mam całe mnóstwo pytań do Rikkona, ale nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Za to czuję, jak czarownica intensywnym spojrzeniem wypala mi dziurę w skroni.

Decyduje się odezwać dopiero wtedy, gdy wyjeżdżamy z terytorium smoków, co zbliża nas do osiedla przyczep, a tym samym również do instytutu.

– Mamy dużo czasu do zmroku. Uważam, że powinnaś porozmawiać z bratem i dopiero wtedy podjąć decyzję.

– O co chodzi? Jaką decyzję? – dopytuje Rikkon.

Przenoszę uwagę na przednie siedzenia. Nie chcę, żeby ktoś więcej dowiedział się o płynącej w moich żyłach krwi Nightingale'ów, nawet Cheryl, a już z pewnością nie Vaughn. Ta wiedza mogłaby się okazać dla nich niebezpieczna.

Aurora patrzy w tę samą stronę i chyba odgaduje moje myśli, bo podnosi rękę i wymawia zaklęcie w jakimś obcym języku. Z jej dłoni wylatuje kula energii, która się rozszerza w jarzącą się ścianę między nami a przodem samochodu, po czym znika.

– Możesz już swobodnie mówić. Nic nie usłyszą.

– Fajna sztuczka – stwierdza Rikkon. – Ale po co te tajemnice?

– Wiem o naszym pochodzeniu – przechodzę od razu do sedna.

Twarz brata wyraża czystą dezorientację.

– A co tu można wiedzieć?

– Daj spokój, Rik. Jesteśmy potomkami Nightingale'ów, a ty użyłeś zaklęcia, żeby o tym zapomniała. Po prostu się przyznaj.

Otwiera i zamyka usta jak ryba wyjęta z wody. W końcu rzuca:

– Kim niby są ci Nightingale'owie? Vivi, gadasz zupełnie bez sensu.

– O cholera – mruczy Aurora.

– Co?

– Pamiętasz to zdjęcie, które mi pokazałaś? Rikkon też miał na ręce bransoletkę z takimi samymi amuletami. Chyba sam nic nie wie.

Splatam palce. Głupio mi, że sama na to nie wpadłam.

– Nie ma jakiegoś zaklęcia, które przywróciłoby nam wspomnienia?

– Może jest. Ale musiałabym zapytać...

Van niespodziewanie się zatrzymuje. Uderzam głową o oparcie fotela Cheryl.

– Kurna! – Aurora nachyla się pomiędzy przednie siedzenia. Jej magiczna bariera migocze, a potem faluje i znika. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Ee, nie widzisz? – odpowiada Vaughn.

Muszę odepchnąć ją nieco na bok, żeby wyrzeć na drogę, bo van nie ma bocznych szyb. Przed nami wisi wielka ściana szarej mgły.

– Cholera, skąd to się wzięło?

– Znikąd. Nawet nie jest dziś zbyt zimno. Czy to normalna mgła?

Z tajemniczego oparu wyłania się ciemna postać. Nie jestem w stanie określić jej płci, bo ma na sobie ciemną szatę z kapturem, który zasłania twarz.

– Kto to jest? – pytam.

– Kurde! To zbuntowany mag – odpowiada Aurora. – Vaughn, zabierz nas stąd natychmiast!

Chłopak wrzuca wsteczny bieg, ale kiedy wciska gaz, samochód ani drgnie.

– Kuźwa!

– Brzmi to tak, jakby koła kręciły się w błocie – rzuca Rikkon.

– Wcześniej nie było żadnego błota – zauważa Cheryl.

Mag znika, ale mgła postępuje. Coraz bardziej zbliża się do vana. Otoczy go w ciągu następnej minuty.

– Wysiadać! – Aurora przyskakuje do bocznych drzwi z zamiarem otworzenia ich. Kiedy je przesuwają, szara mgła zdecydowanie zbyt szybko wlewa się do środka.

Nagle trudno mi zebrać myśli i ruszać się w normalnym tempie.

– Co się dzieje? – pytam, gdy zaczynam widzieć podwójnie.

– Magiczna mgła. – Aurora kaszle. – Pułapka. – Upada i znika mi z pola widzenia.

Całe wnętrze samochodu jest już wypełnione mgłą.

– Rikkon!

– Jestem. – Obejmuje mnie. – Wszystko będzie dobrze. Wszystko...

Jego uścisk słabnie i brat opiera się o mnie bezwładnie. Staram się zwalczać wpływ mgły, ale powieki robią mi się za ciężkie. Zamykam oczy i pogrążam się w pustce.



38. Vivienne

Czuję się tak, jakbym pływała w próżni, i nagle budzi mnie gwałtowne potrząsanie.

– Vivienne! Wstawaj! – ponagla ktoś.

Mrugam, żeby odzyskać ostrość widzenia. W półmroku jest to trudne. W końcu dostrzegam przed sobą spanikowaną twarz Aurory.

Siadam i przecieram oczy.

– Co się stało?

– Zostaliśmy odurzeni.

Obok mnie Rikkon podnosi się z jękiem.

– Dlaczego jest tak ciemno?

– Bo zapadła już noc. – Aurora zaczyna wyciągać różne rzeczy z torby, walcząc z drżeniem rąk.

Cheryl obraca się na siedzeniu, żeby na nas spojrzeć.

– Jak się czujecie?

– Zamroczeni, ale nie najgorzej – odpowiadam.

– Vaughn, uruchom silnik. Musimy natychmiast wracać do instytutu – rozkazuje czarownica.

– Dlaczego? Jedźmy do domu – protestuje mój brat.

Słyszę charakterystyczny dźwięk przekręcanego w stacyjce kluczyka, ale van nie odpala.

– Do diabła! Chyba padł akumulator.

O, ludzie. Niedobrze.

– Może do kogoś zadzwonimy? – Wyciągam telefon, ale na widok czarnego ekranu czuję się tak, jakby ktoś mnie zdzielił. – Komórka mi padła.

– Mnie też – mówi Cheryl.

– I mnie – dodaje Vaughn.

– Dobra, jasne jest, że nie wezwiemy pomocy. Myślmy szybko – rzuca Aurora.

– Dlaczego ktoś chciałby nas tu uwięzić? – pyta Rikkon.

Chwytam jego dłoń i ściskam.

– Narobiłam sobie potężnych wrogów, Rik. Wśród paskudnych wampirów z królewskich rodów, którzy pewnie chcą mnie teraz dorwać.

Robi wielkie oczy, a potem totalnie mnie zaskakuje, gdy zwraca się do Aurory:

– Masz w torbie jakąś broń, którą mógłbym pożyczyć?

Czarownica podaje mu niewielki sztylet.

– Trzymaj. Wiesz, jak go używać?

– Walić w nich ostrym końcem? – Uśmiecha się złośliwie.

– Ciii! – przerywa Cheryl. – Ktoś się zbliża.

Wymieniam z Aurorą spojrzenia.

Trudno mi oddychać.

– Jacques?

– Albo Boone. Tak czy inaczej, mamy przechłapanie – odpowiada. – Nie mam dla ciebie kolejnego sztyletu, ale weź to. – Podaje mi szklaną fiolkę. – To wampomor. Jeżeli jakiś krwiopijca za bardzo się zbliży, wepchnij mu go do gardła.

Przyjmuję buteleczkę i próbuję zignorować coraz mocniej skręcający się żołądek i zaciskające się gardło. Czuję, jak zaczyna mnie otulać i przytłaczać znajoma panika. Ale ulegnięcie obeształniącym emocjom może się dziś okazać zabójcze.

– Zbliża się przynajmniej piątka wampirów, ale inni mogą się znajdować poza moim zasięgiem – oznajmia Cheryl i dodaje: – Nie jesteśmy zbyt daleko od instytutu. Możemy z Aurorą ich spowolnić, a wy, Vivi, Vaughn i Rikkonie, spróbujcie do niego dobiec.

– Nie zamierzam uciekać – stwierdza Rikkon. – Pomogę wam ich odeprzeć, niech biegną Vivi i Vaughn.

Cheryl unosi brwi.

– To chyba...

– Nie! – przerywam jej. – Rikkon musi iść ze mną.

Wbijam wzrok w Aurorę z nadzieją, że ona zrozumie moją decyzję. Jeżeli moja krew ma moc, którą wampiry mogą wykorzystać w niegodziwych celach, to takie same właściwości ma również krew mojego brata.

– Dobra. To nawet lepiej, że nie będę musiała nikogo niańczyć – odpowiada wilczyca. – Musicie uciec, zanim nas otoczą. Gotowi?

– Uda ci się – zwraca się do mnie Aurora. – Biegnij, ile sił w nogach, i nie oglądaj się.

Oczy mnie pieką, ale nie chcę płakać.

– A ty sobie poradzisz?

– Tak. Jestem czarownicą, pamiętasz? Mam w zanadrzu kilka sztuczek.

– Dzięki, że o mnie też się martwisz – narzeka Cheryl.

– Cicho bądź. Oczywiście, że się martwię.

– Cholera! Widzę ich. Idźcie! Już! – Wysiada z samochodu, a ja po chwili słyszę charakterystyczne wilcze warknięcia.

Boczne drzwi są już otwarte, więc wyskakujemy z Rikkonem na zewnątrz i spotykamy się z Vaughnem za samochodem. Popelniam błąd i spoglądam w las. Kiedy dostrzegam czerwony błysk oczu kilku wampirów, mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa.

– Chodźże! – Brat ciągnie mnie za rękę w przeciwną stronę.

Biegniemy najszybciej, jak się da, ale jesteśmy na tyle blisko, że słyszymy początek walki. Cheryl i Aurora ryzykują życie, żeby umożliwić nam ucieczkę, a ja czuję się niegodna ich poświęcenia. Powinnam była się poddać i ocalić ich wszystkich. Co ze mnie za samolub.

– Musimy się trzymać głównej drogi – ostrzega Vaughna Rikkon.

Czuję na karku gęsią skórkę. Ktoś nas goni. Czy to oznacza, że moje koleżanki nie żyją? Łzy zamazują mi obraz, a w gardle wzbiera szloch. Nagle drogę zalewa światło reflektorów. Jakiś samochód zbyt szybko pokonuje zakręt.

– Vaughn! Uważaj!

Opony piszczą, a do mojego nosa dociera zapach palonej gumy. Potem siła uderzenia odrzuca Vaughna na pobocze.

– Kurwa! – krzyczy Rikkon.

Kierowca wypada na jezdnię.

– Nie zauważyłem go! Pojawił się znikąd.

Ignorujemy go i sprawdzamy stan Vaughna. Próbuje wstać, ale ma głęboką ranę na udzie.

– Chodź. Musimy iść – ponagla Rikkon.

– On potrzebuje lekarza – protestuje nieznajomy. – Nie pójdę siedzieć...

Krzyk. Potem bulgotanie świadczące o tym, że ktoś tonie we własnej krwi.

Jeden z wampirów zabił kierowcę, rozrywając mu gardło. Drugi zbliża się z prawej. Białe włosy, płomienna czerwień obłąkanych oczu. Boone. Zalewa mnie zimne odrętwienie. To już. Teraz mnie zabije.

Rikkon staje przede mną i mnie odpycha.

– Idź, Vivi. Już!

Vaughn podskakuje na jednej nodze, nigdzie już nie pobiegnie.

– Wezwij pomoc – mówi.

Rzucam się na oślep do lasu otaczającego drogę. To najkrótsza trasa do instytutu, ale nie mam złudzeń: nie dotrę tam, Boone mnie dogoni. Moją jedyną szansą jest dostanie się do grobowca i nadzieja, że wampirze zombie znowu mi pomoże.

Puls krwi w uszach tłumi wszelkie inne dźwięki, ale wiem, że Boone mnie ściga i jest coraz bliżej. Odkorkowuję fiolkę i odwracam się akurat w chwili, w której wampir rzuca się na mnie z otwartymi ustami i kłami gotowymi rozerwać mnie na strzępy.



Lucca

Wracam do instytutu, gdy tylko zachodzi słońce, i jak można się było tego spodziewać, nie kieruję się do swojego apartamentu. Skręcam prosto do Vivienne, bo cały dzień bez niej okazał się znacznie trudniejszy do zniesienia, niż się spodziewałem. I to nie z powodu głodu. Chcę znowu mieć ją w ramionach, tęsknię za zapachem jej włosów, za jej kształtnym ciałem wtulonym w moje.

W swoim długim nieśmiertelnym życiu poznałem niezliczone wampirzyce i kobiety, przeleciałem wiele z nich, ale żadna nigdy nie wzbudziła we mnie takiej namiętności ani pragnienia, by spędzić resztę życia u jej boku. To naprawdę okrutny żart, że zakochałem się akurat w potomkini Nightingale'ów, w kobiecie, którą klątwa każe mi zabić.

Jest wczesny wieczór, ale jej apartament okazuje się pusty. Wiem, że Manu, Saxon i Ronan spędzili cały dzień w naszej posiadłości, gdy zorientowali się, że pojechałem do wuja. Żadne z nich nie chciało się znaleźć blisko mnie w czasie naszej mocno spóźnionej konfrontacji. Ale Vivienne powinna tu być.

Kierując się przecuciem, szukam w jej pokoju swojego naszyjnika. Nigdzie go nie ma, tak samo jak jej telefonu. Kurwa mać. Musiała za dnia pojechać do Ember Emporium. Jeżeli w końcu odzyskała brata, to nie ma najmniejszego powodu, żeby tutaj wracać. Nawet mimo zagrożenia ze strony Boone'a i Jacques'a najmądrzejszym wyjściem dla niej byłoby opuszczenie Salem już na zawsze.

Powinienem się cieszyć, że odeszła. Ale w piersi czuję pustkę, niemal jakby zabrała ze sobą moje serce. Siadam przybity na łóżku i przyciągam poduszkę do twarzy, żeby się zaciągnąć jej zapachem, który nadal nie zwietrzał. Nigdy nie chcę zapomnieć, jak ona pachnie.

Dzwoni mój telefon. Zerkam na ekran i na widok numeru siostry ignoruję połączenie. Niedługo przyjadą tu całą trójką i będą mnie maglować. Po chwili komórka odzywa się ponownie. Tym razem widzę nieznaną numer i kusi mnie, żeby ją po prostu wyłączyć. A jeśli to Vivienne?

– Lucca przy telefonie.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że pana niepokoję, ale złapaliśmy osobę, która próbowała się zakraść na teren instytutu. Twierdzi, że jest pana znajomą.

Zrywam się podminowany.

– Jak się nazywa?

– Cheryl Eriksson.

Żołądek skręca mi się boleśnie ze strachu. Cheryl nigdy nie zjawiłaby się tu bez ważnego powodu.

– Tak, znam tę osobę. Wpuście ją.

Po chwili milczenia ochroniarz dodaje:

– Jest rozgorączkowana. Chyba ktoś ją zaatakował i mówi zupełnie bez... Ej!

W tle słyszę szamotaninę i nagle z głośnika płynie głos wilczycy:

– Lucca, Vivi ma kłopoty.

Dopiero co myślałem, że nie mam już serca, a teraz ono wali mi mocno w piersi. Wypadam z mieszkania z maksymalną prędkością, mocno przyciskając telefon do ucha.

– Boone i jego sługusy złapali nas w zasadzkę – ciągnie Cheryl. – Nie wiem, czy Vivi dotarła w jakieś bezpieczne miejsce. Aurora powstrzymała atak, a ja przybiegłam po pomoc.

Rozłączam się, kiedy docieram do głównej bramy. Ubranie Cheryl jest w strzępach, a na jej ciele widzę mnóstwo zadrapań i ugryzień. Przeszła piekło, ja jednak łapię ją za ramiona i potrząsam.

– Gdzie ona jest?

– Byliśmy na Arlington Road, tuż przed Widow's Peak Bend. Vivi, jej brat i Vaughn mieli tu przyjść.

A jednak nigdy tutaj nie dotarli.



Vivienne

Wpycham fiolkę z wampomorem w usta Boone'a i ranię dłoń na jego ostrych zębach. Wampir się dusi, zwala na mnie i razem upadamy na ziemię. Wspomaga mnie adrenalina, więc udaje mi się go z siebie zrzucić, ale trzęsę się tak mocno, że nie jestem w stanie szybko poderwać się na nogi. Odsuwam się na czworakach, aż docieram do drzewa, na którym mogę się wesprzeć. Boone wije się na ziemi, a kiedy przewraca się na bok, dostrzegam rękojeść miecza wystającą z jego pasa. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy nie spróbować go wykraść, ale ostatecznie postanawiam jak najbardziej oddalić się od wampira.

Biegnę i nie oglądam się za siebie. Wypadam spomiędzy drzew na stary cmentarz. W mroku majaczy ciemny kształt grobowca. Odważę się znowu zapuścić do katakumb? Bez Boone'a depczącego mi po piętach nie wydaje mi się to najlepszym pomysłem. Ta zjawia nie ma wobec mnie dobrych intencji. Z deszczu pod rynnę. Cholera!

Niedaleko ode mnie pęka gałązka. Serce natychmiast podchodzi mi do gardła. Obracam się gwałtownie i telepię tak okropnie, jakbym miała padaczkę. Kiedy spomiędzy drzew wyłania się ciemna postać o płonących na czerwono oczach, uginają się pode mną kolana. Nie mam już więcej trucizny. Nie mam ostrza, nie mam nic, co mogłoby posłużyć mi za broń.

Postać rozmywa się w pędzie i nagle jestem miażdżona o znajomą pierś: Lukki.

– Nic ci nie jest, nic ci nie jest – mamrocze mi w czubek głowy.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Poruszyłbym góry, wstrząsnął strukturą wszechświata, byle tylko do ciebie dotrzeć.

Unoszę dłoń do jego twarzy, ale zapominam o świeżej ranie. Jego nozdrza się rozszerzają, a ciało natychmiast tężeje.

O nie. Kłątwa. Żądza krwi.

Nadal jestem sparaliżowana tą świadomością, gdy Lucca odpycha mnie i odwraca się do Boone'a, który wziął się znikąd.

Słyszę jęk bólu i widzę, jak Lucca zgina się wpół.

Boone nachyla się do niego i szepcze mu do ucha:

– Ciągle mam miecz wykuty z wampomorem, chuju.

– Nie! – Krzyk wyrywa mi się aż z trzewi.

Boone cofa ramię i wtedy widzę zakrwawione ostrze. Lucca pada na kolana i zwiesza nisko głowę, a Boone łapie miecz oburącz i unosi go wysoko, żeby zadać ostateczny cios.

Jestem zbyt daleko, nie zdążę dobiec, by go powstrzymać. Wampir przenosi na mnie spojrzenie i uśmiecha się okrutnie.

– Ani mi się waży odwracać wzrok. Masz widzieć, jak odcinam twojemu chłopakowi głowę. A później niespiesznie połamię każdą kość w twoim ciele.

Lucca zrywa się na nogi z okrzykiem i uderza Boone'a w pierś. Ale zamiast go powalić, przytrzymuje go jedną ręką, a drugą odbiera mu miecz. Nie rozumiem, dlaczego Boone się nie porusza, dopóki Lucca nie cofa ręki. Wtedy jego przeciwnik pada na ziemię, a w dłoni Lukki zostaje coś ciemnego i tłustego – serce Boone'a.

Nie mam jednak okazji napawać się kłęską tego dupka. Lucca pada tuż po nim, wyrwane serce wylatuje mu z ręki.

– Lucca! – Podbiegam na drżących nogach i niemal rzucam się na niego.

Mimo że przez łzy widzę niewyraźnie, od razu dostrzegam, że jego siły życiowe słabną, a otwarte oczy znowu są brązowe i szkliste.

Chwytam go za ramiona i wciągam sobie na kolana.

– Lucca, błagam, nie opuszczaj mnie.

Podnosi na mnie wzrok i chce dotknąć mojej twarzy, ale jego ręka w połowie drogi opada z powrotem na ziemię.

– Nie chcę cię zostawiać, kochanie. Ale jeżeli ktoś ma dzisiaj umrzeć, to muszę to być ja.

– Nie! Nie możesz umrzeć. Nie pozwolę ci.

– Przepraszam za wszystko, co ci zrobiłem, Vivi. Kocham cię. Mocniej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Powieki zaczynają mu się zamykać. Jego organizm się wyłącza, wpada w hibernację, a to oznacza, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

Klątwa. Muszę ją przełamać.

Pocieram krwawiącą dłońią o jego usta w nadziei, że rozbudzę żądzę krwi. Lucca otwiera oczy, które ponownie błyszczą na czerwono. Chwyta mnie stanowczo za ramię i gryzie. Nie krzyczę, mimo że to boli. Jeżeli istnieje chociaż cień szansy, że moja krew go ocali, dam mu ją całą. Lucca ssie mocno, po czym popycha mnie i przygwaźdża do ziemi. Przysuwa kły do mojej szyi. Nie całuje mnie w nią, nie pieści. Przebija mi skórę z brutalną siłą, a potem pije, aż mój świat pogrąża się w mroku.



39. Vivienne

Powiedziano mi, że mam się nie zbliżać do pola walki, że nie powinnam pomagać w wojnie, która toczy się od wielu pokoleń. Ale jestem dziedziczką rodu Gael i udzielenie pomocy wampirom z królewskich rodów, którzy poświęcili swoje życie, by ocalić nasze, jest moim obowiązkiem. W moich żyłach płynie moc mojej matki, gotowa do uwolnienia.

Dociera do mnie zapach przelanej krwi. Zbliżam się do miejsca, w którym zasłona rozdzielająca nasze światy jest najcieńsza, i maskuję się przed przekroczeniem tej niewidzialnej bariery.

Wchodzę na wzgórze i widzę w dolinie oddziały dwóch skłóconych dynastii królewskich. Siły Raphaela i Tatiany. Nie wiem, co zapoczątkowało wojnę między nimi, ale robi się ona coraz krwawsza i coraz bardziej niszczyielska. Moja matka i rodziny królewskie pozostałych krain Nightingale'ów w większości są niezadowolone z zachowania stworzeń, które same powołały do życia. Nie pozwolą, by konflikt ciągnął się dłużej, a podjęta przez nich decyzja będzie druzgocąca.

Mrużę powieki i przeczesałam pole bitwy w poszukiwaniu kogoś, kto dał mi odwagę do sprzeciwienia się rozkazom matki, chociaż sam o tym nie wie. Lucca Della Morte, siostrzeniec króla Raphaela. Nigdy nie byłam na tyle śmiała, żeby mu się ukazać. Ale świadomość, że Królewska Rada Nightingale'ów ma zamiar ukarać wszystkie wampiry, w końcu dała mi niezbędny impuls.

Nigdy nie może nas nic połączyć. Królewska Rada Nightingale'ów postawiła sprawę bardzo jasno, gdy stworzyła pierwsze wampiry. Jesteśmy dla nich zakazani. Ale ani razu nie powiedzieli, że nie mogę ostrzec Lukki przed tym, co ma się wydarzyć.

Kiedy w końcu go znajduję, serce mi zamiera. Lucca leży na plecach, a z jego piersi wystaje kilka strzał. Nie widzę w pobliżu żadnego z jego przyjaciół, a wróg się zbliża. Staję się powietrzem, pokonuję dzielącą nas odległość i w sekundę materializuję się przed leżącym. Żołnierz przeciwnej strony, który szarżował na niego, zwalnia na mój widok. Nie jest przedstawicielem rodów Blueblood, ale wie, kim jestem.

Unoszę dłonie i ziemia pod jego stopami znika. Wampir wpada w dziurę, a ja zamykam ją nad nim i zakopuję go żywcem. W końcu odwracam się do Lukki, który już nie leży spokojnie. Znowu stoi i wywija mieczem, siekąc nieprzyjaciół.

Czyjaś dłoń łapie mnie gwałtownie za ramię i obraca.

– Co ty tu, do diabła, robisz, Vryenn?

Uwalniam ramię z uścisku Rikkona.

– Przyszłam ostrzec króla Raphaela przed tym, co planuje matka.

– Kłamczucha. Jesteś tu, bo zakochałaś się w wampirzym księciu. – Brat przeszywa mnie nieugiętym wzrokiem.

Zaciskam zęby. Nie ma sensu temu przeczyć. Rikkon zbyt dobrze mnie zna.

– Musimy wracać, zanim matka się dowie, że przeszłaś na drugą stronę zasłony – ciągnie.

– *Po tej stronie są inni Nightingale'owie. Dlaczego ja nie mogę zostać?*

– *Bo jesteś córką królowej Maewe. Twoje miejsce jest w Ellnesari.*

Twarz Rikkona się rozmywa i nagle znajduję się w innym miejscu bez niego. Leżę na plecach i wpatruję się w całkowicie czarne niebo. Przy mnie klęczy Lucca. Pije moją krew, a ja nie mam siły się odezwać. Czuję, jak uchodzi ze mnie siła życiowa. Ciemność znowu zaczyna mnie przyciągać. Już niewiele mi pozostało.

– *Nie zignorujesz ponownie mojego rozkazu, Vryenn! Jesteś córką rodu Gael.*

– *Błagam cię, matko. Nie rób tego. Nie wszystkie wampiry są złe. Król Raphael i jego zwolennicy nadal próbują się zachować właściwie. To Tatiana oszalała.*

– *Milcz! Decyzja już zapadła. Zapieczętujemy przejścia do świata śmiertelników i zabierzemy magię ze sobą.*

– *W takim razie nie zostanę w Ellnesari.*

Niedaleko od nas rozbrzmiewa grzmot pioruna. To wściekłość mojej matki.

W jej oczach błyszczy furia. Zbliża się do mnie i mówi:

– *Jesteś gotowa odwrócić się od swojego ludu, żeby zostać z tymi potworami?*

– *Jeżeli są potworami, to dlatego, że sama ich nimi uczyniłaś – prycham.*

Raptowny ruch dłonią rzuca mną przez całą salę tronową. Uderzam w kryształową tafelę i roztrzaskuję ją w drobny mak. Jej kawałki przebijają mi skórę, ale nie krwawię. Potrząsam głową, wstaję i piorunuję matkę wzrokiem.

– *Matko, proszę. Uspokójmy się. – Rikkon staje między nami.*

– *Ja jestem spokojna i jasno myślę. To twojej siostrze coś się pomieszało.*

– *Nic mi się nie pomieszało. – Unoszę podbródek. – Jeżeli zapieczętujesz wszystkie portale, ja zostanę na ziemi śmiertelników.*

Twarz matki wykrzywia się w nienawiści. Sprzeciwiam się jej po raz pierwszy w bardzo długim życiu.

– *Jeśli to zrobisz, zostaniesz z niczym. Nie będziesz mieć rodowego nazwiska ani mocy. Będziesz żyć wiecznie jako żaloszny człowiek, który nie może umrzeć.*

Nagle czuję, że moją pierś powoli przebija sztylet. Ból jest ostry i koszmarny.

– *Nie możesz odebrać jej mocy. Bez nich oszaleje – sprzeciwia się Rikkon.*

– *To jej wybór.*

Robi mi się ciężko na żołądku, a niewidzialny sztylet wbija się już głęboko. Królowa Maewe

uważa, że się przed nią ugnę, ale najwyraźniej mnie nie docenia.

– Wolę już żyć całą wieczność bez mocy, niż spędzić choćby jedną kolejną minutę w twojej obecności.

– Vryenn, nie. Nie rób tego – błaga mnie brat.

– Milcz! Widać, że podjęła decyzję. Niniejszym skazuję Vryenn na wygnanie z Ellnesari. Na zawsze.

Błękitne oczy Rikkona jaśnieją od wzbierających w nich łez. Zerka na królową – nie będę więcej nazywać jej matką – a potem zaskakuje mnie i staje u mojego boku.

– W takim razie musisz skazać na wygnanie również mnie.



Lucca

Krew ma pamięć, więc widzę wszystko. Vivienne jest nie tylko Nightingale'ówną, ale też następczynią samej Maewe. Przeżywam jej wspomnienia i szokuje mnie odkrycie, że była obecna w moim życiu już wcześniej, a ja nic o tym nie wiedziałem.

Patrzę, jak męczy się przez pierwsze dziesięciolecia wygnania, jak przenosi się z miasta do miasta, by ukryć to, że się nie starzeje. Rikkon, teraz zaledwie cień istoty, którą był niegdyś, wiernie trwa u jej boku. On też został pozbawiony mocy i powoli stracił rozum. Myślałem, że to na nas Nightingale'owie nałożyli surową karę, ale to nic w porównaniu z tym, co Maewe zrobiła własnym dzieciom. Tylko istota zupełnie pozbawiona serca mogła uczynić coś takiego. Rodzeństwo cierpiało, gdy ich śmiertelni przyjaciele starzeli się i umierali. Całe lata byli żebrakami.

Dlaczego do nas nie przyszli? Wuj nie odmówiłby im pomocy.

Ostatecznie to Rikkon zdobył zczarowane bransoletki. Przekonał Vivi, że będzie im łatwiej, gdy zapomną, kim są. Nawet zmienił im nazwisko z Gael na Gale. Zakłęcie się nie sprawdziło. Wręcz wszystko pogorszyło. Nie tylko odebrało im wspomnienia dotyczące prawdziwego pochodzenia, ale też zapewniło nowe i koszarne.

Dostrzegam pierwszy atak wampira na Vivienne. Nie była młodsza, jak jej się wydaje, ani nie została mu sprzedana przez matkę. Tamta kobieta po prostu handlowała ludźmi. Gdyby Rikkon nie wpadł w szal i go nie zabił, stałoby się najgorsze.

A teraz to ja ją zabijam, a wszystko przez okrutne gierki Maewe. Umysł wrzeszczy na mnie, żebym przestał. Serce mi krwawi, umiera z każdym kolejnym haustem krwi Vivienne, który przełykam. Jej puls słabnie. Może i jest Nightingale'ówną, ale umrze przeze mnie, nie przetrwa, jeżeli wydrenuję ją do cna.

Zostaję wciągnięty w kolejne wspomnienie. Odwiedziła mnie wkrótce po tym, jak zostałem przeklęty. Opłakiwałem śmierć matki. Wychodziłem z siebie. Zwyzywałem ją skandalicznymi słowami. Moje serce zżerała nienawiść. Teraz już się nie dziwię, że nie zwróciła się do nas o pomoc.

Sprzeciwiła się matce i porzuciła swój świat, bo mnie kochała. A ja tak się jej odpłacam? Pozwalając jej matce po raz kolejny wygrać?

Nie! Maewe nie zabierze mi też Vivi.

– Nie! – krzyczę z całych sił, aż mój głos odbija się echem w ciemnym lesie.

Przestaję żerować.

Oddycham ciężko i nie myślę jasno, ale jedno jest oczywiste: głód zniknął.

Serce zamiera mi na chwilę, a potem wznawia pracę w zawrotnym tempie.

Vivi.

Ma zamknięte oczy i przeraźliwie bladą twarz. Przyciągam ją do siebie i przystawiam ucho do

jej piersi w poszukiwaniu bicia serca. Na początku nic nie słyszę.

Nie żyje.

Zabiłem ją.

Jak to więc możliwe, że nadal tu jestem, a nie już w drodze do piekieł? Nie. To o wiele gorsza kara.

Zaciskam pięści na jej kurtce i przytulam jej bezwładne ciało jeszcze mocniej.

Jedno uderzenie. Potem drugie. Nie ośmielam się oddychać. Serce bije jej słabo, ale bije.

– Vivi, miłości moja. – Dotykam jej policzka. – Obudź się.

Powieki jej drgają i w końcu je unosi.

– Lucca?

Nie wiem, czy się roześmiać, czy rozplakać.

– To ja, kochanie.

– Ty żyjesz – mówi zadziwiona.

– Tak, teraz już tak.

Miażdżę jej usta swoimi, przelewając w ten pocałunek kłębiące się we mnie emocje. Daję z siebie wszystko, tak samo jak ona.

– Błagam, już nigdy mnie nie zostawiaj – szepczę.

– Odbiło ci? Kocham cię od stuleci. Skoro wreszcie cię zdobyłam, nie pozwolę ci odejść.

– Więc wszystko pamiętasz?

– Chyba przełamując klątwę, przełamałeś też zaklęcie.

Muskam jej twarz opuszkami, niemal nie śmiem wierzyć, że jest rzeczywista.

– Kocham cię.

Zamyka oczy i głośno wzdycha. Po jej policzkach spływają dwie wielkie łzy.

– Długo czekałam, żeby usłyszeć od ciebie te słowa.

– Lepiej przyzwyczaj się do tego, że je słyszysz, bo nigdy nie znudzi mi się ich powtarzanie.

Chwile czułości przerywa nam odgłos biegnących istot. Zrywam się na równe nogi i ciągnę za sobą Vivienne. Obnażam kły i wysuwam szpony, jestem gotowy unicestwić wszelkie nowe zagrożenia. Ale łapię zapach nadciągających.

Na starym cmentarzu pojawiają się Manu i Ronan, co przypomina nam, że przełamanie klątwy to nie jest obecnie nasz jedyny problem.

– Dzięki Bogu, jesteście cali. – Pierwsza dobiega do nas moja siostra, przeskakując nad ciałem Boone'a.

– Chodźcie z nami, natychmiast – dodaje Ronan.

– Co się stało? Chodzi o Rikkona? – pyta Vivi.

– Nie, o twój kolegę Vaughna – odpowiada Manu z cieniem żalu w oczach. – Nie zostało mu dużo czasu.



40. Vivienne

Lucca musi mnie zanieść do Vaughna, bo jako bezsilna nieśmiertelniczka jestem zbyt powolna. Gdyby kochana mamusia nie pozbawiła mnie mocy, mogłabym się zamienić w wiatr i sama dotrzeć tam z prędkością światła. Ale nie mam czasu rozwodzić się nad swoim gorzkim losem, skoro mój przyjaciel leży w kałuży własnej krwi i umiera na moich oczach.

Kuca przy nim Aurora, która na pierwszy rzut oka nie ma żadnych poważniejszych ran, tylko kilka zadrapań. Rikkon stoi oparty o drzewo i trzyma się za ramię owinięte prowizorycznym bandażem przesiąkniętym krwią. Poza tym nie widzę żadnych wyraźnych obrażeń. Wygląda na to, że mój brat i czarownica mieli szczęście, w przeciwieństwie do biednego Vaughna.

Padam obok niego na ziemię i chwytam go za rękę. Próbuje się nie gapić na rozcięty brzuch i wylewające się z niego jelita.

– Jak się trzymasz, Vaughn? – pytam.

– Już nie czuje bólu – odpowiada Aurora. – Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

Chłopak odwraca ku mnie głowę i uśmiecha się, mimo że ma spękane usta.

– Vivi, nic ci nie jest.

– Jestem cała, ty też się wyliżesz. Karetka zaraz przyjedzie.

Karl i Cheryl biegną do nas w wilczej postaci, przemieniają się niedaleko i ostatnie metry pokonują na dwóch nogach. Karl odsuwa włosy z twarzy i wpatruje się w Vaughna z udręką, która szybko przeradza się w złość.

– Boże drogi. – Cheryl zakrywa usta dłońmi, po jej policzkach spływają łzy.

Ja starałam się je powstrzymać, ale nie jestem wystarczająco silna.

– Ej, dlaczego płaczecie? Nic mi nie b... – Kaszle krwią, a ja nie mogę już na niego patrzeć.

Przenoszę spojrzenie na zakrwawioną ziemię i tłumię szloch.

– Niech któryś z krwiopijców wreszcie coś zrobi! – krzyczy Cheryl.

– A niby co, Cheryl? – pyta sfrustrowany Ronan.

– Przemieni go.

Podnoszę wzrok na Luccę, chociaż doskonale wiem, że wampiry już nie mają tej mocy. W jego oczach widzę poczucie winy, mimo że całkiem bezpodstawne. Nie przez niego ją utracili, tylko przez moją matkę.

– Musicie spróbować! – nalega Cheryl.

– Nawet nie wiesz, czy on chciałby zostać wampirem – wtrąca się Rikkon i patrzy na nią gniewnie.

– Umieram? – pyta Vaughn.

– Tak – odpowiada Aurora. – Przykro mi.

Chłopak na chwilę zamyka oczy.

– Nie jestem na to gotowy. Nie mogę zostawić mamy i siostr. Potrzebują mnie.

– Ja to zrobię – oferuje Lucca i zbliża się do chłopaka.

– Luc – karci go Manu. – Wiesz, że to już niemożliwe.

– Jeżeli istnieje jakakolwiek szansa powodzenia, to właśnie w moim przypadku – odpowiada.

Aurora się odsuwa i Lucca zajmuje jej miejsce. Kłami otwiera własne żyły. Ciemna krew wypływa szybko z nadgarstka i kapie na porwaną koszulę Vaughna.

– Musisz to wypić. – Przytyka rękę do ust chłopaka. – Jak najwięcej.

Początkowo Vaughn ledwo ma siłę ssać i przełykać, ale gdy tylko krew Lukki dostaje się do jego organizmu, idzie mu coraz łatwiej. Pociąga mocniej, aż w końcu wampir wykrzywia się z bólu. Twarz chłopaka przestaje przypominać wymizerowaną maskę śmierci, a po chwili również rana brzucha zaczyna się zasklepić.

– O mój Boże. Nie wierzę własnym oczom. – Manu opada szczęka.

Kiedy zielone oczy Vaughna robią się karmazynowe, Lucca cofa rękę i przyciska ją do piersi.

Panuje absolutna cisza. Nawet las wydaje się cichszy. Wszyscy wpatrują się w chłopaka. Vaughn siada powoli i ze zadziwieniem sprawdza brzuch oraz ramiona. Ale nagle cały tężeje, wykrzywia się i odsłania całkiem nowe kły.

Lucca odsuwa mnie od niego w mgnieniu oka, podczas gdy Ronan, Saxon i Manu skaczą na niego tuż przed tym, jak rzuca się na czarownicę.

– Co się dzieje? – pytam.

– Żądza krwi. Wszystkie nowe wampiry ją przechodzą.

Vaughn syczy i wije się na ziemi, próbując się uwolnić. Aurora zrywa się na równe nogi. W dłoni ściska jakiś kamień, a jej oczy znowu tak dziwnie świecą.

– Puśćcie go na trzy – nakazuje.

– Odbiło ci? Nie możemy go puścić. Rzuci się na ciebie – odpiera Saxon.

– Puśćcie go. Dobrze wiem, co robię. Gotowi? Raz, dwa, trzy. Teraz!

Wszystkie trzy wampiry odskakują od Vaughna, a on zrywa się jak obłąkane zwierzę i warczy, gotowy zjeść kogoś na kolację. Aurora wali chłopaka prosto w pierś lśniąca kulą energii, czym przewraca go z powrotem na plecy.

– Kurna! Co mu zrobiłaś? – Cheryl podbiega sprawdzić, co z naszym przyjacielem. – Jest nieprzytomny.

– Musiałam go unieszkodliwić. Może i nigdy wcześniej nie widziałam świeżo przemienionego wampira, ale o nich czytałam. W ciągu pierwszych godzin są najsilniejsze.

– Mogliśmy go trzymać – stwierdza Saxon.

– Jak długo? Poza tym musi się szybko napić krwi, i to nie z żywego stworzenia. Widzicie tu gdzieś worki z krwią? – Teatralnym gestem rozpościera ręce.

Teraz, gdy Vaughn został unieruchomiony, w końcu to do mnie dociera.

Obracam się w ramionach Lukki i napotykam jego spojrzenie.

– Udało ci się. Stworzyłeś nowego wampira. Jak sądzisz, co to oznacza?



41. Lucca

Żaden dobry uczynek nie pozostaje bezkarny. Przełamałem klątwę, ocaliłem życie Vivienne i jej przyjaciela, a pieprzona Rada Instytutu Bloodstone martwi się tylko o reperkusje, jakie może mieć to, że w obronie własnej zabiłem Boone'a. Od ponad godziny sterczę pod badawczymi spojrzeniami jej członków. Najpierw kilkakrotnie musiałem powtarzać, co się wydarzyło, aż zyskali całkowitą pewność, że moja opowieść trzyma się kupy. A teraz muszę wysłuchiwać ich kłótni na temat tego, co zrobić z Vaughnem. Jest już dzień i zaraz padnę z wyczerpania.

Poza tym czeka na mnie Vivienne, a ja zdecydowanie bardziej wolałbym spędzić dzień z nią, a nie z tym trojgiem fagasów. Pewnie powinienem być wdzięczny, że Jacques nie ma już wstępu na teren instytutu.

– W porządku. Wszyscy zgadzamy się, że na razie nie ujawnimy, iż Vaughn jest świeżo przemienionym wampirem – oznajmia Solomon.

– To najroztropniejszy wybór. Nie chcemy dawać wampirom fałszywych nadziei, że znowu mają moc zmieniania ludzi, bo to mogłoby się skończyć serią zabójstw – dodaje Morgan.

Nie mam argumentów przeciwko tej decyzji. Ludzi można przemienić tylko wtedy, gdy znajdują się na granicy śmierci. Nie byliśmy w stanie tego robić od tak dawna, że z całą pewnością teraz mielibyśmy do czynienia z nagłym wzrostem prób.

Moje spojrzenie podchwytuje Isadora.

– Lepiej nie próbuj zmieniać nikogo innego. Lucco. Możliwe, że to była jednorazowa sytuacja.

– Wierz mi, nie mam zamiaru tworzyć kolejnych wampirów. Mogę już iść?

Wszyscy troje wymieniają się spojrzeniami.

W końcu Solomon odpowiada:

– Tak, możesz wrócić do swojego apartamentu, ale nie opuszczaj terenu instytutu. Wszyscy wiemy, że śmierć Boone'a była zasłużona i uzasadniona, ale Jacques mimo wszystko nie puści jej płazem.

– Nie złamałem zasad przymierza. Nie może rościć sobie praw do korony mojego wuja.

– Dla Jacques'a to nie ma znaczenia – odpowiada Isadora.

– Jeżeli zechce wszcząć wojnę, to jestem na to gotowy.

Morgan kręci głową.

– Może tobie nie przeszkadza, że wróciłyby czasy krwi i zniszczenia, ale większość naszego gatunku tego nie chce. Pamiętaj o tym.

Przygryzam język, żeby nie odszczeknąć. Nie chcę tracić kolejnej godziny na bezsensowną kłótnię. Będzie na to mnóstwo czasu w przyszłości.

O tej porze korytarze są puste. Każdy mieszkający tu wampir jest u siebie. Kieruję się prosto do Vivi z nadzieją, że Manu nie ma albo przynajmniej zamknęła się w swojej sypialni. Moje życzenie zostaje spełnione: salon jest pusty. Kiedy do moich nozdrzy dociera zapach Vivienne, a ja nie czuję głodu, serce przyspiesza mi z podekscytowania. Klątwa naprawdę została przełamana.

Ponownie zastaję Vivi na łóżku otoczoną księgami.

Opieram się o framugę, splatam ręce na piersi i krzyżuję nogi w kostkach.

– Nigdy nie uważałem cię za kujonkę, ale dłużej nie da się tego ukrywać.

Po jej policzkach rozlewa się smakowity pas, który rozpala ogień w moich trzewiach. Do ust napływa mi ślinka, ale to nie jej krwi teraz pożądam.

– Jak poszło spotkanie? – Wstaje, czym przyciąga moją uwagę do swoich długich, zgrabnych nóg.

Podchodzę do niej jak najwolniej, co wymaga ode mnie nie lada samokontroli. Mam wrażenie, że odkąd ją poznałem, ciągle biegam wszędzie pędem. A bez wiszącej mi nad głową klątwy chcę niespiesznie podziwiać każdy skrawek ciała Vivienne.

– Okropnie, ale nie mówmy teraz o nim. – Chwytam ją wpół i przyciągam do siebie.

Jej gładkie, ciepłe ciało idealnie pasuje do mojego. Coś w mojej piersi zaskakuje, jakiś brakujący kawałek mojego serca wreszcie wpada na swoje miejsce.

Vivienne przechyla głowę i przesywa mnie enigmatycznym spojrzeniem. Na jej czole tworzy się delikatna zmarszczka, którą mam ochotę wygładzić.

– Marszczysz brwi. To już niedozwolone.

– Co teraz zrobimy, Luc? Nikt nie może się dowiedzieć, że Rikkon i ja jesteśmy Nightingale'ami.

– Gdzie on teraz jest?

– Z Cheryl i Karlem. – Jej oczy przepełnia smutek.

Gładzę ją po policzku, mając nadzieję, że wie, iż może na mnie liczyć.

– Nie chcę, żebyś była smutna.

Robi urywany wydech.

– Nic na to nie poradzę. Rikkon jest teraz przeze mnie ćpunem. Matka ostrzegła nas, że stracimy rozum, jeżeli tu zostaniemy. A on i tak się na to zdecydował tylko po to, żebym nie była sama. – Opuszcza wzrok na moją szyję. – To moja wina, że jest w takim stanie.

Wsuwam jej palec pod brodę i ją unoszę.

– Nie, nie twoja. Rikkon dokonał wyboru, mając doskonałą świadomość konsekwencji. Ani mi się waży mieć z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Ale on nadal niczego nie pamięta. Jeżeli zakłęcie dało takie okropne wspomnienia mnie, to jemu na pewno też.

– Znajdziemy sposób, żeby je przełamać. A teraz koniec z tą czarną rozpaczą. Pomyślimy o problemach jutro.

– A co ze mną? Nie mogę ciągle udawać wampirzycy, a ty nie możesz chodzić z człowiekiem.

– A kto tak twierdzi?

– Jesteś księciem.

– A ty księżniczką. Idealna z nas para.

– Nie jestem już księżniczką, tylko bezwartościową biedotą z przyczepy.

Tym razem to ja marszczę brwi.

– Nie mów tak. Nie jesteś bezwartościową biedotą, tylko najwartościowszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jesteś moją duszą, słońcem mojego nocnego serca.

Jej niebieskie oczy robią się jaśniejsze.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki poeta.

Uśmiecham się.

– Wydobywasz ze mnie to, co najlepsze.

Staje na palcach i całuje mnie w brodę.

– Teraz chcę wydobyć to, co najgorsze.

Kły wysuwają mi się w pełni – to automatyczna reakcja na pobudzenie seksualne. Vivienne nie krzywi się ani nie tężeje, tylko obejmuje moją twarz dłońmi i całuje mnie bez wahania. Kiedy moje kły muskają jej język, wydaje z siebie jęk, który trafia mnie prosto w fiuta, a ten jeszcze bardziej rośnie i twardnieje, jeżeli to w ogóle możliwe.

Z zaborczym pomrukiem rzucam nas na łóżko i lądujemy na tych cholernych księgach. Twarda oprawa jednej z nich wbija mi się w bok, ale za bardzo zatracam się w Vivienne, by się tym przejmować. Nie chcę jednak, żeby jej było niewygodnie, więc niechętnie przerywam pocałunek i zrzucam je z materaca.

– Wiesz, niektóre z tych ksiąg są niemal tak stare jak my.

Unoszę kąciki ust i wsuwam dłoń pod jej bluzkę.

– Ty jesteś ode mnie starsza, prawda? Czyli co, jesteś kuguarzycą?

Szeroko otwiera swoje piękne oczy.

– Ej! Nie jestem żadną ku... – Przerywa i gwałtownie wciąga powietrze, gdy szczypię ją w sutek.

– Co mówiłaś?

– Och, masz ochotę na gierki? – Rozpina mi jeansy i sięga po moją buławę.

Syczę, kiedy owija wokół niej palce i kciukiem pociera jej czubek.

– Żadnych gierek. Chcę cię tylko pieprzyć do nieprzytomności.

Chwytam ją za nadgarstek i wyciągam jej rękę ze swoich spodni.

– Ej! – protestuje, lecz uciszam ją językiem.

Nie hamuję się, ale dokładnie jej pokazuję, co planuję. Chcę jak najszybciej ją rozebrać, więc porzucam jej usta i całuję ją coraz niżej i niżej. Wygina plecy i wsuwa mi palce we włosy. Ściągam z niej spodnie dresowe i jednocześnie wkładam głowę między jej nogi. Nie mogę się doczekać, aż znowu jej skosztuję, a jest tak cholernie pyszna, że chcę jej zrobić wszystko, co tylko przychodzi mi na myśl, i to naraz. Jedną ręką sięgam do jej piersi, a palce drugiej zanurzam w jej wnętrzu, liżąc i ssąc jej fechtaczkę.

– Dobijasz mnie.

– Nigdy – mruczę.

Krzyczy i wyrzuca z siebie sprośne słowa, które sprawiają jedynie, że jeszcze bardziej jej pożądam.

– Kurna. – Wyskakuję na sekundę z łóżka, żeby zerwać z siebie spodnie, po czym wracam między jej nogi i zanurzam w niej fiuta. Powinienem zwolnić, dłużej napawać się tą chwilą, ale Vivienne robi wszystko, co w jej mocy, żeby mnie ponaglić. Unosi kolana, oplata mnie nogami, a paznokciami drapie po plecach. Zupełnie jakby udzieliła jej się moja dzikość. Jestem zachwycony.

– Luc – wysapuje.

– Tak, kochanie?

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. – Ma półprzymknięte oczy i zarumienione policzki.

Mam nadzieję, że nie poprosi, abym zwolnił, bo to będzie trudne.

Zaraz rozsadzi mi jaja i niedużo brakuje mi do finiszu, więc w odpowiedzi mogę tylko mruknąć.

– Nie chcę, żebyś był delikatny – mówi.

– Nie wiedziałem, że jestem. – Wysuwam się z niej niemal do samego końca i od razu wbijam się w nią mocno, na co ona reaguje cudownym dźwiękiem.

Całuje mnie w kącik ust, a potem szepcze mi do ucha:

– Chcę, żebyś mnie ugryzł.

Natychmiast przestają się ruszać, chociaż nie sądziłem, że to będzie możliwe.

– Vivi, nie wiem, czy...

Kładzie mi palec na wargach.

– Ciii. Przełamałeś klątwę. Nie musisz się bać mojej krwi. Nightingale'ów cechuje okrucieństwo, ale nie są oszustami.

Do ust napływa mi ślinka, lecz mimo wszystko się waham. Vivienne nadal ma na szyi ślad po moim bezlitosnym ataku.

Może odgaduje moje myśli albo dostrzega rozterki w moich oczach, bo wyciąga do mnie nadgarstek.

– Chcę poczuć miłosne ugryzienie wampirów. Proszę.

Cholera. Nie mogę odmówić, gdy tak na mnie patrzy niczym bogini seksu, której jedyną misją jest kuszenie mnie.

Ujmuję jej rękę i najpierw przeciągam językiem po nadgarstku, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Kiedy znowu się z niej wysuwam i ponownie w nią wbijam, wydaje z siebie gardłowy jęk, który posyła moje libido na niebotyczny poziom.

Nadszedł czas próby ostatecznej, która potwierdzi, czy najgorsze pięćset lat mojego życia faktycznie dobiegło końca. Wgryzam się w miękkie ciało Vivienne i moje usta zalewa najśłodszy nektar. Nie mogłem docenić smaku jej krwi, gdy pochłaniała mnie jej żądza, ale teraz czuję się tak, jakbym umarł i trafił prosto do nieba.

Pożądanie owija mi się wokół podstawy kręgosłupa i dochodzi do nieuniknionego. Orgazm uderza z siłą tsunami i rozbija moje ciało na tysiące kawałków. Ciska mnie na dno morza z ogłuszającym hukiem. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że ten hałas to puls w moich uszach.

Vivienne krzyczy, a ja chcę zapamiętać ten dźwięk na wieczność. Cała się trzęsie i trzyma się mnie tak mocno, że chyba robi mi siniaki. Przystaję pić, kiedy fala jej orgazmu odpływa, a ona sama się rozluźnia. Ponownie przejeżdżam językiem po jej nadgarstku, żeby zamknąć ranę, a potem padam obok niej. Jestem totalnie wyczerpany, ale jeszcze nigdy nie czułem się aż tak żywy.



42. Vivienne

~ TRZY DNI PÓŹNIEJ ~

Na razie mieszkam w instytucie, dopóki wszystko się nie uspokoi. Odkąd Lucca zabił Boone'a, atmosfera znowu zrobiła się gęsta i możliwe, że niedługo rozejm przestanie obowiązywać. A to oznacza, że nadal muszę udawać wampirycę, co jest dalekie od ideału, lecz teraz przynajmniej jest mi łatwiej. Mogę trzymać w apartamencie jedzenie i mam wsparcie przyjaciół Lukki. Ale dalsze szkolenie się na wartowniczkę już odpada. Ronan, tajemniczy jak zawsze, twierdzi, że wymyślił dla mnie coś innego.

Manu nadal jest moją współlokatorką. Nie powiem, żebyśmy się z dnia na dzień zaprzyjaźniły, ale nasza relacja uległa zdecydowanej poprawie, odkąd uratowałam życie jej brata. Trudno mi sobie wyobrazić, że kiedykolwiek polubię ją tak do końca. Ciągle jest wampirycą, która złamała serce mojego przyjaciela.

Rikkon zatrzymał się wstępnie u Cheryl, ale za dzień czy dwa zamieszka w instytucie. Niełatwo go było do tego przekonać, nie będzie jednak bezpieczny sam w przyczepie, skoro Jacques pragnie mojej śmierci. Poza tym nadal nie odzyskał wspomnień i bez trudu może wrócić do używek. Nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy spokrewnieni, ani ukryć, że to mój brat, więc on też będzie musiał udawać wampira. Aby podtrzymać iluzję, obydwójce co trzy tygodnie będziemy musieli pić eliksir.

No i jest jeszcze Vaughn, świeżo przemieniony w wampira, który nie ma pojęcia, jak prowadzić życie krwiopijcy. Jeżeli ktokolwiek potrzebuje szybkiego kursu, to właśnie on. Przebywa teraz pod opieką króla Raphaela, którego właśnie zamierzamy z Luccą odwiedzić.

Kiedy Lucca powiedział, że jego wuj, potężny król wampirów, chce mnie poznać, byłam zaniepokojona. Ale teraz, gdy zbliżamy się do jego ukrytej posiadłości, żołądek zwija mi się w tysiąc supłów. Cała się trzęsę i nie pomaga nawet zaciskanie pięści ani przygryzanie policzka.

Lucca wyciąga rękę i chwyta mnie za dłoń.

– Spokojnie, kochanie, to tylko nieformalne spotkanie.

– Nie rozumiesz. Moja matka rzuciła na ciebie klątwę i razem z innymi członkami rodzin królewskich Nightingale'ów skazała wasz gatunek na powolne słabnięcie i w końcu wymarcie. Jak mogę stanąć przed twoim wujem?

– Nie odpowiadasz za czyny swojej matki. Nikt nie wini cię za jej grzechy, a już zwłaszcza mój wuj.

Mimo wszystko czuję się w pełni winna i nic nie mogę na to poradzić. Lucca się myli, naprawdę jestem częściowo odpowiedzialna za decyzję matki o zamknięciu portali. Jest mściwa i mój wybór, żeby pozostać na ziemi śmiertelników, z pewnością dodatkowo zmotywował ją do ukarania wampirów.

Drzwi otwiera nam wysoki kamerdyner. Lucca wcześniej poinformował mnie o chowańcu króla Raphaela, ale trudno mi nie otworzyć ust ze zdumienia. Jest nie tylko nienaturalnie wysoki, ale też szeroki jak dąb. Zerka na Luccę tylko pobieżnie, a potem badawczo przygląda mi się od stóp do głów.

– A więc to ty jesteś tą Nightingale'ówną, która uratowała żaloszny tyłek Lukki.

Nie spodziewałam się od niego takiego komentarza. Pospiesznie spoglądam na wampira i widzę, że tylko przewraca oczami. No dobra.

– Tak, to właśnie ja – odpowiadam i odchylam głowę, żeby spojrzeć olbrzymowi w twarz.

Nie boję się go, nieważne, że jest niedźwiedziem. Wyłącznie spotkanie z jego szefem przyprawia mnie o dreszcze.

Chowaniec znowu mnie zaskakuje i zamyka w niedźwiedzim uścisku (gra słów niezamierzona). Jego ramiona są szerokie niczym pnie drzew i całkowicie w nich znikam.

– Dziękuję. Z głębi serca – mówi.

Lucca odchrząkuje, żeby nakłonić go do wypuszczenia mnie z objęć. Kamerdyner poprawia marynarkę, odzyskuje panowanie nad sobą i odsuwa się, żeby nas przepuścić.

– Król Raphael czeka w swoim gabinecie.

– Dzięki, Mauricio.

Lucca pospiesznie prowadzi mnie na prawo od wielkich schodów, nie dając mi czasu na ociąganie się i przyglądanie kryjówce króla. Widzę jednak, że wystrój jest mroczny i gotycki. Jakby właściciel nigdy nie wyszedł poza wieki ciemne.

Serce podchodzi mi do gardła, a głośny szum krwi w uszach próbuje zagłuszyć echo kroków stawianych w szerokim przedpokoju.

Kiedy Lucca zatrzymuje się w końcu przed drzwiami z grubego drewna, odwraca się do mnie.

– Gotowa?

– Nie.

Śmieje się pod nosem. Walnęłabym go w głowę, gdyby nie wyglądał przy tym tak uroczo. Teraz denerwuję się spotkaniem z jego wujem i jestem napalona.

Wampir nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Jak już tu skończymy, pokażę ci swój stary pokój. Łóżko jest niesamowicie wygodne.

Pożądanie wspina mi się po kręgosłupie, co mnie przeraża, bo założę się, że swoimi podkreconymi zmysłami wampiry potrafią zauważyć podniecenie.

– Jesteś straszny – odpowiadam.

Uśmiecha się figlarnie i puszcza do mnie oko.

– Wiem.

– Przestańcie już gruchać jak gołąbki i wchodźcie wreszcie – rozkazuje z pokoju burkliwy głos. Cholera. Oczywiście, że król nas usłyszał.

Kiedy w końcu wchodzimy do gabinetu, twarz mi płonie. Wielkie pomieszczenie nie jest aż tak okazałe, jak się spodziewałam, ani zbyt mroczne. Ściany są pokryte jasnoszarą tapetą, a grube zasłony mają kolor złamanej bieli. Solidne meble wykonano z ciemnego drewna.

Król stoi przed jednym z okien i wygląda na zewnątrz. Jest trochę wyższy od Lukki i ma szersze ramiona. Pamiętam go z czasów sprzed swojego wygnania. Miał włosy takiego samego koloru jak siostrzeniec, ale teraz widzę przed sobą postać siwowłosą i dziwnie znajomą.

Co za skurwiel.

To on jest tym wampirem, który podszedł do mnie pod Havokiem i dał mi eliksir. Kiedy król Raphael nareszcie się odwraca, moje podejrzenia się potwierdzają. To był on.

– Witaj, Vivienne.

Moje zdenerwowanie natychmiast znika i zostaje zastąpione czystą irytacją.

– Nie wierzę. Wrobiłeś mnie.

Uśmiecha się.

– Domyślam się, że już pokonałaś lęk przed naszym gatunkiem.

Nie, posuwam twojego siostrzeńca pomimo śmiertelnego przerażenia, bo tak lubię. Zdrowy rozsądek nakazuje mi jednak, żeby nie mówić tego na głos.

– Najwyraźniej – odpowiadam. – Od samego początku wiedziałeś, że jestem córką królowej Maewe, tak?

Odsuwa się od okna i podchodzi do nas.

– Nie miałem pojęcia, że to twoja matka. Ale zdawałem sobie sprawę, że jesteś Nightingale'ówną.

Odwracam się do Lukki.

– Ty też wiedziałeś?

– Dowiedziałem się dopiero tuż przed tym, jak Boone próbował nas zabić.

– Celowo nic mu nie mówiłem. Nigdy nie próbowałby na tobie żerować, gdyby wiedział, że jesteś Nightingale'ówną.

– A ty skąd wiedziałeś? – dopytuję.

– Odkąd Maewe go przeklęła, prowadziłem rozległe poszukiwania kogoś z krwią Nightingale'ów. Liczyłem, że znajdę jakiegoś potomka. Nie miałem pojęcia, że ty i twój brat zostaliście wygnani. Doprowadził mnie do was zbuntowany mag, który sprzedał Rikkonowi zaczarowane bransoletki.

– Zapłaciłeś Larssonowi za porwanie mojego brata, żeby zmusić mnie do zbliżenia się do Lukki?

Król przenosi na chwilę uwagę na siostrzeńca. W jego oczach dostrzegam błysk poczucia winy.

– Nie. Nie zapłaciłem mu za porwanie twojego brata. Zaproponowałem układ za utrzymanie Rikkona przy życiu.

– I mój naszyjnik był częścią tej umowy? – pyta cicho Lucca.

– Tak.

Znowu czuję ucisk w piersi, mocniejszy niż wcześniej, bo teraz pamiętam matkę Lukki i jej śmierć z rąk mojej własnej.

– Dlaczego? Do czego ten barbarzyńca potrzebuje naszyjnika mojej matki?

Król odwraca wzrok i obchodzi swoje biurko.

– Lepiej nie odkopywać niektórych wydarzeń z przeszłości.

– Ani mi się waż znowu raczyć mnie kolejną z tych twoich enigmatycznych odpowiedzi – warczy Lucca.

Wuj odwraca się do niego z oczami świecącymi na czerwono i z całkowicie wysuniętymi kłami.

– Nie takim tonem, chłopcze. Ciągle jestem twoim królem.

Ja pitolę. Szybko poszło.

Pukanie do drzwi przełamuje napięcie. Oczy króla robią się na powrót brązowe, zanim mówi:

– Wejść.

W progu staje jego chowaniec.

– Przybyła Najwyższa Czarownica.

– Co tu robi Isadora? – pyta Lucca.

– Zjawiała się na moją prośbę. Musimy jak najszybciej zająć się jeszcze jedną sprawą.

– Chodzi o to, że Jacques chce odebrać ci koronę?

– Nie. Coś pilniejszego.

Od razu przypominam sobie atak w wykonaniu ducha wampirzego zombie. Czy może być coś ważniejszego od zamachu stanu przeprowadzonego przez mściwą zjawę żyjącą w trzewiach instytutu?

– Chodzi o tajemną komnatę i ducha, którego z niej uwolniłam, prawda? – pytam.

– Tak, moja droga. Ale nie musisz się tym teraz martwić. Mniemam, że chciałabyś się spotkać ze swoim przyjacielem.

Wiem, że król Raphael mną manipuluje, lecz naprawdę chcę zobaczyć Vaughna. Poza tym wątpię, żeby odpowiedział mi na pytania, jeżeli będę naciskać. Nawet Lucca nie może go skłonić do mówienia.

– Tak, chętnie odwiedzę Vaughna. Czy to już bezpieczne?

Król kiwa głową.

– Najgorsze już za nim. A nawet może wrócić dziś z wami do instytutu.



Lucca

Spotkanie z wujem było jeszcze bardziej frustrujące, niż zakładałem. Nie da się go jednak porównać z jakże bolesną podróżą powrotną do instytutu z Vaughnem, który przez całą drogę zasypuje mnie pytaniami. Pocieram czoło. Od stuleci nie bolała mnie głowa, ale od nieustannego gadania tego młodziaka na pewno w końcu zacznie.

Na widok wielkiego budynku majaczącego na horyzoncie wzdycham z ulgą.

– Dzięki Bogu.

Siedząca obok mnie Vivienne wybucha śmiechem.

Na sekundę odrywam wzrok od drogi.

– Niby co jest takie zabawne?

– Nic.

– Wow, ale odjazd. – Vaughn rozpląszcza nos na szybie. – Czuję się jak Harry Potter, kiedy

pierwszy raz znalazł się w Hogwarcie.

– Kto? – pytam. Imię brzmi znajomo.

– Czekaj, nie wiesz, kim jest Harry Potter? – Vaughn nie dowierza.

Ponownie zerkam na Vivi.

– A powinienem?

– Chłopie, na całym świecie nie ma ani jednej osoby, która by nie wiedziała, kim on jest.

Vivienne się uśmiecha i kręci głową.

– Nie martw się, wprowadzę cię w temat.

Dobra, teraz jestem wkurzony. Najwyraźniej przez brak znajomości współczesnych tematów stałem się obiektem żartów.

Parkuję na tyłach i bez zaskoczenia zauważam, że przy drugim wejściu czeka na nas Solomon.

Kiedy wysiadamy, Vaughn przysuwa się do Vivi i pyta cicho:

– Co to za zabawny koleś? To też wampir?

– To dyrektor i bądź cicho. Słyszysz, nawet jak szepczesz – odpowiada.

Konsternacja wymalowana na jego twarzy jest satysfakcjonująca. Bez cienia poczucia winy otaczam Vivienne ramieniem i wchodzę do budynku, a Pana Gadułę zostawiam sam na sam z Solomonem.

– Może powinniśmy poczekać na Vaughna – sugeruje Vivi, gdy jesteśmy już w środku.

– O nie. Mam go dość jak na jeden wieczór.

Prowadzę ją do jej apartamentu inną trasą, żeby nie iść przez główną część instytutu. Chcę mieć Vivienne tylko dla siebie, zanim wrócimy do życia pozorami. W ciągu ostatnich trzech dni rzadko wychodziliśmy z jej pokoju, ale ten czas dobiegł końca. Jutro wieczorem musimy zacząć przestrzegać ogólnego grafiku.

Zastajemy Manu w apartamencie, ale biorąc pod uwagę jej strój, domyślam się, że właśnie gdzieś wychodzi.

– Tak szybko wróciliście? – dziwi się.

– Tak. Król Raphael nie lubi długich spotkań.

– Nie lubi też dużo mówić – dorzuca Vivienne.

– W przeciwieństwie do twojego przyjaciela – prychnam.

– A ja wychodzę do Havocu – oznajmia moja siostra. – Idziecie ze mną?

Na to pytanie łatwo odpowiedzieć.

– Nie. Wszystko, czego potrzebuję, mam tutaj. – Przyciągam Vivi do siebie i całuję ją w policzek.

Manu udaje, że zbiera jej się na wymioty.

– Ble. Powinniście załatwić sobie własny apartament. Jesteście dla mnie za słodcy.

To całkiem niezły pomysł.

– Może tak zrobimy – odpowiadam.

– Jak chcecie. Ja spadam. Dobrej zabawy, dzieciaki.

Wychodzi sprężystym krokiem. Nie widziałem jej w tak dobrym nastroju... chyba nigdy.

Odwracam się do Vivienne.

– Nareszcie sami.

– Mówiłeś poważnie?

– O czym? – Całuję ją w szyję i rozkoszuję się tym, jak jej puls przyspiesza w odpowiedzi.

– O mieszkaniu razem.

Odsuwam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Jak najbardziej. Nie mogę znieść myśli o tym, że miałbym obok ciebie nie zasypiać i nie budzić się przy tobie każdego wieczoru. – Marszczy brwi. Zdecydowanie nie takiej reakcji się spodziewałem. – Co jest?

– Ja cię kocham od setek lat, ale ty dopiero co mnie poznałeś. Co będzie, jeżeli dla ciebie to tylko taka faza? A co, jeśli...

– Ciii. – Kładę jej palec na usta. – To nie jest żadna faza, Vivi. Kocham cię i to uczucie nie przeminie.

– Skąd możesz wiedzieć?
– Stąd, że ożywiłaś moje martwe serce. Życie nie miało dla mnie sensu nawet jeszcze przed kłatwą. A ty to zmieniłaś. Pokochałem cię już wtedy, gdy jeszcze mi się wydawało, że cię nienawidzę. Jeszcze zanim się dowiedziałem, kim jesteś i ile dla mnie poświęciłaś.
Jej oczy robią się jaśniejsze, a po policzku spływa zbląkana łza, którą ocieram kciukiem.
– Nie musisz płakać, kochanie.
– To ze szczęścia. – Śmieje się.
– Czy to oznacza, że jesteś za tym, żebym się do ciebie wprowadził?
Powoli unosi brwi.
– A co z Manu?
Wzruszam ramionami.
– Jestem jej starszym bratem. Mam prawo ją wkurzać. Może sobie znaleźć inny apartament. Może Vaughn będzie jej nowym współlokatorem. – Uśmiecham się drapieżnie.
Vivienne wybuchła śmiechem, co raduje moje serce.
– Jesteś straszny. Biedny Vaughn.
Ramieniem otaczam jej wąską talię i przyciągam ją do siebie.
– Skończmy już o nich mówić. Mamy razem zamieszkać. To wymaga uczczenia.
– I jak chcesz to uczcić?
– No wiesz, zrzucając ubrania i nie przejmując się, w którym jesteśmy pokoju ani przy jakim meblu – szepczę jej do ucha.
Oczy błyszczą jej figlarnie, co natychmiast budzi mojego fiuta.
– Dobra, mój książę.



43. Aurora

Matka kazała mi się trzymać z daleka od katakumb, a jej poleceń należy przestrzegać bez dyskusji. Kiedyś była miłsza, ale to było przed śmiercią ojca. Wydaje mi się, że później obowiązki zawodowe odarły ją z wszelkiej łagodności. A skoro to ja jestem najstarszym dzieckiem i moim przeznaczeniem jest odziedziczenie jej tytułu Najwyższej Czarownicy, obrywam najbardziej.

Nigdy jednak nie szło mi wykonywanie rozkazów i dzisiaj wieczorem też nie zamierzam się podporządkowywać. Chcę się dowiedzieć, co, do diabła, ona i Solomon ukrywają pod instytutem. Podśledzałam ich rozmowę, gdy wróciła ze spotkania z królem Raphaelem. Planują za dnia spróbować ponownie uwięzić zabójczego ducha, a ja nie mam zamiaru tego przegapić.

Tamta zjawa była kiedyś wampirzycą. Zgaduję, że z królewskiego rodu, może nawet pierwszego pokolenia. Sprawiała na mnie wrażenie potężnej, ale i podłej. Gorszej od Boone'a, a to naprawdę dużo mówi.

Nie mogę jednak po prostu pójść w pewnej odległości za matką z nadzieją, że mnie nie zauważy. Podejmuję odpowiednie środki ostrożności, czyli używam czaru maskującego, na tyle silnego, żeby oszukać nawet Najwyższą Czarownicę. Nigdy by go nie pochwaliła. W końcu nabyłam go od członka gildii zbuntowanych magów.

Znalezienie ich mogłoby się okazać niemożliwe, gdyby idiota, który stworzył trującą mgłę w dzień ataku Boone'a, nie zostawił w lesie kawałka szaty. A tak z łatwością rzuciłam zaklęcie namierzające. Trochę trudniej było przekonać gildię do pomocy córce Najwyższej Czarownicy. Zbuntowanych magów można wynająć i niektórzy są potężni, ale wszyscy to tchórze. Musiałam się uciec do szantażu, żeby dostać to, czego potrzebowałam. Nie mieli pojęcia, że ich mgła miała pomóc w próbie zabójstwa Lukki. Obiecałam im, że w zamian za współpracę nie wydam ich królowi Raphaelowi.

Może wykorzystanie takiej karty przetargowej na zaklęcie maskujące było głupie, ale desperacko pragnę poznać tajemnicę matki. Jestem skłonna do podejmowania impulsywnych decyzji. Mam nadzieję, że ta nie zemści się na mnie tak jak poprzednia. Trzymam gildię za jaja, ale nie mogę szantażować ich do śmierci. To nie tylko niemoralne, ale też niebezpieczne.

Wypijam gorzki eliksir i kieruję się do katakumb. Wszędzie jest upiornie cicho, aż włoski na karku stają mi dęba. Kurna. Czy duch mógł obezwładnić matkę i Solomona? Wsuwam rękę do torby i wyciągam zaczarowany kryształ. Używa się go do odpędzania mściwych zjaw, ale na ducha wampira zadziała tylko przez krótki czas.

Serce wali mi w piersi mocno i powoli. Trudno mi nie czuć lęku, gdy wiem, co tam na dole wyrwało się na wolność. Nagle ciszę przerywa przerażający wrzask, na którego dźwięk serce podchodzi mi do gardła. Kuźwa. To tamten duch. Na chwilę zamieram, ale potem słyszę głos mojej matki. Recytuje zaklęcie.

Przyspieszam, lecz nadal uważam, żeby w żaden sposób nie zdradzić swojej obecności. Zatrzymuję się tuż przed miejscem, w którym stoi moja matka, przywieram do ściany i wysuwam głowę. Matka i Solomon uwięzili ducha wampirzycy w kuli zielonego światła. Zjawa jest dokładnie tak upiorna, jak ją zapamiętałam. Nie wiedziałam, że wampiry mogą po śmierci zostać duchami.

– Nie możecie wiecznie nas więzić – zawodzi. – Nightingale'owie wrócili. Zemścimy się.

Cholera, duch mówi o Vivienne.

– Wrócisz do swojego więzienia, Madeleine.

– Madeleine? – Duch się śmieje. – Madeleine już nie istnieje. Pograżona w szaleństwie dobiła ze mną targu. Teraz to ja kontroluję jej ciało i duszę.

Solomon i moja matka wymieniają spojrzenia. Matka kiwa głową i wspólnie odsyłają ducha do tajemnej komnaty. Do jego więzienia.

I to ma być wszystko?

Jestem wkurzona. Nie tylko nie zdobyłam żadnych informacji, ale też nie mam już nic na gildię zbuntowanych magów.

Pospiesznie wracam do siebie, zanim matka mnie znajdzie. To byłoby już za wiele.

Po wejściu do apartamentu zapalam wszystkie światła. Wkurza mnie, że nie mogę podnieść żaluzji i wpuścić do środka promieni słońca. Żaluzje opadają automatycznie i zwijają się dopiero po zachodzie słońca. Siadam na stołku barowym i opieram łokcie o blat.

Sama nie wiem, co chciałam osiągnąć, szpiegując matkę. Może zyskać jakieś poczucie kontroli nad własnym życiem, której nie posiadam nawet w najmniejszym stopniu. Gdybym miała cokolwiek do powiedzenia, nie mieszkałabym w instytucie, nie uczyłabym się na Najwyższą Czarownicę, a co najważniejsze, nie zgodziłabym się wyjść za palanta z ważnej magicznej rodziny.

Wsuwam palce we włosy i za nie pociągam.

– Kurwa.

Podskakuję, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi. Co znowu?

– Kto tam?

– To ja, Saxon.

Przez myśl przebiega mi szewska wiązanka. Nie mam ochoty z nim gadać, ale chętnie się na kimś wyżyję.

Przemierzam mieszkanie długimi krokami i gwałtownie otwieram drzwi.

– Czego chcesz?

Opiera się ręką o ścianę i wygląda na chorego.

– Elixir, który mi dałaś, nie zadziałał – odpowiada, krzywiąc się.

– Niemożliwe. Powinien był zadziałać.

– Ale tak się nie stało. – Prostuje się i przyjmuje bardziej okazałą postawę, wygląda dziko. –

Dalej jesteśmy połączeni i jeżeli tego nie naprawisz, zostaniesz wdową, jeszcze zanim wymienisz słowa przysięgi z narzeczoną.

Minisłownik

Bloodstone – heliotrop, czasami zwany krwawnikiem (choć podobno niepoprawnie).

Bluebloods – błękitnokrwieści, arystokracja, stąd w tekście rody królewskie i królewscy jako kasta wampirów.

Ember – żarzący się węgiel.

Emporium – dom towarowy.

Havoc – zamęt.

King's Landing – Królewska Przystań.

Nightingale – słowik.

Nocturnal – nocny.

Red Watch – Czerwona Straż.



Już niebawem drugi tom serii **Blueblood Vampires** opisujący historię Aurory i Saxona!

Brutalny. Lekkomysłny. Dziki. To tylko niektóre epitety, którymi się mnie opisuje. Przyznaję, że taki jestem i nigdy w ciągu niecałych pięciuset lat życia nie chciałem być inny.

I nagle zjawiła się ona. Aurora Leal, córka Najwyższej Czarownicy, której przeznaczeniem jest pełnić tę samą rolę. W świecie magicznym jest niemal księżniczką, a co najważniejsze, stanowi zakazany owoc.

Nauczono mnie nie zadzierać z czarownicami i nigdy nie miałem zamiaru łamać tej zasady, aż pewnej nocy Aurora wparowała z impetem w moje życie. Nie udało mi się oprzeć pociągowi i jak skończony idiota uległem jej urokowi.

Teraz mam przerąbane. To miał być tylko przelotny romans, ale na zawsze odbił się na mnie piętnem. Skończyło się na tym, że jestem połączony z butną czarownicą. Związek na wieczność to nie było coś, czego kiedykolwiek pragnąłem, ale gdy ręka twojej drugiej połówki jest obiecana komuś innemu, problem robi się znacznie większy.

Mam tylko dwa wyjścia. Albo znajdę sposób na przełamanie więzi, albo Aurora zostanie wdową, zanim jeszcze powie sakramentalne „tak”. To ostatnie na bank zapoczątkuje wojnę między wampirami i magami. Ale im więcej czasu spędzam z czarownicą, tym mniejszą mam ochotę z niej zrezygnować.

Cholera, wygląda na to, że czeka mnie zabicie kilku magów.

MICHELLE HERCULES, autorka bestsellerów „USA Today”, od zawsze wiedziała, że jej powołaniem jest sztuka, ale nigdy przez myśl jej nie przeszło, że będzie pisać książki. Z wykształcenia jest projektantką mody, więc uważała, że podąży tą właśnie ścieżką. Ale pewnego dnia zupełnie niespodziewanie postanowiła napisać powieść. Z jednej strony zrobiło się dziesięć, z dziesięciu sto i zanim się obejrzała, powstało jej pierwsze dzieło: *The Prophecy of Arcadia*.

Michelle Hercules mieszka na Florydzie z mężem i córką. W Polsce wydano dotąd jej dwie serie: *Wampiry Blueblood* i *Buntownicy z Rushmore*.

Dołącz do grupy czytelniczej Michelle:

<https://www.facebook.com/groups/mhsoars>